tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 37 (1236)
11-17.09.2023
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

AGNIESZKA HOLLAND:
SPRAWIEDLIWI NA GRANICY

WALDEMAR WITKOWSKI:
WIELKA PŁYTA TO NIE DZIADOSTWO

TOMASZ MIŁKOWSKI:
TEATR JAKO POLE BITWY

KOPALNIA BOGDANKA
– OD ŚCIANY DO ŚCIANY

SPORY O UKRAINĘ

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
37 >
9 771509 311300

eprasa.pl ba1a76a4c1

INSTRUKCJE

spektakl muzyczny

COLLEGIUM NOBILIUM
TEATR

GRAMY ⬇
23, 24, 26, 27 WRZEŚNIA

GRAMY ⬇
19, 20, 21 PAŹDZIERNIKA

TEATR COLLEGIUM NOBILIUM | Miodowa 22/24
kasa czynna stacjonarnie: wt. do pt. w godz. 15:00 – 19:00 oraz w weekendy w godz. 15:00 – 17:00 lub do rozpoczęcia spektaklu
telefonicznie: wt. do pt. w godz. 11:00 – 19:00 oraz w weekendy w godz. 13:00 – 17:00 pod numerem telefonu 662 155 960
e-mail: kasa@e-at.edu.pl | tel. 22 635 99 39 lub 662 155 960 | tcn.at.edu.pl | kicket.com

OSTRZEŻENIE!
Spektakl dyplomowy studentów IV roku
Akademii Teatralnej im. A. Zelwerowicza w Warszawie,
kierunek: aktorstwo, specjalność: aktorstwo i wokalistyka

AKADEMIA TEATRALNA WARSZAWA

Patroni medialni: chilli zet, Przegląd

Partnerzy Teatru: kicket

eprasa.pl ba1a76a4c1

Jerzy Domański

Na lewicy bez złudzeń

Ten komentarz o lewicy piszę ze smutkiem. Długo łudziłem się, że wreszcie będzie poważna oferta dla tych przynajmniej 20% Polek i Polaków o poglądach lewicowych. Że demokratyczna i ideowa lewica stanie się faktem. Ale trwanie w tym oczekiwaniu byłoby jeszcze gorsze od w sumie wygodnej naiwności. W końcu, ponaglany pytaniami czytelników, co z tą lewicą, uznałem, że nie ten szkodzi lewicy, kto pisze, jak jest, ale ci, którzy przejęli partię o sporym potencjale wyborczym i doprowadzili ją do stanu zapaści. Piszę o odpowiedzialności wielu ludzi, choć oczywiście wiem, że wszystkie sznurki w Nowej Lewicy trzyma w ręku Włodzimierz Czarzasty. Trzyma, bo może, bo ci, którzy mają mandaty poselskie, na to mu pozwalają. Po prostu musi!

Na szczęście w Polsce nikt nie jest przykuty do lidera partii stalowym łańcuchem. Każdy ma wolną rękę i wolną wolę. Ale jeśli jest w partii lewicowej, to musi stać po stronie demokracji i jej zasad.

Patrzymy na tę lewicę w parlamencie i kogo widzimy? Ile nazwisk potrafimy wymienić? Garstkę. A reszta? Prawie w komplecie chce znowu trafić na Wiejską. Tylko po co? Co z tego będzie miał ich wyborca? Po co komu cynicy, którzy kochają władzę i kasę?

Jeśli miałbym wymienić hasła, które wszyscy powtarzają za Czarzastym, to sprowadzają się one do dwóch: „Mamy apetyt na władzę” i „Będziemy rządzić albo współrządzić”. Są oczywiście w tym gronie mądrzy, sensowni ludzie. Ale tak zostali przez Czarzastego potraktowani jak wydawca „Trybuny”. No i miesiąc przed wyborami gazeta została zamknięta. Mimo ogromnych dotacji z budżetu Nowa Lewica na „Trybunę” nie miała środków. Wielu wyborców lewicy ciekawi, na co i do kogo trafiło kilkadziesiąt milionów złotych, które ten klub parlamentarny dostał w czasie tej kadencji.

„Trybuny” mi żal, bo mimo biedy, w jaką wpędzili ją ci niby-politycy, miała wiernych czytelników. Mogę o tym pisać, bo od tej formacji PRZEGLĄD nigdy nie dostał nawet jednego grosza. Czarzasty za to nie żałował epitetów pod adresem tygodnika. Piszą o tym czytelnicy.

Ja mam grubą skórę, ale nasi czytelnicy są oburzeni. Jestem pewien, że sensowni ludzie o poglądach lewicowych kiedyś się skrzykną i rozgonią tę prywatną partyjkę Czarzastego. Nie ma czego się lękać. To ledwie kilka, może kilkanaście osób. A wstyd, że pozostali to tolerują, jest wielki i zamyka im drogę do serc wyborców. Na towarzystwo wzajemnej adoracji nie ma już miejsca w polityce. Ilu ludzi lewicy musi jeszcze odejść do innych partii, zamiast zrobić porządki u siebie?

BĄKOWSKI

eprasa.pl ba1a76a4c1

W NUMERZE

KULTURA
8 **Laboratorium okrucieństwa i wielkoduszności**
– rozmowa z Agnieszką Holland
40 **Pole walki**
Po sezonie teatralnym 2022/2023
44 **Qulturalia**
66 **Wizja, sen, tajemnica. Sztuka wyobraźni**

GLOBALNY PUNKT WIDZENIA
12 **Spory o Ukrainę. Jakie są cele USA?**

WYBORY 2023
16 **Wielka płyta to nie dziadostwo**
– rozmowa z Waldemarem Witkowskim
22 **Załatwiam sprawy do końca**
– rozmowa z Agatą Diduszko-Zyglewską
25 **Dlaczego dzieci chodzą na religię?**
Bożena Przyłuska w Olsztynie

KRAJ
18 **Bogdanka – od ściany do ściany**
Co z polskim górnictwem i energetyką
26 **Grozi nam paraliż państwa**
– rozmowa z Urszulą Łobodzińską
30 **Sztynort – spotkanie historii ponadnarodowej**
Nowe miejsce polsko-niemieckiego dialogu
46 **Jak ugasić świat?**
– rozmowa z Dawidem Iwańcem
52 **Dziś prawdziwych tragarzy już nie ma**
– rozmowa z Łukaszem Komudą

ZAGRANICA
32 **Nowy dom, stare duchy**
Chile 50 lat od puczu Pinocheta
36 **AfD maszeruje po władzę?**
Radykalizmy coraz silniejsze w Niemczech

HISTORIA
48 **Volkswagen dla Hitlera**
„Aryzacja" firmy Porsche

OBSERWACJE
56 **Greckie oblicza słońca**
Dokąd wciąż warto pojechać
59 **Co ma grzyb do płetwala błękitnego**
Tajemnice porostów i grzybów

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Na lewicy bez złudzeń
21 **Jan Widacki**
Do wyborów coraz bliżej
29 **Andrzej Romanowski**
Moje zakątki
39 **Roman Kurkiewicz**
Broniąc Holland, oskarżajmy rządzących!
45 **Tomasz Jastrun**
Żeby nie było złudzeń
51 **Wojciech Kuczok**
Baśniarz i pieśniarz

32
ZAGRANICA

NOWY DOM, STARE DUCHY
Chile 50 lat od puczu Pinocheta

40
KULTURA

POLE WALKI
Po sezonie teatralnym 2022/2023

59
OBSERWACJE

CO MA GRZYB DO PŁETWALA BŁĘKITNEGO
Tajemnice porostów i grzybów

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl ba1a76a4c1

Jak ocalić pamięć o żołnierzach 1. i 2. Armii Wojska Polskiego?

Podobnie jak autor listu z nr. 34 chciałam podziękować redakcji za przypominanie o żołnierzach, którzy wyzwalali nasz kraj, idąc ze wschodu. Zachowanie ich w pamięci powinno być obowiązkiem każdego Polaka. Ludzie ci w ogromnej większości nie znaleźli się tam z własnej woli. Jedyna droga do Polski wiodła przez armię Andersa oraz 1. i 2. Armię Wojska Polskiego walczącą u boku armii radzieckiej. Czystym przypadkiem było to, do której armii się trafiło. Mój ojciec był początkowo u Andersa, ale nie było mu dane wyjść z tą armią do Iranu. Trafił do niej po zwolnieniu z łagru pod Workutą, krótko po podpisaniu układu Sikorski-Majski. Nie wszystkim to się udało, bo wiadomość o amnestii i tworzeniu polskiego wojska z dużym opóźnieniem docierała do łagrów. Gdy armię Andersa ewakuowano do Iranu, ojciec zachorował na tyfus. W tym okresie tyfus plamisty, czerwonka itp. dziesiątkowały łagierników i żołnierzy. Drugą więc szansą powrotu do kraju była dywizja kościuszkowska tworzona przez gen. Berlinga. Ojciec mój doszedł z nią aż pod Berlin. Jest to los jednego z wielu kościuszkowców, których dzisiejsza władza chce wymazać z pamięci. Eksponuje się natomiast „żołnierzy wyklętych" walczących po wojnie głównie ze społeczeństwem (to z doświadczeń moich dziadków na Podlasiu). Dlatego przyłączam się do podziękowań za ocalanie pamięci i godności żołnierzy, którzy po gehennie łagrów wyzwalali polskie ziemie, nie wiedząc, jakie będą granice ich ojczyzny ani kto będzie rządził krajem.

Jolanta Kalinowska-Lipiarz

PiS jakie jest, każdy widzi

PiS i jego przystawki to jeden wielki paradoks lub też byt funkcjonujący w daleko posuniętej schizofrenii. Z jednej strony, żywi się nienawiścią do PRL, a drugiej – cynicznie żeruje na sentymencie do tego okresu, jeżeli chodzi o ludzi, sposób komunikowania się z wyborcami czy gigantomanię inwestycyjną. Tyle że tamten okres, przy wszystkich swoich ciemnych stronach, miał jakieś sukcesy, np. budownictwo i walkę z analfabetyzmem. Pod rządami obecnej władzy próżno ich szukać.

Bogusz Dawidowicz

•

Nieprawda, mają jeden sukces – członkowie PiS i ich rodziny dorobili się całkiem niezłych fortun.

Anna Odrowska

Polski przemysł ofiarą neoliberalizmu

Za stan naszego przemysłu proszę podziękować tym z Solidarności, którzy dorwali się do władzy w 1989 r. i wprowadzili bandycki neoliberalizm oraz wyprzedali czy zniszczyli zakłady zbudowane za Gierka.

Paweł Maćkowski

•

A śmiali się z PRL, socjalistów i planów wieloletnich. Styropianowa klerykalna III RP z bandyckim neoliberalizmem nie miała i nie ma żadnych planów gospodarczych ani przemysłowych. Zresztą chyba o to chodziło Zachodowi, żeby Polska była kolonią z „elitami" kompradorskimi, tanią siłą roboczą i mięsem armatnim na wypadek konfliktu z Rosją.

Kamil Garbowicz

ZDJĘCIE TYGODNIA

Ten pocałunek szefa hiszpańskiej federacji piłkarskiej wywołał burzę. Po zwycięstwie kobiecej reprezentacji w mistrzostwach świata Luis Rubiales pocałował Jenni Hermoso. Zawodniczka wniosła oskarżenie o napaść seksualną i stosowanie przymusu. Barcelona, plac Glòries, 4 września 2023 r.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl ba1a76a4c1

16 września (sobota) mieszkańcy **190 krajów** będą sprzątać swoją okolicę, tworząc tym samym największy na świecie **ruch ekologiczny**. W ubiegłym roku w World Cleanup Day zaangażowanych było **70 mln osób.**

•

PiS ma na koncie rekord w zadłużaniu państwa. **Dług przekroczył już 2,4 bln zł**. Do tego dochodzi 420 mld zł poza budżetem. Prawica ciągle powołuje się na długi Gierka. Tyle że Gierek mocno inwestował w branże, które kolejne ekipy po zmianie władzy sprzedawały. Inwestycje **Kaczyńskiego** to np. pałac Saski czy muzea „wyklętych".

•

Jeżeli **premier Morawiecki** wysyła 11-letnią córkę do **prywatnej szkoły** z czesnym 1,3 tys. zł miesięcznie plus dodatkowe opłaty, to najwyraźniej ocenia, że szkoły publiczne nie gwarantują wysokiego poziomu edukacji. Potwierdza tym samym, że **rządy PiS** doprowadziły edukację publiczną do zapaści, a zarobki nauczycieli do poziomu najniższej krajowej. Rodzice **4,66 mln dzieci,** które rozpoczęły rok szkolny, mają o czym myśleć.

•

Prezydent Duda wymusił na PiS powołanie komisji **„lex Tusk"**, mimo że część partii miała ochotę wycofać się z tego. Duda chce, by stygmatyzowano polityków opozycji. Za dwa lata albo może i wcześniej powstanie komisja **„lex Duda"**. Należy mu się od dawna.

•

Rada Polityki Pieniężnej obniżyła stopy procentowe o **0,75 pkt proc**. Główna stopa referencyjna NBP wynosi teraz **6%.**

•

Od 2024 r. ma obowiązywać **zakaz sprzedaży napojów energetycznych** osobom poniżej **18. roku życia**. Chodzi o produkty zawierające kofeinę w ilości większej niż 150 mg/l lub taurynę. W 2022 r. Polacy kupili 850 mln puszek energetyków.

•

W Polsce znajduje się ok. **60 tys.** budynków z wielkiej płyty, w których jest **ok. 2,5 mln mieszkań.**

•

Gdy w 2015 r. koalicja PO-PSL pozwoliła na przejęcie prywatnej wtedy kopalni **Bogdanka** przez będącą własnością skarbu państwa spółkę energetyczną **Enea,** za kopalnię zapłacono **1,47 mld zł.** Po ośmiu latach Enea sprzedaje ją państwu za **1 mld zł.** By spacyfikować protesty pracowników, każdemu przyznane zostaną premia w wysokości 24 tys. zł i bezpłatne talony na posiłki wartości 54 zł.

•

Władze ukraińskie uważają, że za łapówki w wysokości **3-15 tys. dol**. mogło z Ukrainy wyjechać kilkadziesiąt tysięcy mężczyzn w wieku poborowym. Zdaniem ekspertów te dane są mocno zaniżone. Polska zaczęła **ekstradycję uciekinierów.**

•

Grupa Żywiec (Heineken) zlikwidowała browar w Leżajsku, odmawiając sprzedania go **Grupie Żabka** w konsorcjum z gminą Leżajsk. Zdaniem **Krzysztofa Sobejki, wójta gminy,** atmosfera w zakładzie od dawna była napięta, a pracowników poddawano presji, by się zwalniali.

•

Cudzoziemcy stanowią już 6,5% (1,08 mln) ogółu **ubezpieczonych w ZUS.**

PRZEBŁYSKI

Ten straszny papież Franciszek

W rywalizacji o to, kto bardziej dokopie papieżowi Franciszkowi, na czoło wysunęli się Dominik Zdort („Sieci") i Mariusz Cieślik („Rzeczpospolita"). Zdort po powołaniu nowego nuncjusza, który wcześniej był reprezentantem Watykanu w Nigerii, uznał, że taki dyplomata to żenada. A papież w ten sposób deprecjonuje ojczyznę Jana Pawła II, stawia ją daleko „za Murzynami". „Chce Polsce ująć ważności i świętości". Na finał Zdort pisze, że Franciszek wymierzył Polsce policzek, bo ma Polaków w głębokiej pogardzie. Trudno uwierzyć, ale są to cytaty z tekstu ultrakatolickiego publicysty. Jeszcze dalej poszedł Cieślik, któremu nie podoba się to, co papież mówi o Rosji. Franciszek powinien mówić Cieślikiem, a jak nie, to albo jest człowiekiem niespełna rozumu, albo naprawdę uważa, że jest tak, jak mówi. Opcję pierwszą Cieślik uprzejmie odrzucił, „bo ani idiota, ani człowiek chory psychicznie nie mógłby zostać głową Kościoła". A skoro został, to „Kościół jest bez głowy".

Pedofil na tablicy

Jakoś nas nie dziwi, że abp Sławoj Leszek Głódź machnął ręką na grzechy ks. Mirosława B., który sprawnie budował kościół w swojej parafii w Bojanie pod Gdynią. A jeszcze sprawniej, na bogato, wyremontował rezydencję ówczesnego metropolity, abp. Głódzia.

Bo i czym wobec takich zasług dla metropolity był los 15-letniej Oli, którą ks. Mirosław B. na plebanii upił wódką z sokiem i dopuścił się wobec niej „innych czynności seksualnych". Dostał za to rok i cztery miesiące w zawieszeniu. A od Głódzia pracę… w ośrodku kolonijnym dla dzieci i w Fundacji Tyberiada Dzieciom.

To nie wszystko, bo w parafii w Bojanie powieszono tablicę z podziękowaniem dla „twórcy parafii, dobrego pasterza, budowniczego kościoła ks. prałata Mirosława B…".

Miłe wędrówki Emilewicz

Jeśli zdarzają się jeszcze Polacy, którzy liczą na zarobek przy odbudowie Ukrainy, to delegowanie na ten odcinek Jadwigi Emilewicz podcina skrzydła największym optymistom. Gdy Emilewicz została pełnomocnikiem rządu ds. polsko-ukraińskiej współpracy rozwojowej, ruszyła w świat. Do Brukseli i do USA. A nawet na Ukrainę. Podobno było miło. Trzeba jeździć i poznawać świat. Może kiedyś to się Emilewicz przyda? Może w przyśpieszonym tempie ogarnie choć część problemów, jakie mają i będą miały polskie firmy w ojczyźnie Zełenskiego? Komisja Europejska zapowiada granty i pożyczki w wysokości 30 mld euro. Trafią one bezpośrednio do budżetu ukraińskiego. A stamtąd? Polacy zorientowani w kulisach polityki ukraińskiej są przekonani, że ta kasa powędruje głównie do Amerykanów i Niemców. I żadna wycieczka Emilewicz tego nie zmieni.

FOT. YOUTUBE(2), ARCHIWUM, MAT. PRASOWE

eprasa.pl ba1a76a4c1

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Co napędza rynek korepetycji?

ANETA KORYCIŃSKA,
nauczycielka, Baba od polskiego

Lekcje indywidualne są o wiele skuteczniejsze niż lekcje w grupie, nie ma tu rywalizacji ani ocen. Nie chwalimy się tym, co wiemy, tylko mówimy o tym, czego nie rozumiemy. Osoby, które mają problemy z koncentracją, dzięki zajęciom jeden na jeden zyskują motywację do nauki – spotykają się z mentorem/mentorką, więc po prostu głupio nie przyjść na zajęcia, gdy czeka na nas człowiek, z którym lubimy się spotykać. Dzięki temu zyskujemy systematyczność i mamy poczucie bezpieczeństwa, że ktoś czuwa nad procesem nauki, żebyśmy na pewno wszystko powtórzyli, bo przecież nie wiemy, czy wszystkie działy zostały omówione w stopniu wystarczającym do tego, żeby zdać dobrze egzamin, jeżeli taki jest nasz cel.

BEATA MOLIK,
aktywistka, nauczycielka, kandydatka Lewicy do Sejmu w okręgu nr 10 (Piotrków Trybunalski, Skierniewice oraz powiaty bełchatowski, opoczyński, piotrkowski, radomszczański, rawski, skierniewicki i tomaszowski)

Wbrew temu, co twierdzi minister Czarnek, korepetycje nie są wynikiem działalności zorganizowanej grupy przestępczej nauczycieli, którzy niby stworzyli patologiczny system egzaminów, by pod przykrywką korepetycji sprzedawać klucze odpowiedzi i zarabiać na tym miliony. Korepetycje są wynikiem wielu problemów polskiej edukacji. To efekt przepełnionych klas, gdzie można zapomnieć o indywidualnym podejściu nauczyciela do ucznia, a nauczyć trzeba wszystkich. Powodem są również przeładowane i oderwane od rzeczywistości podstawy programowe. Korepetycje są wreszcie efektem presji egzaminacyjnej i parcia na uzyskiwanie dobrych wyników. Na tę formę indywidualnej nauki zapanowała moda, bo każdy rodzic chce, aby jego dziecko było najlepsze. Nie ma w tym jednak nic złego, jeśli korepetycje pomagają dziecku rozwijać jego pasje.

MATEUSZ ROJEK,
Stowarzyszenie Umarłych Statutów

Rynek korepetycji najbardziej jest napędzany przez stres. Korepetycje dają poczucie opieki ze strony korepetytora, a to ucznia uspokaja. Jest też ogromna presja na osiąganie jak najlepszych wyników z egzaminu ósmoklasisty czy matury. Panuje przekonanie, że dostanie się na dobrą uczelnię wiąże się z tym, jak się wypadnie na maturze. W młodszych klasach uczniowie idą zaś na korepetycje, gdy pojawiają się braki w materiale. Do tego dochodzi liczebność klas. Nauczyciele nie mają zbyt dużych możliwości indywidualnego kontaktu z uczniem podczas lekcji. Na koniec kolejny problem systemowy – uczniowie dostają masę prac domowych, bo w szkole nie starcza czasu na przerobienie części materiału. A gdy dziecko sobie nie radzi z zadaniami domowymi, rodzice również myślą o korepetycjach.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl ba1a76a4c1

AGNIESZKA HOLLAND

Laboratorium okrucieństwa i wielkoduszności

Spodziewam się najgorszego, czyli banalizacji przemocy

Rozmawia Mateusz Demski

Kiedy pani film o kryzysie na granicy polsko-białoruskiej jest pokazywany na festiwalu w Wenecji, rząd przygotowuje referendum, w którym mają paść pytania o „likwidację bariery na granicy", „przyjęcie nielegalnych imigrantów", „przymusowy mechanizm relokacji narzucany przez biurokrację europejską". Jak pani się czuje, słuchając o tym pomyśle?

– To obrzydliwy ruch i mam nadzieję, że okaże się nieskuteczny. Co mogę panu powiedzieć? Sam pomysł jest szyty tak grubymi nićmi, że tylko najbardziej zażarci zwolennicy obecnej władzy mogą to łyknąć jak pelikan żabę. Innym stanie w gardle.

Prof. Jarosław Płuciennik pisał, że te pytania są wielką manipulacją, że to sformułowania jak u Orwella. Język znów stał się narzędziem przemocy?

– Pamiętam czasy stalinowskie, ten język manipulacji i propagandy, to piętrzenie przymiotników przypomina naprawdę głęboki PRL. Nie wiem, gdzie oni się tego uczą, gdzie te lekcje biorą. Już nie mówię o kłamstwie. Jedno z tych pytań jest szczególnie kłamliwe, załatwia im dużo spraw: próbują przypieprzyć Unii Europejskiej, jednocześnie gdzieś ten biedny Tusk przewija się cały czas w tle. Relokacja to czasy Kopacz-Tusk, na tym w dużym stopniu Prawo i Sprawiedliwość wygrało wybory. Dochodzi też pytanie o rozebranie płotu.

Który postawiono za ponad 1,5 mld zł.

– Kupa osób się tam nakradła, a przy okazji zgwałcono wielką część Puszczy Białowieskiej. Jak zaczną z powrotem wszystko rozbierać, to znowu ją rozjadą. Niech na razie płot sobie stoi. Będzie najwyżej zabytkiem, symbolem czasów, a potem zacznie się z niego sprzedawać pręty, jak kawałki tynku z muru berlińskiego. Bo wydaje się nieskuteczny. Efekt odstraszający, jak się zdaje, jest minimalny – przechodzących przybywa. Może w tym jest skuteczny,

eprasa.pl ba1a76a4c1

że ludzie, którzy go forsują, łamią sobie nogi i ulegają ciężkim kontuzjom.

Chyba nieprzypadkowo dwa z czterech pytań dotyczą właśnie granicy. Dla rządu to karta, którą przed wyborami można skutecznie grać.

– Dlatego, że ten temat sprawdził się w 2015 r. i cały czas był grzany. Teraz mamy realną sytuację – kryzys. Na dokładkę jest on geopolitycznie zakorzeniony w działaniach Łukaszenki, Putina i jest związany z wojną w Ukrainie. To nie tak, że ktoś zmyśla tego typu kontekst. On taki jest. Pytanie tylko, jak wobec tego mają się zachować polskie władze i Europa w ogóle, co w moim przekonaniu kompletnie się nie sprawdza. Albo nasi politycy wykorzystują to do swoich partykularnych, wyborczych celów – nie licząc się z życiem i dobrostanem ani uchodźców, ani mieszkańców, ani naszych służb mundurowych, które też doznają głębokiego dyskomfortu – albo okazuje się, że cała Europa zawiodła.

Pani bohaterka pyta w pewnym momencie, co na to Wspólnota Europejska. Słyszy w odpowiedzi: 20 tys., tyle co najmniej ludzi zginęło na Morzu Śródziemnym od czasu kryzysu z 2015 r. I nikt w Unii nie kiwnął palcem. Dlaczego tak się dzieje?

– Bo panuje wielki strach przed tym, że nadmierna obecność migrantów może zdestabilizować spójność Unii już całkowicie i że będą wygrywać kolejne ekipy populistyczne. Ten strach jest uzasadniony, ale nie ma żadnej kontrnarracji, która temu by się przeciwstawiała. Nie ma i nie będzie też pomysłu na to, co należałoby zrobić, żeby tych ludzi u granic Europy nie było. Bo co można zrobić, żeby stracili determinację i rozpacz, która sprawia, że chcą się dostać do nas na tych łupinach i szukać szansy dla siebie i swojej rodziny? Odpowiedzią jest chowanie głowy w piasek, przyklejanie plastrów na tę ranę oraz festiwal okrucieństwa: pushbacki, brak pomocy na Morzu Śródziemnym ze strony Fronteksu, budowanie płotów i śmierć ludzi. A liczba uciekających będzie jedynie rosnąć w związku z kryzysem klimatycznym.

Wieszczy pani katastrofę.

– Już nie wieszczę, to zapewne zacznie się dziać niedługo, w zasadzie już się dzieje. Widać początki tego procesu i konsekwencje wojen, które są w Somalii, Nigrze i innych krajach. Ludzie tam nie mogą żyć, bo Ziemia się gotuje. Wiadomo, że kryzys nie będzie się zmniejszał, tylko narastał. Unia nie ma pomysłu, dlatego spodziewam się najgorszego, czyli banalizacji przemocy. Na granicy saudyjskiej strażnicy graniczni strzelają właśnie masowo do etiopskich uchodźców. Łatwo możemy się od nich nauczyć. Nie będzie płotów, wystarczy dużo karabinów maszynowych.

Wróćmy do kwestii referendum – te pytania działają na wyobraźnię Polaków. Dlaczego panuje społeczne przyzwolenie na to, co dzieje się na naszej wschodniej granicy? Przyczyn tego prof. Jacek Kubiak szuka w rasizmie Polaków i selekcji ludzi na tych, którym chcemy pomagać, i tych, których nie chcemy u siebie widzieć. Wyboru dokonuje się na podstawie pochodzenia, koloru skóry i religii.

– Rasizm jest faktem społecznym, socjologicznym, który ma głębokie korzenie, a w Polsce są one na pewno silne: poprzez tradycję antysemityzmu, aż po traumę winy poholokaustowej. Pamiętajmy tylko, że rasizm nie jest naszym wyłącznym wynalazkiem ani naszą cechą. W każdym kraju widzimy jego przejawy, bardziej lub mniej drastyczne. Również w Afryce je mamy. Unia Europejska wymyśliła, żeby nie dopuszczać do napływu uchodźców z Afryki Subsaharyjskiej, opłaciła więc tunezyjskiego dyktatora, by powstrzymywał tych ludzi i nie dopuszczał ich do wybrzeża. Ludzie umierają w pasie ziemi niczyjej, w potwornym upale, dzieją się tam dantejskie sceny, a do tego są okrutnie traktowani przez tunezyjskie służby mundurowe. Rasizm jest tego istotnym elementem. Ludzkość jest po prostu zarażona tym wirusem tak głęboko, że może już nigdy nie uda się tego wyleczyć lub wyplenić. Potrzebny jest chyba nowy Mesjasz, który powtórzy za Chrystusem: „Nie będzie Żyda ani Greka". Ale nie udało się osiągnąć takiej świadomości przez 2 tys. lat, więc jestem sceptyczna.

> Wszyscy jesteśmy ludźmi. W sytuacjach elementarnych, takich jak choroba, śmierć, narodziny, głód – nie ma żadnej różnicy.

Czy kryzys na granicy polsko-białoruskiej ma w ogóle szansę się skończyć? Pytani o to tamtejsi mieszkańcy odpowiadają: nigdy.

– Tak naprawdę w dużym stopniu zależy to od Białorusinów i Rosjan. Uchodźcy nie dotrą tam, jeżeli nie będzie przyzwolenia, zachęty i manipulacji ze strony służb i rządów tamtych krajów. Ten kanał wydawał się cudem. Na portalach kurdyjskich i syryjskich takie panowały nastroje. Nagle pojawiła się informacja, że wystarczy zdobyć 3-4 tys. dol., wsiąść w samolot z Bagdadu, dolecieć do Mińska, stamtąd dwie godziny drogi i jest się w Unii. Gdyby nie było tych możliwości, wiz i samolotów, może nie powstałby problem. Albo byłby jakimś kropelkowym zmartwieniem. Ale teraz kanał zaistniał. Zarabiają na tym państwa gangsterskie, zarabiają mafie przewodników, natomiast zdeterminowani ludzie skorzystają z każdej drogi, żeby móc po prostu uciec od świata, który nie daje im szans na bezpieczne, godne życie.

Z ust strażnika granicznego w filmie pada zdanie: „To nie są ludzie, to są

Agnieszka Holland – reżyserka i scenarzystka filmowa, jedna z czołowych postaci europejskiego i światowego kina, przewodnicząca zarządu Europejskiej Akademii Filmowej. Na początku kariery była zaliczana do twórców kina moralnego niepokoju. Laureatka m.in. Srebrnego Niedźwiedzia w Berlinie („Pokot", 2017), Złotych („Obywatel Jones", 2019) i Platynowych Lwów w Gdyni (za całokształt twórczości) oraz wielu prestiżowych nagród filmowych.

eprasa.pl ba1a76a4c1

żywe pociski". „Pociski" wystrzeliwane przez Łukaszenkę i Putina w naszym kierunku. Dalej mówi, że to wojna hybrydowa, że chcą grać na naszym współczuciu.

– To są prawdziwe wypowiedzi, spisane ze szkoleń przeprowadzanych w placówkach służb granicznych. Takie argumenty daje się tym młodym chłopakom, żeby czuli, że robią coś dobrego dla ojczyzny, a nie tylko zaspokajają jakieś sadystyczne skłonności. Są różne punkty widzenia. Jest sytuacja geopolityczna, ale jest też sytuacja moralna i humanitarna. Za tym kryzysem stoją konkretne życia konkretnych żywych ludzi: ich marzenia, ich uczucia i ich ból. Jeżeli redukujemy ich do pocisków czy – jak to robili Wąsik i inni – do zoofilów, pedofilów i terrorystów, to dehumanizujemy ich do tego stopnia, że będziemy zdolni bez wyrzutów sumienia ich mordować. To ten moment, którego boję się najbardziej.

Kiedy zaczęła pani myśleć o filmie?

– Wyczułam, co się tam święci, na samym początku Usnarza. Mówiłam zresztą na ten temat na festiwalu w Gdyni, kiedy odbierałam Platynowe Lwy. Już wtedy wywołało to furię ministrów i innych oficjeli. Dość szybko pomyślałam, że powinnam, ja właśnie, zrobić film fabularny. Nakręciłam tych parę filmów o zbrodniach przeciw ludzkości, więc teraz – kiedy jajo węża dojrzewa tuż pod moim domem – niepodjęcie tego wyzwania byłoby rodzajem oportunizmu. Do tego miałam poczucie, szczególnie kiedy wprowadzono na polskiej granicy stan wyjątkowy, że prawie wszyscy skwapliwie położyli uszy po sobie. Dziennikarze przestali tam jeździć. Do strefy dostało się parę osób. Przez to nie widzimy tego, co najgorsze; mamy strzępy relacji. Fabuła jest najlepszym narzędziem, żeby to pokazać, żeby przekazać fakty i emocje, obudzić empatię. Szczególnie jeśli znajdzie uczciwy ton i nie będzie manipulacyjna. Spotykaliśmy różnych aktywistów. Rozmawialiśmy z wieloma uchodźcami i wysłuchaliśmy ich nagranych relacji. Mieliśmy mnóstwo materiału.

Kadry z filmu „Zielona granica".

Jak wyglądały rozmowy ze strażnikami? Aktywiści mówią otwarcie o pomaganiu, ale co z ludźmi, którzy wypychają kobiety i dzieci na białoruską stronę?

– To dość ciekawe, bo długo nie mogliśmy do nich dotrzeć. Później się posypało i udało się porozmawiać z paroma strażnikami. To się stało już po napisaniu pierwszej wersji scenariusza, ale nasze intuicje się sprawdziły. Potwierdzili większość tego, co opisaliśmy w głównej postaci strażnika. Niektórzy są już na emeryturze, ale żaden nie chce mówić pod nazwiskiem.

Liczba uchodźców będzie tylko rosnąć w związku z kryzysem klimatycznym.

Pamiętam rozmowę ze strażnikiem w książce „Jezus umarł w Polsce" Mikołaja Grynberga. Na pytania odpowiadał zdawkowo, opisując dzień w pracy, mówił: „Rozkaz to rozkaz. Tak to u nas działa, my się nie zastanawiamy". Jakie pani zna historie?

– Różne. Niektórzy są bardziej świadomi, inni mniej. Jeden strażnik mówił nam wprost o winie, której nigdy się nie pozbędzie, i o najgorszym przeżyciu swojego życia. Inni zachowywali się tak jak rozmówca Grynberga, usprawiedliwiając się. To normalne, ludzkie. Przecież nie pisali się na to. Byli już w służbie. Rozmawialiśmy z ludźmi, którzy mieszkają tam z dziada pradziada i mają różne rodzinne, towarzyskie stosunki ze strażnikami. Mówili, że kiedyś była to bardzo szanowana klasa. W okresie dużego bezrobocia to była fajna robota. To była kariera. I stosunkowo łatwa praca. Na białoruskiej granicy nic takiego się nie działo. Przedtem stała tam rozwalona siatka. Nagle coś takiego na nich spadło. Kompletnie nie byli do tego przygotowani, część z nich ma zespół stresu pourazowego.

U Grynberga pada pytanie o to, co musi się dziać w ich domach. W pracy wyrzucają za druty dzieci albo kobiety, które na Białorusi zostaną zgwałcone. A potem co? Wracają do domu, przytulają żonę i biorą swoje dziecko na kolana?

– Biorą. Znamy dobrze te mechanizmy z historii. W Cannes był w tym roku film Jonathana Glazera o komendancie Auschwitz, wiemy z niego, że taka sytuacja jest możliwa i da się te dwie rzeczy świetnie pogodzić. Przemysław Sadura i Sylwia Urbańska jeździli do strefy stanu wyjątkowego, rozmawiali z miejscowymi, również ze strażnikami, opisali to. Podobno strażnicy zaczęli pić. Pijaństwo osiągnęło tam niebywałe rozmiary.

Jeden z rozmówców Grynberga mówi: „Polska jest krajem człowieczeństwa ze sztandarów. Płody ratujemy, ale 27-osobowej grupy

eprasa.pl ba1a76a4c1

z mnóstwem dzieci już nie". Dalej stawia tezę, że nie zdziwi się, jak za pół wieku jakiś katolicki narodowiec będzie chciał przy granicy stawiać pomniki Polakom, którzy tak jak podczas Holokaustu ratowali tu ludzi. Że rozkwitną opowieści o tym, jak ludność Podlasia masowo ukrywała ludzi i im pomagała.

– Ja też mam taką myśl, że za 50 lat się okaże, że w każdej rodzinie był sprawiedliwy. Bardzo możliwe. Jeżeli z tym wszystkim się uporamy, to ci, którzy noszą tam dobro, staną się koniecznym alibi dla naszego powszechnego lenistwa moralnego. Od początku mam wrażenie, że odbywają się tam zapasy między dobrem a złem; że jest to takie laboratorium okrucieństwa i wielkoduszności. Gdy natomiast patrzę na aktywistów, to myślę, że jest to szkoła samarytaństwa i człowieczeństwa, której nic nie zastąpi.

Skąd pani zdaniem bierze się w nich ta gotowość działania?

– To jest w pewnym sensie specyficzny typ ludzi. Są wśród nas osoby, które mają skłonności do pomagania: zaciągają się do różnych misji, Polskiej Akcji Humanitarnej, Lekarzy bez Granic. Tacy również znaleźli się na tej granicy na pierwszej linii jako zawodowi aktywiści. Sami się zorganizowali, bardzo szybko i bardzo pięknie. Ale wielu tych, którzy są tam nadal, to amatorzy. Nigdy nie wpadliby na pomysł, żeby gdzieś jechać i kogoś ratować, ale nagle to stało się istotą ich życia i kompletnie ich zmieniło. To bardzo ciekawe historie, ale dają też powiew optymizmu, że to zło nie jest takie totalne.

Bo to jest w ogóle film, który zasiewa nadzieję. Płynie z niego lekcja, że nie ma granic, podziałów, sami je sobie stworzyliśmy: po obu stronach płotu są kobiety w ciąży, są dzieci, które mają te same marzenia i potrzeby. Oprócz położenia nic nas nie różni.

– Wszyscy jesteśmy ludźmi. W sytuacjach elementarnych, takich jak choroba, śmierć, narodziny, głód – nie ma żadnej różnicy. Ci, którzy z tym się zetknęli, będą już jednak innymi osobami.

Ludzkość jest zarażona wirusem rasizmu tak głęboko, że może nigdy nie uda się tego wyplenić.

Pani bohaterka w pewnym momencie mówi: „Pomaganie nie jest nielegalne".

– Propaganda państwowa namąciła w głowach. Ludzie bali się pomagać, nawet na podstawowym poziomie, bo wydawało im się, że będą mieli kłopoty z prawem. W stanie wyjątkowym rząd to kryminalizował i utrudniał pomagającym życie – służby takie osoby przetrzymywały w areszcie, robiły rewizję, szczuły. Rozmawiałam z aktywistką, która zajmuje się pomocą osadzonym w ośrodkach. Spotykają ją pogróżki i straszny hejt: przebijają jej opony w samochodzie, wymazują farbą i odchodami drzwi. Nie widać, żeby policja na to reagowała. Ale pomaganie nie jest nielegalne. Powiem odwrotnie: niepomaganie jest nielegalne.

A pani nie boi się zaszczucia? Na „Zieloną granicę" szykuje się nagonka.

– Chyba już się zaczęła. Staram się tego nie śledzić. Zachowuję higienę psychiczną i nie wchodzę na portale, gdzie ten hejt się leje. Jedyne, czego mogłabym się bać, to fizyczne ataki. Te medialne i polityczne zniosę bez kłopotu.

Film nie miał szans dostać dotacji z Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej.

– Jak się rozniosło, że kręcimy, minister Gliński napisał tweet, że żadne instytucje nie dały ani grosza na ten film. Kilkunastu moich kolegów i koleżanek przymierza się do tego tematu, ale nikomu nie udało się dostać dofinansowania z PISF. Sami przez rok szukaliśmy pieniędzy. Wsparł nas Fundusz Mazowiecki, dołożył się polski Canal+ i polski dystrybutor, ale pomoc przyszła głównie z krajów europejskich: czeski fundusz filmowy i czeska telewizja dały grant, tak samo instytucje z Belgii, Francji i Niemiec. Były też pieniądze od osób prywatnych. Wszyscy zgodzili się na zaniżone stawki – ja i producent na razie zrezygnowaliśmy z honorarium. Projektowi towarzyszyły silny imperatyw i solidarne poruszenie.

Sprawa leży pani na sercu. Przez lata sięgała pani po historie z przeszłości, a tu nagle film, który – nie wiem, czy to dobre słowo – można uznać za interwencję.

– Też nie wiem, czy to dobre słowo, ale motywacją na pewno były gniew i poczucie, że trzeba coś z tym zrobić. Mam nadzieję, że efekt jest bardziej złożony.

Mateusz Demski

FOT. AGATA KUBIS

eprasa.pl ba1a76a4c1

SPORY O UKRAINĘ
Jakie są cele USA?

Pomoc zbrojna USA to nie czysty altruizm, administracja Bidena skutecznie osiąga swoje cele

Jakub Dymek

„Ameryka będzie stać przy Ukrainie tak długo, jak będzie trzeba". Gdy w rocznicę inwazji Rosji na Ukrainę prezydent Biden kolejny raz powtarzał te słowa, mało kto podważał jego szczerość. Oczywiście, że prezydent Biden chce wspierać Ukrainę, a pakiety pomocy militarnej dla Ukrainy przyjmowano przy ponadpartyjnym poparciu. Morale w Waszyngtonie było – szczególnie po niezapowiedzianej wizycie Joego Bidena w Kijowie – wysokie, a nastroje podniosłe.

Co to jednak naprawdę znaczy, że Ameryka będzie przy Ukrainie tak długo, jak będzie trzeba? A jeśli kolejna ekipa w Białym Domu uzna, że zmieniły się warunki i wczorajsze zobowiązania należy porzucić? I gdzie przebiega granica między tym, co konieczne ze względu na interesy bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych, a tym, co korzystne dla samej Ukrainy i ekipy Zełenskiego? Ten sam prezydent USA mówił przecież, że będzie pomagał hojnie i odważnie, ale nie w ciemno i bezwarunkowo. „Nie zacznę III wojny światowej w Ukrainie", ogłosił Biden, gdy Rosjanie wciąż otaczali Kijów w pierwszych tygodniach pełnowymiarowego konfliktu. I nigdy z tych słów się nie wycofał.

Bo choć nikt nie wątpił w szczerość deklaracji Bidena, żaden dojrzały obserwator polityki nie łudził się, że postawa Waszyngtonu to czysty altruizm. A ta dyskusja – o granicach zaangażowania – znowu nabiera dynamiki. Skoro jednak nie wyłącznie idealizm i dobre chęci, to co jeszcze kieruje polityką Waszyngtonu wobec wojny rosyjsko-ukraińskiej?

Wzajemne rozczarowanie?

Pęknięcia między tym, czego chcą Waszyngton, Kijów, Berlin, Paryż, Bruksela czy Warszawa, ujawniły się na długo przed 24 lutego 2022 r. Ukraina z oczywistych powodów chce jednoznacznego zwycięstwa, administracja Bidena niezmiennie chce „zarządzać eskalacją" i osiągać przy tym korzyści. Warszawa i inne stolice regionu cieszą się z perspektywy większej obecności amerykańskiej na kontynencie. I z szans na uznanie wschodnioeuropejskich interesów bezpieczeństwa za ważne. Paryż i Berlin zmieniają swoją perspektywę, ale decydenci w tych krajach zgrzytają zębami na myśl o bezpowrotnym zerwaniu związków z Rosją i konsekwencjach konfliktu dla europejskiej gospodarki.

Pisaliśmy o tym zresztą w PRZEGLĄDZIE od początku i rozmawialiśmy z ekspertami, takimi jak Stephen Wertheim, Samuel Moyn czy Justin Logan, którzy nie bali się tego powiedzieć, nawet gdy był to pogląd niepopularny. Szerokie grono badaczy przekonywało też, że postawa „kompletne zwycięstwo nad Rosją albo nic" jest przeciwskuteczna, a rozdętych oczekiwań nie można podtrzymywać w nieskończoność. Jeszcze inni dodawali, że dysproporcja kosztów (Europa na konflikcie traci, USA zarabiają) prędzej czy później będzie musiała zrodzić napięcia. Zawiedzione nadzieje i czas zrobiły już swoje, a coraz więcej z tych opinii przebija się do głównego nurtu debaty. Łącznie z poglądami uznawanymi wcześniej za niedorzeczne lub wprost niebezpieczne.

Gdyby ktoś szukał punktu zwrotnego, należałoby najpewniej wskazać wiosenne i letnie miesiące 2023 r. Po wyciekach tajnych dokumentów wywiadowczych USA nabrała znaczenia bardziej surowa i pesymistyczna ocena tego, co dzieje się w Ukrainie.

> Postawa „kompletne zwycięstwo nad Rosją albo nic" jest przeciwskuteczna, a rozdętych oczekiwań nie można podtrzymywać w nieskończoność.

Straty obu stron są duże, postępy niewielkie, a szansa na wypchnięcie Rosjan z okupowanych terenów, w tym Krymu, w 2023 r. jest mniejsza, niż wcześniej się wydawało. Latem doszło do tego poczucie zawodu wobec braku sukcesów głośnej kontrofensywy. To, czy ukraiński sztab dowodzi kontrofensywą lepiej, czy gorzej, niż chcieliby tego natowscy i amerykańscy doradcy, jest drugorzędne. Nie chodzi bowiem tak naprawdę o to, czy ukraińska armia bohatersko walczy, a taktyka zdaje egzamin. Liczy się to, że rozczarowanie dochodzi do głosu już w głównym nurcie.

Na stronach „The Atlantic" możemy przeczytać, że trzeba ponownie

eprasa.pl ba1a76a4c1

Prezydent Zełeński był serdecznie przyjmowany w Waszyngtonie, co nie zmienia faktu, że pomoc dla Ukrainy to biznes dla USA. 21 grudnia 2022 r.

rozważyć negocjacje z Rosją, a Politico od kwietnia puszcza przecieki o tym, że administracja Bidena już się szykuje na porażkę ukraińskiej kontrofensywy. „Washington Post" pisze, że w opinii amerykańskiego wywiadu „cele ukraińskiej kontrofensywy nie zostaną osiągnięte". Gazeta dodaje, że „nieciekawe perspektywy, o których doniesiono już czołowym przedstawicielom republikanów i demokratów, doprowadziły do festiwalu wzajemnych oskarżeń za zamkniętymi drzwiami". I to dotyczy również napięć między stroną ukraińską a amerykańską. W wywiadach dla zachodnich mediów głównodowodzący ukraińskich sił zbrojnych gen. Wałerij Załużny czy minister spraw zagranicznych Dmytro Kułeba potrafią przywalić w sojuszników. Ten pierwszy powiedział, że amerykańskie warunki prowadzenia konfliktu uniemożliwiają mu skuteczne prowadzenie ofensywy (m.in. w wywiadzie dla „Washington Post" sprzed kilku tygodni). Kułeba dodał zaś ostatnio, że jeśli ktoś jest niezadowolony z postępów ukraińskiej armii, sam może chwycić za broń i dołączyć do Legionu Międzynarodowego, zamiast narzekać. Co ciekawe, ich pretensje mogą być jak najbardziej uzasadnione.

Ale o tym za chwilę. Wróćmy jeszcze do sporu w samym Waszyngtonie.

Realiści i idealiści

Spór o Ukrainę stworzył w USA dwa obozy. Można je nazwać obozami idealistów i realistów. Ale można też stronnictwem „walki o wszystko" i „obrony amerykańskiego interesu". Pierwszy jest dużo silniej reprezentowany w głównym nurcie debaty i jego najgłośniejsi przedstawiciele to nazwiska znane dobrze i w Polsce. Publicystka i historyczka Anne Applebaum, historyk Timothy Snyder, politolog Francis Fukuyama czy były ambasador USA w Moskwie za czasów Obamy Michael McFaul. Ci z drugiego obozu są mniej rozpoznawalni w świecie, z wyjątkiem może prof. Johna Mearsheimera, i stanowią pluralistyczną, choć raczej wychyloną w stronę prawicy grupę*.

Idealiści przekonują, że Ukraina nie tylko powinna, ale i może w decydujący sposób rozstrzygnąć wojnę militarnie. Zadaniem Stanów Zjednoczonych jest jej w tym pomóc z użyciem jak najszerszego wachlarza środków, nie zważając na budżetowe, polityczne czy militarne koszty takiego działania. A to dlatego, że cena, jaką Europa, transatlantycki system bezpieczeństwa i świat zapłaci za zwycięstwo Putina, będzie większa niż jakiekolwiek koszty pomocy Ukrainie. Idealiści wierzą w teorię domina. Jeśli Ukraina upadnie, celem kolejnych zbrojnych eskapad Putina staną się po kolei Mołdawia, państwa bałtyckie i Polska. Ale i na odwrót: zwycięstwo Ukrainy będzie globalną klęską populistów i autokratów. Triumf demokracji w Ukrainie przyniesie wkrótce demokratyczne ożywienie i tchnie ducha walki w mieszkańców Tajwanu, Hongkongu, Wenezueli, Białorusi, Kuby i samej Rosji. Zwycięstwo Kijowa może być nową „wiosną demokracji" na wzór roku 1989 i rozpadu ZSRR, o czym przekonywał choćby Fukuyama – ale nie tylko on.

Realiści są na przeciwnym biegunie, jeśli chodzi o oczekiwania i nadzieje na pozytywne rozstrzygnięcia. Najdalej pewnie idzie sam nestor realizmu, Mearsheimer. „Rosja ostatecznie wygra wojnę, choć nie będzie to zdecydowana porażka Ukrainy – orzekł w artykule opublikowanym w czerwcu na platformie Substack. – Moskwie uda się anektować duże połacie ukraińskiego terytorium, zamieniając ją w dysfukcjonalne, kadłubowe państewko. Będzie to zwycięstwo Rosji, ale zwycięstwo ohydne".

Nie wszyscy realiści idą aż tak daleko i z całą pewnością nie wszyscy mają podobną jak chicagowski profesor pewność w wygłaszaniu kategorycznych sądów. Ale łączy ich przekonanie, że całkowite zwycięstwo militarne Ukrainy nie jest

eprasa.pl ba1a76a4c1

w dzisiejszych okolicznościach możliwe. Zadaniem Zachodu powinno być więc poszukiwanie w całym wachlarzu złych rozwiązań tego najbardziej realistycznego, gwarantującego jak najtrwalszy pokój i oddalającego ryzyko konfrontacji NATO-Rosja. W większości przekonują też, że Ameryka powinna bronić swojego (i sojuszników) interesu, a porzucić już retorykę wolności, demokracji, wartości i zaniechać interweniowania w ich obronie na całym globie – co przynosiło więcej tragedii niż pożytku. Większość realistów jest również za taką czy inną formą negocjacji z Putinem.

Prezydent Biden deklarował, że „Ameryka będzie stać przy Ukrainie tak długo, jak będzie trzeba", ale zaznaczał też: „Nie zacznę III wojny światowej w Ukrainie".

Pokój czy kompromitacja?

Ilu obrońców amerykańskiego interesu, tyle odmiennych koncepcji. Profesor prawa międzynarodowego i historyk idei Samuel Moyn przekonywał w rozmowie z PRZEGLĄDEM, że najlepszym rozwiązaniem jest zawieszenie broni, przekazanie okupowanych terenów Ukrainy pod kontrolę międzynarodową i rozpisanie referendum dotyczącego przyszłości politycznej Donbasu. Analityk amerykańskiej RAND Corporation Samuel Charap przekonuje, że rozejm jest konieczny, a nawet zamrożenie konfliktu na wzór koreański może być lepsze niż dalsza druzgocąca Ukrainę i destabilizująca świat wojna. Charap, w przeciwieństwie do Mearsheimera, uważa, że Rosja już przegrała, negocjacje pokojowe nie mogą zatem „dać jej zwycięstwa na tacy", co głoszą jego przeciwnicy. Rozejm i rozmowy pokojowe mają zakończyć dalsze walki, które dziś nie przynoszą już żadnej ze stron postępów, za to prowadzą do niszczenia celów cywilnych na coraz to bardziej kreatywne sposoby. Utrata przez Rosję pozycji jest faktem, więc rozejm – nawet jeśli upokarzający dla Kijowa – to najlepszy sposób na powstrzymanie rozlewu krwi.

Tezy Charapa, dodajmy na marginesie, budzą taki opór, że magazyn „Foreign Affairs" wydrukował tego lata nie jedną, ale trzy obszerne polemiki z esejem „Wojna nie do wygrania" jego autorstwa. Ale także ludzie dużo silniej umocowani w amerykańskim establishmencie, tacy jak przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów gen. Mark Milley, wyłamują się czasami z obowiązującej linii administracji Bidena i mówią o konieczności negocjacji. Milley od zimy 2022 r. w wywiadach prasowych sugerował, że sukcesy Ukrainy na polu bitwy powinny być używane jako argument w przyszłych negocjacjach, a nie zachęta do stawiania sobie nierealistycznych celów. Przekonywał, że choć odbicie Krymu i militarne pokonanie Rosji na terenie Ukrainy nie jest niemożliwe, to będzie niezwykle trudne. I dodawał, że być może cele Ukrainy uda się osiągnąć na drodze dyplomacji.

Zadaniem Zachodu powinno być poszukiwanie rozwiązania najbardziej realistycznego, gwarantującego jak najtrwalszy pokój i oddalającego ryzyko konfrontacji NATO-Rosja.

Jeszcze inną szkołę reprezentuje nurt China First, czyli zwolennicy priorytetowego traktowania rywalizacji USA z Chinami. Jest wśród nich wpływowy za czasów Trumpa (a teraz w kręgach debaty akademickiej) doradca i akademik Elbridge Colby, który przekonuje, że dozbrajanie Ukrainy i wciąganie USA w konflikt odwraca uwagę od rywalizacji z Chinami i pożera cenne zasoby. To Europa powinna bronić Ukrainy, Ameryka zaś Tajwanu i Pacyfiku. Colby, jak większość przedstawicieli obozu realistycznego, uważa bowiem, że interes USA w obronie Ukrainy jest ograniczony. To znaczy, że negatywne konsekwencje upadku Ukrainy odczuje przede wszystkim Europa – wobec czego powinna ona się usamodzielnić. USA zaś przyznać wprost, że na liście priorytetów bezpieczeństwa rywalizacja o Azję i Pacyfik jest stokroć ważniejsza niż o Ukrainę.

Każdy z wyżej wymienionych zgodziłby się pewnie ze stwierdzeniem, że rywalizacja z Rosją ma obecnie dla Ameryki wymiar moralny, prestiżowy i polityczny. Ale nie jest kluczowa ze względów bezpieczeństwa i walki o globalną dominację. Dzisiejsza Rosja to nie ZSRR u szczytu potęgi, a demografia, gospodarka i odchodzenie od paliw kopalnych osłabią Moskwę w kolejnych dekadach niezależnie od tego, czy i ile Ukrainy uda się jej podporządkować.

Cui bono?

Spory ekspertów sporami ekspertów, ale prawda jest też taka, że USA

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl ba1a76a4c1

już są beneficjentem inwazji Putina. I choć trudno czasem wyznać tę brutalną prawdę, właśnie ten fakt kieruje polityką administracji Bidena.

Jakie korzyści odnosi Waszyngton? Po kolei: wielkie zyski z eksportu energii i zwiększenie zależności Europy od eksportu amerykańskiego LNG w miejsce rosyjskiego gazu. Jak pisałem już na tych łamach, największe zachodnie firmy z sektora energetycznego zarobiły więcej, niż wynosi suma pomocy militarnej, humanitarnej i finansowej dla Ukrainy przekazanej razem przez Stany Zjednoczone, Unię Europejską i Wielką Brytanię. Dalej: rozszerzenie NATO o Szwecję i Finlandię i szansa uzyskania całkowitej dominacji na Bałtyku. Rozszerzenie sojuszu i zwiększenie budżetów obronnych w Europie oznacza także całe lata zwiększonych zakupów zbrojeniowych, które będą korzystne dla amerykańskiej gospodarki i producentów uzbrojenia.

Utrata przez Rosję prestiżu i przynajmniej czasowy upadek wizji pokojowej współpracy Paryża, Berlina i Moskwy oznacza również zwycięstwo geopolitycznej wizji Ameryki, z którą jeszcze do niedawna próbowali się szarpać kolejni prezydenci Francji i kanclerze Niemiec. USA zyskują wreszcie na relatywnym osłabieniu europejskiej gospodarki (droższa energia), pompując w swoją subsydia na rozwój zielonych technologii i ściągnięcie do siebie najbardziej rozwojowych inwestycji. Jak przekonywali już wiosną na stronach internetowych European Council on Foreign Relations analitycy Jeremy Shapiro i Jana Puglierin, inwazja Putina doprowadziła do „wasalizacji" i „amerykanizacji" Europy – stała się ona „zależna od Ameryki, bo niezdolna ani do wytyczenia własnego kursu, ani do podążania już wytyczonym".

No i w końcu poprzez osłabianie Rosji rękami Ukraińców – i na życzenie Putina – USA grzebią ostatnie marzenia o wielobiegunowym świecie. Zastępują je wizją nowej zimnej wojny z Chinami, w której wszystkie państwa Zachodu chcąc nie chcąc będą musiały się opowiedzieć, po czyjej są stronie. Europa nie jest w stanie jednocześnie uniezależniać się i od USA, i od Rosji, walcząc przy tym o swoją podmiotowość.

W tym ujęciu – co oczywiście z polskiej perspektywy może się wydawać kontrowersyjne – Waszyngton nie ma interesu w rychłym pokoju. Skoro obecny rozwój sytuacji jednocześnie osłabia Rosję, uzależnia Europę od USA i pozwala obronić prestiż administracji Bidena, to znaczy, że „sekwencjonowanie" idzie świetnie. Propozycja ta kojarzy się z nazwiskiem Wessa Mitchella, byłego zastępcy sekretarza stanu ds. azjatyckich i europejskich za czasów Trumpa, czyli jednego z topowych dyplomatów zajmujących się naszym regionem. Co ciekawe, tekst Mitchella wzywający do takiego traktowania rywalizacji USA-Rosja-Chiny można w języku angielskim do dziś znaleźć na stronach Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych.

Waszyngton nie ma interesu w rychłym pokoju.

Dlatego niektórzy dopatrują się w całej tej sytuacji „geniuszu sekwencjonowania". To znaczy, że USA podjęły świadomie rywalizację ze słabszym z dwóch konkurentów. Zarazem decydując się pomagać Ukrainie na tyle, aby osłabiała Rosję bez ryzyka wciągnięcia NATO w konflikt. W tym wariancie konfrontacja z Rosją w ograniczonym zakresie jest wręcz potrzebna – bo unaocznia słabości Rosji i zmusza zachodnich sojuszników do produktywnego wysiłku. A na przyszłość może wręcz zmusi Rosję do ponownego rozważenia koncesji czy wprost ograniczenia swoich ambicji. Słowem, gdy bezskuteczność agresji zostanie dowiedziona, można będzie znowu rozmawiać o różnych taktycznych porozumieniach czy kolejnych resetach.

Skoro więc coś działa, nie ma powodu, aby to zmieniać. Dlatego taktyka Bidena wypływa wprost z tej chłodnej analizy sytuacji. Dopóki pomoc Ukrainie i rozwój konfliktu nie są przeszkodą na drodze do reelekcji na prezydenta i nie narażają świata na III wojnę, Biden pozostanie na obecnym kursie. I trudno temu się dziwić.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

* Aby uporządkować dyskusję, pomińmy grupy lewicowych pacyfistów i prawicowych prowokatorów krytykujących Bidena z pozycji nihilistycznych – stronnictwa, którym patronują z jednej strony Noam Chomsky, a z drugiej Tucker Carlson. Oba znajdują oczywiście szerokie grono zwolenników, ale w praktyce mają małe przełożenie na podejmowane w Waszyngtonie decyzje, dlatego – z uwagi na zwartość i przejrzystość tekstu – ich argumenty warto omówić przy innej okazji.

KSIĄŻKA PRZEGLĄDU

PRAWDZIWA DO BÓLU – ZBRODNIE BANDEROWCÓW OPISANE PRZEZ TYCH, KTÓRYM UDAŁO SIĘ PRZEŻYĆ

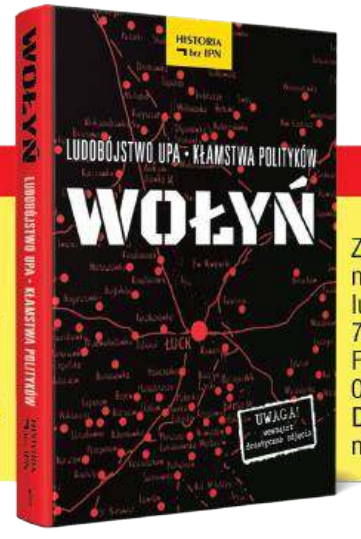

44 zł

Zamów książkę
na **sklep.tygodnikprzeglad.pl**
lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem
nierejestrowanym Pocztą Polską.

eprasa.pl ba1a76a4c1

Wielka płyta to nie dziadostwo

PiS cały czas utrudniało działania spółdzielców, a teraz mówi, że będzie ułatwiało. To po prostu hipokryzja

Rozmawia Robert Walenciak

WALDEMAR WITKOWSKI
– od 2006 r. przewodniczący Unii Pracy. Kandydat z ramienia paktu senackiego na senatora w okręgu nr 1, obejmującym powiaty bolesławiecki, lubański, lwówecki i zgorzelecki.

„Koniec z dziadostwem!", mówił premier Morawiecki, obiecując program rewitalizacji bloków z czasów Polski Ludowej. Te bloki to rzeczywiście dziadostwo?

– Niektórzy twierdzili, że te bloki wytrzymają maksymalnie 40 lat, a one są często w lepszym stanie niż te budowane na początku okresu transformacji, w latach 90. Wielka płyta się sprawdziła. Większość spółdzielni mieszkaniowych w odpowiednim czasie docieplila budynki, na bieżąco remontowała windy, klatki schodowe. Wielka płyta to nie jest żadne dziadostwo. Premier nie wie, o czym mówi. Może zna się na bankowości, ale na pewno nie na spółdzielczości i funkcjonowaniu osiedli mieszkaniowych.

Pewnie na takie osiedla w ogóle nie zagląda.

– A ja zarządzam od roku 1992 spółdzielnią mieszkaniową. Jako wiceprzewodniczący Krajowej Rady Spółdzielczej widzę także, co się dzieje w spółdzielczości w Polsce i co przez osiem lat zrobiło PiS. Premier mówi, że chce budować windy przy blokach, w których wind nie ma. Ale PiS nie wprowadziło rzeczy najprostszej – ułatwień w przepisach prawnych, by spółdzielnie same mogły budować windy. Osobiście parę lat temu pisałem w tej sprawie do premiera. Nic nie zrobił.

O czym pan pisał?

– Żeby uprościł sposób wydawania pozwoleń na budowę dźwigów osobowych. Dziś, żeby zacząć taką budowę, trzeba wpierw uzyskać warunki zabudowy. Większość terenów w Polsce nie ma planów zagospodarowania przestrzennego, więc trzeba uzyskać tzw. wuzetkę. Na to czeka się miesiącami. Uzgodnienia trzeba też przeprowadzić z wodociągami, z energetyką. Nie wiadomo dlaczego, przecież budynek istnieje, chcemy dobudować tylko klatkę na windę. Ale prawo mówi: trzeba mieć uzgodnienia. Potem, jak już wuzetka jest, trzeba czekać na pozwolenie na budowę. I znowu powtarza się cały cykl. A wystarczy, że w spółdzielni mieszkaniowej znajdzie się kilku współwłaścicieli i któryś powie „nie"… Oczywiście można to pominąć, zastępując ich zgodę postanowieniem sądu. Ale to znowu trwa.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl ba1a76a4c1

Nam potrzeba nie gadania premiera, ale zmiany prawa. PiS rządzi od ośmiu lat, dlaczego nie ułatwiło spółdzielniom mieszkaniowym realizowania słusznych postulatów mieszkańców, pozwalając na budowę wind, parkingów itd.? Chcecie nam ułatwić życie? Zmieńcie prawo.

Bo chce pan budować windy?

– Będziemy dobudowywać windy, bo coraz więcej ludzi jest starszych, ma kłopoty ze wspinaniem się na swoje piętro. Ale trzeba uprościć prawo. Jeżeli do 70 m kw. można budować budynek bez wuzetki, bez pozwolenia na budowę, to dlaczego szklana klatka na windę, na zewnątrz bloku, ma być budowana w całym cyklu inwestycyjnym? To głupota.

Nie będę ukrywał, że boję się pomysłów PiS dotyczących mieszkań. Ten najnowszy, z dwuprocentowym kredytem, nie zwiększył liczby mieszkań na rynku, za to mocno podniósł ich cenę.

– Wciąż to powtarzam: mieszkania lokatorskie! Nie trzeba mieć własności, żeby mieszkać w mieszkaniu, które może być cały czas nasze. Obniżmy też koszty budowy mieszkań. Można to zrobić w prosty sposób. Publiczna ziemia, państwowa albo samorządowa – pod budownictwo wielorodzinne! Ale bez prawa własności. Niech spółdzielnia mieszkaniowa dostanie ją w użytkowanie za darmo. Tak było w starych czasach i tak może być w czasach obecnych. Tym bardziej że to jest praktyka stosowana w wielu państwach na świecie. A uzbrojenie terenu – kanalizacja, wodociągi, energetyka itd. – dlaczego, jeżeli to ma służyć realizacji celu społecznego, czyli budownictwa lokatorskiego czy społecznego, nie ma być za darmo? Gdyby spółdzielnie nie musiały płacić za uzbrojenie terenów gigantycznych pieniędzy, mieszkania byłyby tańsze…

Co premier powiedział nowego? Czy obiecał coś, czego spółdzielnie nie robią?

– Premier mówił o termoizolacji – otóż my generalnie realizujemy programy termoizolacyjne od lat 90. ubiegłego wieku. Wówczas zaczęła się praktyka docieplania budynków, wymiany instalacji, termozaworów itd.

Wołano, że po ociepleniu budynków spółdzielnie malują je na różne kolory i mamy pastelozę.

– Prawda była taka, że do lat 80. ceny ciepła produkowanego przez ciepłownie, ze względu na bardzo tani węgiel, były stosunkowo niskie. Państwo zresztą dopłacało przedsiębiorstwom energetycznym, żeby mieszkańcom nie podnosić kosztów. Państwo ustalało też, kiedy można było ciepło włączyć. Musiały być trzy kolejne dni z temperaturą o godz. 15 poniżej 10 st. C, dopiero wtedy można było system uruchomić. Dzisiaj to gestorzy zasobów o tym decydują, no i starają się robić takie systemy, żeby mieszkańcy płacili jak najmniej. Mamy termozawory, zoptymalizowane systemy dostarczania ciepłej wody i to wszystko od dwudziestu paru lat.

Premier mówił o termoizolacji. Otóż my generalnie realizujemy programy termoizolacyjne od lat 90. ubiegłego wieku.

Fotowoltaika, proszę bardzo! Za rządów PiS wymyślono, że dla instalacji powyżej 6,6 kW wymagana jest opinia strażaka. Cykl montażu wydłuża się przez to, że nie wierzy się specjalistom, którzy te instalacje kładą, architektom, inżynierom… PiS cały czas utrudniało działania spółdzielców, a teraz mówi, że będzie ułatwiało. To jest po prostu hipokryzja, opowiadanie, że zrobią, czego nie zrobili poprzednio, jakby nie rządzili od ośmiu lat.

W pańskiej spółdzielni fotowoltaika już działa?

– Instalowaliśmy ją jeszcze w starym systemie. W tym roku dołożyliśmy panele na wszystkich wysokich budynkach. Fotowoltaika na wysokich budynkach sprawdza się lepiej niż na niskich, bo to muszą być miejsca niezacienione. Poza tym najlepiej, gdy zużywa się energię w dużej części na własne potrzeby, czyli tam, gdzie są własne dźwigi, a w wysokich budynkach one są, a także hydrofornie, które poprawiają ciśnienie wody na wyższych kondygnacjach. A jak ja mam handlować energią z paneli, składać deklaracje specjalne, akcyzowe… Niby zachęca się do takich inwestycji, a później tworzy się bariery, które utrudniają działanie.

Te 5 mld zł rocznie, które premier obiecuje, to chyba ciekawy temat.

– Dziś też są różne fundusze, z których można pozyskiwać środki. A byłoby ich znacznie więcej, gdyby rządzący dostali te pieniądze z KPO. Europa ma na modernizację dużo pieniędzy. Ale rząd ich nie chce.

A jak pan sobie radzi w swojej spółdzielni?

– Generalnie jesteśmy jedną z najtańszych spółdzielni. Procesy termomodernizacyjne zacząłem, jeszcze będąc w zespole doradczym pani minister Blidy, to było prawie 30 lat temu. Wtedy rząd uruchomił pieniądze na termomodernizację. Już wtedy bardzo znaczącą część zasobów ocieplliliśmy.

PiS przez osiem lat nie wprowadziło rzeczy najprostszej – ułatwień w przepisach prawnych, by spółdzielnie same mogły budować windy.

Okna też wymieniliście?

– Okien nie wymienialiśmy masowo. Uważam, że to był głupi trend, ta powszechna wymiana okien w budynkach, w których projektanci przewidywali wymianę powietrza przez naturalne nieszczelności. Przyszły grubsze ściany, szczelne okna i robił się z mieszkania termos. Okna mogą być szczelne, pod warunkiem że nie ma paleniska domowego. Spalanie gazu powoduje wytwarzanie się dużych ilości pary wodnej, bo wodór, który jest w gazie, spala się do wody. Efekt jest taki, że pojawiają się przemarzania, zagrzybienia, wilgoć itd. Pamiętajmy, że zawsze musi być dopływ świeżego powietrza i odpowiednia wentylacja pomieszczeń.

eprasa.pl ba1a76a4c1

Zastanawiał się pan, jak premier chce godzić rozbudowę parkingów ze zwiększaniem ilości zieleni?

– Nie wiem, kto mu to podpowiadał. Może myślał o parkingach wielopoziomowych?

Przed blokiem taki parking nie stanie.

– Generalnie tendencja światowa jest taka, że samochody są kierowane na obrzeża, a w mieście preferujmy ruch pieszy, drogi rowerowe itd. Oczywiście starsi ludzie mają samochody i gdzieś muszą parkować, ale nigdy nie było takich norm, że na każde mieszkanie musi być jedno miejsce parkingowe. Jak więc ten problem rozwiązać? Albo budując wielopoziomowe parkingi, bardzo drogie, albo parkingi zielone. Samochody stoją prawie na trawniku, na ażurowej, betonowej kostce. Bardzo trudno jest zwiększyć chłonność miejsc parkingowych bez jakichś ograniczeń terenu zielonego.

Stare osiedla, te z czasów PRL, mają więcej terenów zielonych niż te nowe.

– Wtedy projektowano osiedla z jakąś wizją prospołeczną. Osiedle to nie były tylko mieszkania i wąska przestrzeń wokół. Dbano, żeby była infrastruktura: place zabaw, zieleń, szkoły, przedszkola, boiska, sklepy, domy kultury, żeby na tych większych osiedlach było wszystko. Dzisiaj deweloper takimi rzeczami się nie zajmuje, liczy się dla niego kryterium zysku, a nie kryterium jakiegoś tam zdrowia, potrzeb społecznych. To jest ta różnica.

W wielkiej płycie mieszka ponad 8 mln Polaków. Przeważnie w blokach spółdzielczych. Te spółdzielnie...

– ...w zdecydowanej większości dobrze sobie dają radę. Dziś bloki spółdzielcze generalnie są zadbane, z wymienionymi instalacjami, ocieplone, ładnie otynkowane, dobrze utrzymane. Rozwiązanie korporacyjne akurat w spółdzielczości bardzo dobrze się sprawdza, nie tylko w Polsce, bo tak jest też w wielu miejscach na świecie. Niech więc ten rząd zajmuje się swoimi sprawami, a nam nie przeszkadza. My to sami ogarniamy.

Robert Walenciak

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

BOGDANKA – od ściany do ściany

W polskim górnictwie i energetyce wiele musi się zmienić, by wszystko zostało po staremu

Marek Czarkowski

By ratować polskie kopalnie, rząd Prawa i Sprawiedliwości najpierw z entuzjazmem realizował pomysł Platformy Obywatelskiej łączenia ich z grupami energetycznymi, a teraz – znów by je ratować – równie entuzjastycznie planuje przeniesienie ich do nowego tworu, Narodowej Agencji Bezpieczeństwa Energetycznego. Tak historia transformacji polskiego górnictwa i energetyki zatoczyła koło (zapewne nie po raz ostatni). Dlaczego?

Pod koniec 2015 r. Grupa Enea za 1,46 mld zł kupiła pakiet ponad 65% akcji kopalni Lubelski Węgiel Bogdanka. Enea to spółka giełdowa z przeszło 52-procentowym udziałem skarbu państwa, zajmująca się m.in. wytwarzaniem i dystrybucją energii elektrycznej. Dostarcza prąd 2,6 mln klientów. Ma też dwie wielkie elektrownie: w Kozienicach i Połańcu. W praktyce było to przekładanie akcji i pieniędzy z jednej kieszeni do drugiej w tych samych spodniach.

Pod koniec sierpnia br. minister aktywów państwowych Jacek Sasin powtórzył numer, tylko w odwrotną stronę. Skarb państwa złożył Enei ofertę nie do odrzucenia – odsprzedaży wspomnianych 65% akcji Bogdanki za 988 mln zł. Transakcja ma zostać sfinalizowana w najbliższych miesiącach. Zapłata zostanie uregulowana nie w gotówce, ale w obligacjach skarbowych. To kolejny element realizacji planów transformacji polskiego górnictwa i energetyki w związku z unijnymi programami ograniczenia w Europie do połowy XXI w. emisji dwutlenku węgla. W Polsce idzie to jak po grudzie.

Niespełnione obietnice

O tym, że energetyka oparta na węglu kamiennym i brunatnym nie ma na Starym Kontynencie przyszłości, wiadomo od lat. Bogate europejskie społeczeństwa nie chcą oddychać zanieczyszczonym powietrzem i mierzyć się z coraz gwałtowniejszymi zmianami klimatu wywołanymi efektem cieplarnianym. Rada Unii Europejskiej już na początku marca 2007 r. przyjęła założenia dotyczące przeciwdziałania zmianom klimatycznym. Mówiły one, że do 2020 r. UE dokona 20-procentowej redukcji emisji gazów cieplarnianych, zwiększy zaś, również o 20%, udział w zużyciu energii pochodzącej z odnawialnych źródeł i efektywność energetyczną, a o 10% udział biopaliw w ogólnym zużyciu paliw transportowych. Parlament Europejski przyjął te propozycje w roku 2009. Polski rząd i nasi eurodeputowani byli „za".

W lipcu 2021 r. Komisja Europejska zaproponowała kolejny pakiet – nazwany „Fit for 55", którego celem była redukcja emisji gazów cieplarnianych o 55% do roku 2030. Rząd Mateusza Morawieckiego był oczywiście „za", choć w kraju przedstawiał pakiet jako brutalny gwałt Niemców na Polsce, plan służący zniszczeniu naszej gospodarki. Jeśli uważnie wczytać się w założenia owego pakietu, jest jasne, że polski system energetyczny,

eprasa.pl ba1a76a4c1

Bogdanka to najnowocześniejsza kopalnia w Polsce i choć nie wydobędzie w tym roku 9 mln ton węgla, to i z 7 mln ton będą zyski.

oparty dziś w 65% na węglu kamiennym i brunatnym, musi przejść głęboką transformację. Zamykanie kopalń i ich likwidacja, która rozpoczęła się w latach 90. XX w., będą realizowane albo planowo, w sposób uporządkowany, albo chaotycznie. Zakłada się, że po roku 2050 zakończą działalność takie elektrownie jak Kozienice, Połaniec, Bełchatów, Turów czy Dolna Odra, zastąpione przez elektrownie atomowe i odnawialne źródła energii.

Już teraz dolegliwy jest wzrost kosztów importu surowców energetycznych. W 2022 r. wydaliśmy na ten cel rekordowe 193 mld zł. Rok wcześniej – ok. 100 mld zł. Systematycznie spada wydobycie węgla energetycznego, a potrzeby uzupełniane są importem, który w ubiegłym roku wyniósł prawie 17 mln ton. W efekcie produkcja energii elektrycznej z węgla kamiennego spadła o 6% w porównaniu do roku 2021.

Wywołany wojną w Ukrainie niespotykany wzrost cen gazu ziemnego wymusił w ubiegłym roku zmniejszenie produkcji polskich elektrowni gazowych o 25%. Ratował nas wzrost produkcji energii elektrycznej z odnawialnych źródeł energii – produkcja z fotowoltaiki wzrosła w stosunku do roku 2021 o 102%, a z lądowych farm wiatrowych o 19%.

Jednocześnie premier Mateusz Morawiecki, prezes Jarosław Kaczyński, minister Jacek Sasin i inni politycy PiS solennie obiecywali, że będą bronili polskiego węgla jak niepodległości, na przekór wrażym knowaniom Berlina i Kremla. Nic z tego. Warszawa będzie w przyszłości godziła się na wszystkie propozycje urzędników Komisji Europejskiej oraz przedstawicieli Berlina i Paryża dotyczące ograniczenia emisji dwutlenku węgla. Dlaczego?

Po pierwsze – bo nasi politycy liczą na dziesiątki, a nawet setki miliardów złotych z unijnych dotacji, które ułatwią odejście od energetyki opartej na węglu.

Po drugie – wiedzą oni, że przy rosnących cenach surowców energetycznych i opłatach za prawa do emisji dwutlenku węgla koszt produkcji prądu w Polsce staje się dramatycznie wysoki. W roku ubiegłym koszt produkcji 1 kWh prądu z węgla kamiennego wahał się od 41 do 50 gr. W przypadku elektrowni gazowych był jeszcze wyższy. Koszt produkcji energii elektrycznej z instalacji fotowoltaicznych był natomiast od 60% do 80% niższy. Polski Instytut Ekonomiczny w zeszłym roku szacował, że koszt wytwarzania energii elektrycznej w elektrowniach jądrowych będzie od dwóch i pół do czterech razy niższy niż w elektrowniach węglowych.

Energetyka oparta na węglu nie ma przyszłości. Nie ze względu na kolejne unijne pakiety klimatyczne, lecz z powodu rosnących kosztów. Dobrze byłoby, gdyby wybrańcy narodu, bez względu na barwy polityczne, powiedzieli uczciwie Polakom, co nas czeka i ile za to zapłacimy. Bo budowę elektrowni atomowych, farm wiatrowych oraz fotowoltaiki sfinansują gospodynie domowe, każdego miesiąca płacąc rachunki za prąd.

Byłem górnik, jestem starzyk

Prace nad wydzieleniem aktywów węglowych ze spółek energetycznych do osobnego podmiotu rząd Mateusza Morawieckiego rozpoczął w czerwcu 2020 r. Rok 2021 minął na intensywnym biciu piany. W roku 2022 nastąpiło przyśpieszenie. 3 sierpnia na mocy umowy warunkowej spółki energetyczne PGNiG

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ba1a76a4c1

Termika SA, PGE Górnictwo i Energetyka Konwencjonalna SA, ECARB sp. z o.o. i Enea SA sprzedały akcje Polskiej Grupy Górniczej SA na rzecz skarbu państwa za cenę 1 zł za każdy pakiet akcji. Był to poważny krok w stronę powołania Narodowej Agencji Bezpieczeństwa Energetycznego.

10 sierpnia br. przedstawiciele spółek energetycznych (PGE, Tauronu, Enei oraz Energi) podpisali w Ministerstwie Aktywów Państwowych dokumenty określające kluczowe warunki zbycia na rzecz skarbu państwa ich aktywów węglowych, które następnie wejdą do NABE. Na mocy tej umowy trafią do niej istniejące elektrownie węglowe oraz kopalnie węgla brunatnego. Narodowa Agencja Bezpieczeństwa Energetycznego – jako podmiot w całości należący do skarbu państwa – będzie funkcjonować na bazie jednej ze spółek zależnych PGE Polskiej Grupy Energetycznej – PGE GiEK.

Jednym z etapów procesu tworzenia NABE był zakup za prawie 1 mld zł 65% akcji kopalni Lubelski Węgiel Bogdanka. Cel tych operacji jest prosty – chodzi o zdjęcie ze spółek energetycznych, takich jak PGE, Tauron, Enea oraz Energa, ciężaru coraz bardziej kosztownych kopalń i elektrowni węglowych. W założeniach spółki te mają w przyszłości zająć się energetyką odnawialną. A dzięki pozbyciu się kłopotliwych podmiotów łatwiej im będzie zaciągać niezbędne kredyty. Narodowa Agencja Bezpieczeństwa Energetycznego znajdzie się zaś pod bezpośrednią pieczą skarbu państwa.

Zakłada się, że po 2050 r. zakończą działalność elektrownie Kozienice, Połaniec, Bełchatów, Turów czy Dolna Odra, zastąpione przez elektrownie atomowe i odnawialne źródła energii.

Przypadek kopalni Bogdanka, która jest najlepsza w Polsce i w tym roku po raz kolejny notuje liczone w setkach milionów złotych zyski, ujawnił przykrą prawdę. Polskie górnictwo węgla kamiennego jest niedoinwestowane. Co gorsza, ze względu na rabunkowe wydobycie kurczą się możliwości zwiększenia produkcji. Degraduje się sprzęt, kopalnie mają ogromne problemy z zaciąganiem kredytów, górnicy odchodzą na emerytury albo szukają innej pracy. W górnictwie nie ma zbiorowego układu pracy, są za to porozumienia, które w ostatnich latach załogi kopalń podpisywały z zarządami spółek energetycznych.

Bogdanka zasłynęła niedawno romantycznym gestem szefa gabinetu Jarosława Kaczyńskiego, 29-letniego Michała Moskala, który w styczniu br. zjechał ze swoją wybranką 960 m pod ziemię, by się jej oświadczyć. W mediach pojawiła się informacja, że w związku z tym wydarzeniem na pół godziny wstrzymana została praca w kopalni. Cóż, kto wybitnemu politykowi zabroni?

Natomiast we wrześniu ubiegłego roku nastąpiło zaciśnięcie się – na skutek gwałtownego wzrostu ciśnienia eksploatacyjnego – ściany wydobywczej uruchomionej 31 sierpnia. Zmusiło to kopalnię do ograniczenia wydobycia węgla i podjęcia kosztownych prac, których celem było przywrócenie możliwości eksploatacyjnych. W lutym br. zdarzyło się nowe nieszczęście, pojawiły się wody podziemne, co doprowadziło do rezygnacji z wydobycia węgla w tym miejscu.

A jednak nie odbiło się to zbytnio na finansach spółki. Bogdanka to najnowocześniejsza kopalnia w Polsce i choć nie wydobędzie w tym roku 9 mln ton węgla, to i z 7 mln ton wszyscy będą zadowoleni, bo z pewnością będą zyski.

Wydawać by się mogło, że przyszłość Narodowej Agencji Bezpieczeństwa Energetycznego zależy od wyniku październikowych wyborów parlamentarnych – jeśli opozycja je wygra i utworzy rząd, zrezygnuje z tego projektu. Nie sądzę, by tak się stało. Niezależnie od tego, kto będzie rządził, będzie musiał coś zrobić z aktywami węglowymi, NABE zaś nie jest najgorszym pomysłem. To od ludzi kierujących agencją będzie zależał jej umiarkowany sukces. Zgodnie z zasadą: wiele musi się zmienić, by wszystko zostało po staremu. I aby w końcu bezpiecznie przeprowadzić górników na zasłużone emerytury, a nie szarpać się od ściany do ściany.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ba1a76a4c1

Z Galicji

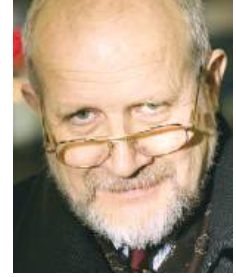

Jan Widacki

Do wyborów coraz bliżej

Na mniej więcej miesiąc przed wyborami sondaże pokazują, że zgodnie z oczekiwaniami wskaźniki poparcia rosną i PiS, i Koalicji Obywatelskiej, choć niestety KO rosną słabiej. Wedle najnowszego sondażu PiS ma 37% poparcia, KO – 31%. Maleje poparcie dla pozostałych partii. Na szczęście zmalało nieco poparcie dla Konfederacji, niestety zmalało także dla Trzeciej Drogi i Lewicy. To, co ubyło Konfederacji, przybyło PiS. Koalicji Obywatelskiej przybywa z kolei kosztem Trzeciej Drogi i Lewicy. To zrozumiałe, że im bliżej wyborów, im kampania wyborcza bardziej rozkręcona i brutalna, a polaryzacja społeczeństwa większa, tym więcej będą zyskiwać dwie najsilniejsze partie, czyli PiS i PO, a tracić pozostałe. Wie to każdy, kto ma elementarne rozeznanie w polityce. Ale, jak widać, nie każdy, kto do polityki się garnie i chce ją uprawiać, takie rozeznanie ma.

Najwyraźniej brakuje go szefom Trzeciej Drogi. Nie dziwię się nadambitnemu harcerzykowi Hołowni. Poza tym, że mówi dużo i nerwowo (albo, niech będzie, nie nerwowo, tylko emocjonalnie), w dodatku stale to samo, niewiele potrafi. Początkowo twierdził, że Polacy (a, prawda, teraz się mówi: „Polki i Polacy") są zmęczeni walką Platformy z PiS i dlatego potrzebują Trzeciej Drogi, którą on im oferuje. Jak wynika z sondaży, Polki i Polacy z tej oferty nie bardzo chcą skorzystać. Nie zorientował się? Ogłaszał też, że trzeba odsunąć PiS od władzy. Bardzo słuszny postulat, ale jak się ma kilkuprocentowe poparcie, to raczej trudno będzie go zrealizować. No i głosił, że trzeba dokonać rozdziału Kościoła od państwa. Nic specjalnie odkrywczego, zapisane jest to w konstytucji, wystarczy jej przestrzegać. Dziwię się jednak Kosiniakowi-Kamyszowi, który doświadczenie polityczne ma od Hołowni nieporównanie większe, a wpakował się w Trzecią Drogę, która jest, jak się obawiam, drogą donikąd albo jeszcze gorzej – drogą do zwycięstwa PiS.

Przypomnijmy, Trzecia Droga startuje jako koalicja. Aby wejść do Sejmu, musi przekroczyć próg nie pięcioprocentowy jak wszystkie partie, ale ośmioprocentowy. Jeszcze zanim rejestrowano listy komitetów wyborczych, Trzecia Droga cieszyła się w sondażach poparciem ciut powyżej 8%. Był to ostatni moment, kiedy można było stworzyć wspólną listę z Platformą (Koalicją Obywatelską). Ambicja nie pozwalała? Czy zabrakło politycznego rozumu? Można było łatwo przewidzieć, że w miarę zbliżania się terminu wyborów będzie rosło poparcie dla dwóch najważniejszych graczy, Platformy i PiS. A pula głosów to naprawdę tylko 100%. Jak komuś rośnie poparcie, to czyimś kosztem. Nawet Kosiniak-Kamysz tego nie wiedział? Teraz, jeśli Trzecia Droga nie przekroczy ośmioprocentowego progu, głosy na nią oddane zostaną rozdzielone między te partie, które miały najwięcej wyborców. Na klęsce Trzeciej Drogi najbardziej zyska PiS.

Na tej przedwyborczej polaryzacji sceny politycznej traci również Lewica. Ta przynajmniej nie z własnej winy. Lewica od początku była za wspólną listą opozycji, tylko zdaje się poza nią nikt na opozycji tej wspólnej listy nie chciał.

Platforma zamierza jeszcze wykonać rzut na taśmę i na 1 października szykuje kolejny wielki marsz opozycji. Oby się powiódł, ale wątpię. „Nic dwa razy się nie zdarza", głoszą słowa piosenki. Powtórki z czerwcowego marszu nie będzie. Społeczeństwo (przynajmniej ta część, która głosuje na opozycję) pogrążyło się w apatii. Wiara w zwycięstwo opozycji w najbliższych wyborach zdecydowanie osłabła. Obawiam się, że organizatorzy marszu też będą bardziej zajęci indywidualnymi kampaniami wyborczymi niż zachęcaniem ludzi do udziału w manifestacji. Poza tym Platforma po raz kolejny popełnia ten sam błąd. Chcąc wygrać wybory, musi mieć coś do zaoferowania tym, którzy dotąd głosowali na PiS. Obrzydzaniem PiS ich przecież nie przyciągnie. Oferuje coś?

> Im bliżej wyborów, im kampania wyborcza bardziej brutalna, tym więcej będą zyskiwać dwie najsilniejsze partie, czyli PiS i PO, a tracić pozostałe.

Czarna wizja jest taka. Po wyborach rządzi koalicja PiS-Konfederacja. Premierem jest Przemysław Czarnek, ministrem nauki i edukacji Grzegorz Braun, zdrowia – Łukasz Mejza, kultury – Zenek Martyniuk (trochę szkoda, bo do tej pory był to mój kandydat na dyrektora Filharmonii Narodowej). Jest jeszcze do wykorzystania wiceminister Janusz Kowalski. Resort obojętny. W materii sprawiedliwości trudno w takim gronie o lepszą kandydaturę niż wypróbowany Zbigniew Ziobro. W ślad za tym idą dalsze nominacje: prezesem PAN zostaje doktor od nawigacji w więziennictwie Patryk Jaki...

Nie chcecie, by ta czarna wizja się zrealizowała? Idźcie na wybory! A wcześniej porozmawiajcie w rodzinie i z sąsiadami.

■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ba1a76a4c1

Załatwiam sprawy do końca

Działalność ministra Czarnka, mówię to jako mama i radna zajmująca się edukacją, jest przerażająca. Szkoły zostały zdemolowane na każdym poziomie

Rozmawia Kornel Wawrzyniak

Zapowiedziała pani, że jej kluczowe cele to świeckie państwo, bezpieczne kobiety i dzieci z pełnią praw oraz dobrostan ludzi kultury. Właściwie każde z tych zadań to praca, którą w Polsce trzeba wykonać od zera.

– Nie od zera! Pracujemy nad tymi sprawami od wielu lat. Mamy program i przygotowane zmiany prawne. Jako polityczki Lewicy współpracowałyśmy przy tworzeniu projektu ustawy Legalna aborcja bez kompromisów i zbieraniu pod nim podpisów. Włączyłam się w sprawy mobbingowanych kobiet w służbach mundurowych i sprawy samotnych matek, które w związku z wadliwym prawem w Polsce są pozbawiane dzieci.

Trzeba jeszcze to wszystko wprowadzić w życie.

– Po wyborach na pewno będziemy musieli się dogadać z pozostałymi partiami opozycji i wiemy, że w niektórych sprawach niestety są one o kilka kroków za społeczeństwem. Ale jestem pewna, że gdy usiądziemy przy jednym stole, dojdziemy do porozumienia. Są oczywiście rzeczy, których załatwienie będzie wymagało więcej czasu, bo zostały zdemolowane na tak wielu poziomach, że nie da się tego załatwić w miesiąc. Takim polem jest przede wszystkim edukacja.

Ile czasu może zająć sprzątanie w szkole po Czarnku i jego „rewolucjach"?

– Działalność ministra Czarnka, mówię to jako mama i jako radna zajmująca się edukacją, jest przerażająca. Szkoły zostały zdemolowane na każdym możliwym poziomie, zarówno programów nauczania, jak i warunków pracy nauczycieli. Co teraz mamy? Nauczyciele uciekają ze szkół, mówią: do widzenia, idę pracować gdzie indziej. W Warszawie brakuje kilku tysięcy nauczycieli, rodzice alarmują, że do szkół trafiają ludzie z łapanki, którzy nigdy wcześniej edukacją się nie zajmowali, nie mają żadnego przygotowania pedagogicznego. A mają uczyć dzieci! Bywa, że wychowawcami zostają osoby, które tydzień wcześniej podjęły pracę nauczyciela. Czy taka szkoła może dobrze działać? To jest coś, co niszczy szanse życiowe pokoleń młodych ludzi w Polsce, i coś, za co Czarnek i jego ludzie muszą odpowiedzieć. Musimy to mówić wprost: państwo zaatakowało własne dzieci. Przez własne zaniechania pozbawia je życiowych szans.

AGATA DIDUSZKO-ZYGLEWSKA
– dziennikarka, działaczka społeczna, polityczka Lewicy, od 2018 r. radna Warszawy. Współautorka mapy kościelnej pedofilii i raportu o jej tuszowaniu przez polskich biskupów, kandydatka Lewicy do Sejmu w okręgu nr 19 (Warszawa), pozycja 3.

Szkoła ministra Czarnka odpuszcza matematykę czy informatykę, za to pojawiają się takie przedmioty jak historia i teraźniejszość, a także naciski, by jak najwięcej dzieci chodziło na religię.

– Zdarzało mi się interweniować w szkołach, w których np. dzieciaki były prześladowane za udział w protestach czy za pokazywanie się z tęczową flagą. Jest to naprawdę straszne.

Obawiam się, że polskiej szkoły nie da się zmienić od ręki.

– Rzeczywiście, w edukacji nie można niczego zrobić natychmiast, trzeba skoordynować wiele aspektów oświaty w sposób przemyślany, konsultując się z ekspertami i związkami zawodowymi – od treści podręczników i podstaw programowych, przez kompetencje dyrektorów szkół i kuratorów, po pensje nauczycieli i sposób ich przygotowywania do zawodu. Bo prawie nikt nie chce iść uczyć w szkole. I trudno się dziwić,

eprasa.pl ba1a76a4c1

skoro pensja nie wystarcza do pierwszego, a metodyka nauczania wielu przedmiotów pozostaje archaiczna. W tej dziedzinie trzeba zrobić wszystko właściwie od zera. To wielka praca. Szczęście w nieszczęściu polega na tym, że jest mnóstwo ludzi, którzy mają to przemyślane, którzy są ekspertami w sprawie edukacji. Kompetencji nam nie brakuje. Wiemy, co zrobić, by szkoła dobrze uczyła i była przyjazna, bezpieczna.

Jeśli chodzi o bezpieczeństwo kobiet i dzieci, dzień przed naszym spotkaniem na okładce „Super Expressu" znalazł się Janusz Korwin-Mikke, symbol Konfederacji, który opowiada, jak bije syna.

– Przyzwolenie na bicie dzieci, wypowiadane przez polityków, którzy są jakimś punktem odniesienia dla ludzi, jest skandaliczne. Przemoc fizyczna wobec dzieci jest w Polsce zakazana. Zgodnie z zapisami Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego „osobom wykonującym władzę rodzicielską oraz sprawującym opiekę lub pieczę nad małoletnim zakazuje się stosowania kar cielesnych". Bicie dzieci, czyli naruszanie ich nietykalności cielesnej, podlega karze także na podstawie art. 207 i art. 217 Kodeksu karnego. Bezkarność polityków związanych z prawicą, którzy nie tylko bronią publicznie bicia dzieci, ale wręcz do bicia się przyznają, jest porażająca. Mamy statystyki, z których wiemy, że rocznie w Polsce kilkadziesięcioro dzieci ginie zakatowanych we własnych domach, natomiast bitych są setki tysięcy. Dlatego zapraszanie populistów propagujących tę przemoc do mediów jest absolutnym skandalem.

Tutaj znowu zawodzi system.

– Bywam na spotkaniach sejmowego zespołu ds. sytuacji dziecka w polskim prawie karnym prowadzonego przez Anitę Kucharską-Dziedzic. Dzieci naprawdę nie są dobrze chronione. O czym dyskutuje się nie tylko na lewicy. Zespołowi udało się doprowadzić do przyjęcia procedury, która działa już Anglii, czyli Serious Case Review. Polega ona na tym, że na podstawie najgorszych zdarzeń, kiedy zawiodło wszystko, tak jak w historii Kamila, gdy mimo błagań chłopczyka o pomoc nikt na policji ani w szkole nie zareagował, analizuje się, co zawiodło, i wprowadza poprawki prawne.

W Polsce nikt nie dzwoni na policję, słysząc za ścianą krzyki dziecka. Nauczycielka ignorowała siniaki na ciele Kamila.

– Dotyka pan bardzo ważnej kwestii – musimy zmienić mentalność społeczeństwa. Dzieci nie są własnością rodziców i mają prawa! Potrzeba tutaj publicznej rozmowy, również o tym, że nie możemy akceptować w przestrzeni publicznej takich wypowiedzi jak ta Korwin-Mikkego. Przykład idzie z góry, ludzie nie reagują na krzyki dziecka za ścianą po części dlatego, że wszędzie czytają i słyszą w telewizji, że bicie dzieci jest OK, że to sprawa rodzinna, że ktoś był bity i wyrósł na porządnego człowieka. Te wszystkie zdania prowadzą w końcu do kolejnej śmierci dziecka.

Uważa pani, że naszemu społeczeństwu uda się przejść gładko przez laicyzację państwa? W ostatnim czasie przekonaliśmy się, chociażby po emisji filmu „Franciszkańska 3", że konfrontowanie Polaków z niewygodnymi faktami dotyczącymi Jana Pawła II jest traktowane jako atak. Polacy stają wtedy okoniem.

– Jest pan pewien, że mówi o społeczeństwie? Czy jednak o politykach i prawicowej propagandzie? Wydaje mi się, że odnosi się pan do prawicowych mediów i polityków, którzy przestraszyli się, że prawda o papieżu nie pasuje do ich propagandowego nadużywania religii i tej historycznej postaci. Społeczeństwo jest w innym miejscu. Proces laicyzacji trwa od dawna, a od kiedy Kościół otwarcie „zapisał się" do Prawa i Sprawiedliwości, bardzo dużo osób, również naprawdę wierzących, w ogóle już się w tej instytucji nie odnajduje. Znamy kościelne statystyki dotyczące m.in. obecności na mszach. Wiemy, że jest to już mniej niż 25% ludzi. Katolikiem jest ten, kto praktykuje religię, a nie ten, którego po prostu ochrzczono bez jego wiedzy.

Co do sytuacji z informacjami o papieżu, oburzenie społeczeństwa było niewielkie – jak pan pamięta, próbowano organizować jakieś marsze, ale prawie nikt nie przyszedł. Teraz widzimy, że PiS nie wzięło na sztandary swojej kampanii wyborczej obrony Jana Pawła II, tylko zaczęło szukać innych tematów, bo zrozumiało, że na tym nie ujedzie. Społeczeństwo jest gdzie indziej niż politycy i media.

To jak? Zrywamy konkordat?

– Konkordat to bardzo ważny punkt w myśleniu o zmianach relacji między państwem a Kościołem. W programie Lewicy mamy renegocjację tego dokumentu. Renegocjację dlatego, że jest on wpisany do konstytucji i jego zerwanie wymagałoby zmiany w ustawie zasadniczej. Choć pamiętajmy, że to przecież nie w konkordacie zawarto konkretne przepisy, które pozwalają Kościołowi łupić nasze państwo. Zapisano to w ustawach i rozporządzeniach, które chcemy zmienić natychmiast. Znowelizujemy ustawę o stosunku państwa do Kościoła, która pozwala przekazywać Kościołowi za darmo ziemię. Zlikwidujemy Fundusz Kościelny, bo miał on rekompensować Kościołowi stratę ziemi po wojnie, a niesławna Komisja Majątkowa „oddała" już Kościołowi dużo więcej, niż miał, więc fundusz nie ma racji bytu. Zmienimy rozporządzenie ministra edukacji, którym wprowadzono religię do szkół. Mamy też projekt dotyczący wprowadzenia kas fiskalnych, żeby świadczący usługi księża tak jak każdy inny człowiek w Polsce musieli to wbić na kasę. Ten strumień pieniędzy, który płynie poza wszelkimi trybami do Kościoła, da się zatrzymać konkretnymi zmianami prawnymi, które mamy przygotowane.

Co zrobić z klauzulą sumienia? Chyba od niej należy zacząć walkę o świecki szpital?

– Klauzula sumienia jest do wyrzucenia. I tutaj nie ma mowy o żadnych półśrodkach. Próbowałam jakiś czas temu wyegzekwować w warszawskich placówkach medycznych informację o niej, żeby kobieta idąca

Klauzula sumienia jest do wyrzucenia. I tutaj nie ma mowy o żadnych półśrodkach.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl ba1a76a4c1

do gabinetu wiedziała, czy specjalista podpisał klauzulę, aby mogła podjąć decyzję, czy chce do takiego lekarza w ogóle pójść. Miasto zasłoniło się RODO, twierdząc, że wiara jest sprawą osobistą lekarza. To absurd. Wiara nie jest tutaj osobistą, przynależną cechą, tylko narzędziem, które lekarz stosuje w swojej pracy, żeby nie udzielić pacjentce należnej pomocy. Przecież jeśli pracuje w placówce publicznej, ma obowiązek realizować to, co zapisano w kontrakcie z NFZ. Kobiety płacą całe podatki i mają prawo otrzymać całą pomoc, która jest zgodna z prawem, a nie to, na co lekarz przystanie w związku ze swoimi osobistymi poglądami.

Państwo jest teraz wyjątkowo opresyjne wobec kobiet. Co najgorsze, system jest przeciwko nim. Ofiary gwałtów tłumaczą się na policji z długości spódniczki.

– Nastąpił powrót do takiego prawicowego marzenia o świecie przednowoczesnym, w którym status człowieka ma tylko mężczyzna. Prawica próbuje przekształcać prawo, żeby realizować mroczną fantazję o świecie, w którym mężczyźni mają pełnię władzy w sferze publicznej, natomiast kobiety wracają do domu. Ich główną rolą jest reprodukcja i opieka nad dziećmi oraz innymi członkami rodziny.

Dlaczego prawica ma takie marzenie?

– Zacznijmy od tego, że ten model, który prawica nazywa tradycyjnym, w rzeczywistości nigdy nie istniał. Nigdy nie było tak, żeby w jakiejś rodzinie, poza bardzo wąską grupą bogatych ludzi w XIX w., pracowała tylko jedna osoba. W historii ludzkości wszyscy dorośli zwykle musieli pracować, tylko praca kobiet była często przezroczysta. Natomiast dlaczego prawicy zależy na tym, żeby taki model stał się też modelem prawnym? Ponieważ wszystkie badania pokazują, że kobiety są bardziej postępową częścią społeczeństwa. Z badań wynika, że kobiety o wiele częściej wspierają progresywne partie i żądają podzielenia się władzą i pieniędzmi. Obezwładnienie kobiet jest więc czymś, co ma prawicy pozwolić utrzymać się u władzy.

Zaostrzenie prawa aborcyjnego, które doprowadziło do śmierci kobiet, poskutkowało również tym, że 75% kobiet w Polsce mówi, że nie zamierza rodzić. Utrudnione zostały także rozwody i podniesiono opłaty za nie. Ponadto w polskim prawie stosuje się pseudoteorię alienacji rodzicielskiej, która jest wymierzona w kobiety. Gdy kobieta nie zgadza się, żeby dziecko miało kontakt z ojcem, który był np. przemocowcem, molestatorem czy skrajnym alkoholikiem, to obecnie sąd może za tzw. utrudnianie kontaktu nakładać na nią kary pieniężne, nawet w sytuacji, kiedy ten sam mężczyzna nie płaci alimentów.

Mówi pani dużo o potrzebie starań o „dobrostan ludzi kultury". O co tu chodzi?

– Obecnie ludzie kultury, twórcy, animatorzy, pisarze, artyści wizualni, w dużej mierze są poza systemem. Państwo ich nie widzi. Mniejsza część tych osób może pracować w instytucjach: w teatrach, domach kultury, bibliotekach, muzeach. Natomiast i tam, czyli w sferze budżetowej, zarobki są żebracze. Jako radna zainicjowałam proces podwyżek dla warszawskich bibliotekarek, okazało się bowiem, że ze wszystkich pracowników instytucji kultury bibliotekarki zarabiają najmniej. Jednocześnie biblioteki są tymi instytucjami, które zapraszają wszystkich, dostępnymi, pełniącymi funkcję socjotwórczą.

Podobnie jest w teatrach, w muzeach itd. Większość ludzi zarabia tak mało, że nie są w stanie się utrzymać. A mówimy o osobach, które i tak mają przywilej pracować w jakiejś instytucji. Większość ludzi kultury nie ma tego szczęścia i albo ma pracę raz na jakiś czas, albo musi zakładać organizacje pozarządowe i działać w ich ramach. Większości nie stać na samodzielne opłacenie ubezpieczenia zdrowotnego i emerytalnego. Dlatego trzeba wreszcie dokończyć ustawę o zawodzie artysty, żeby tych ludzi systemowo zabezpieczyć. Poza tym trzeba uregulować sprawę tantiem z internetu. Do Polski weszły wielkie platformy internetowe, które korzystają z pracy ludzi kultury zupełnie za darmo. Trudno w to uwierzyć, ale to jest poddanie się państwa międzynarodowemu biznesowi, który czerpie z tego gigantyczne zyski.

W swoich działaniach pokazuje pani, że ma zasady i dąży do wyznaczonych celów.

– Staram się wykorzystać mandat, który dostałam. Fakt, skupiam się mocno na sprawach świeckiego państwa. Wnioskowałam o odebranie abp. Głódziowi honorowego obywatelstwa Warszawy, co się udało. Podjęłam na prośbę rodziców wiele interwencji w szkołach, kiedy okazywało się, że religia jest w środku planu lekcji albo rodzice byli zmuszani do wypisania dziecka z katechezy, na którą nigdy go nie zapisywali. To sprzeczne z prawem. I wiele szkół udało się przekonać do zmian na korzyść uczniów. Dzięki moim działaniom miasto zaczęło liczyć, ile dzieci chodzi na religię – mniejszość – i ile wydajemy rocznie na religię, a to ponad 52 mln zł!

Nie poparła pani budżetu miasta.

– Odmówiłam poparcia budżetu, bo zapowiadano w nim podwyżkę cen biletów komunikacji miejskiej. Tymczasem Warszawa mierzy się z gigantycznym problemem nadmiaru samochodów i wszystkimi tego konsekwencjami, od bezpieczeństwa pieszych i dzieci po smog. Nie mogłam na to się zgodzić, bo zniechęcanie do korzystania z komunikacji zbiorowej jest sprzeczne z interesem mieszkańców.

Nie czuje pani niepokoju, że ludzie stracą pani wsparcie jako radnej, gdy pójdzie pani do Sejmu?

– Wręcz przeciwnie. Wykonując od wielu lat pracę radnej, wielokrotnie dotarłam do ściany. Mnóstwo rzeczy wpływających na nasze życie codzienne zależy od prawa krajowego.

Mam listę rzeczy do załatwienia i tkwi we mnie pamięć tego strasznego wkurzenia, kiedy w różnych sprawach wydeptywaliśmy wszystkie ścieżki i zderzaliśmy się ze ścianą. A ja sprawy, za które się biorę, załatwiam do końca.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ba1a76a4c1

Dlaczego dzieci chodzą na religię?

Na wsi jest większa presja na rodziców, aby wysyłali dzieci na lekcje religii – **uważa Bożena Przyłuska, kandydatka Lewicy do Sejmu z olsztyńskiego okręgu wyborczego**

Marek Książek

W pierwszy dzień nowego roku szkolnego, na placu przed pomnikiem dłuta Xawerego Dunikowskiego, a naprzeciw Kuratorium Oświaty w Olsztynie, znana działaczka Strajku Kobiet przedstawiła mediom swój punkt widzenia na naukę religii w szkołach.

– Uważam, że nauka religii w murach szkolnych jest formą destrukcyjnego oddziaływania na uczniów, i ja się na to zdecydowanie nie zgadzam – stwierdziła Bożena Przyłuska na tle furgonetki z hasłem „Świeckie państwo". Kandydująca z trzeciego miejsca na liście Lewicy w okręgu nr 35 Bożena Przyłuska jest działaczką Ogólnopolskiego Strajku Kobiet, a także współzałożycielką stowarzyszenia Kongres Świeckości. Walczy o rozdział Kościoła od państwa – o czym mówiła szerzej w wywiadzie na naszych łamach („Ze Strajku Kobiet do Sejmu", PRZEGLĄD nr 35/2023).

Bożena Przyłuska i dr Feliks Walichnowski na tle pomnika dłuta Xawerego Dunikowskiego.

Kilka miesięcy temu przeprowadziła się na dobre z Warszawy do gminy Lidzbark Warmiński. Już wcześniej przyjeżdżała tam z mężem, zakochując się w tym regionie z pięknymi krajobrazami i wieloma życzliwymi ludźmi – aż wreszcie kupili starą warmińską chałupę i remontowali ją prawie dwa lata, pozostawiając dawne elementy jako świadectwo dziejów byłych mieszkańców tej ziemi. Był to również czas poznawania historii Warmii, ale także sąsiednich Mazur, historii bardzo skomplikowanej, naznaczonej dramatycznymi momentami. Przyłuska docenia wysiłek pionierów, którzy przybyli do byłych Prus Wschodnich po II wojnie światowej i budowali tutaj zręby polskiej państwowości. Ten szacunek dla pierwszych osadników wyraziła podczas briefingu prasowego przed kuratorium, co ujęło obecnego tam dr. Feliksa Walichnowskiego, byłego naczelnego „Panoramy Północy", który jako 16-latek przybył do Olsztyna w marcu 1945 r., czyli jeszcze przed kapitulacją Niemiec i kilka miesięcy przed konferencją pokojową w Poczdamie, na której zwycięskie mocarstwa przyznały ten teren Polsce.

Bożena Przyłuska zapewnia, że znalazła się na olsztyńskiej liście wyborczej na własne życzenie i choć nie należy do żadnej lewicowej partii, uznaje głoszone przez nie wartości, kładąc nacisk na świeckość państwa, szczególnie oświaty. Wspiera ją w tym Karolina Wanat ze Strajku Kobiet, która tego dnia (4 września) namawiała rodziców, aby zapytali swoje dzieci, czy chcą uczęszczać na religię w szkole. Bo są to zajęcia dodatkowe, a rodzice często, zwłaszcza w mniejszych ośrodkach, kierując się katolicką tradycją lub obawą przed ostracyzmem otoczenia, zmuszają dzieci do lekcji religii, nie patrząc na to, czy one same czują taką potrzebę.

Zapytana przez dziennikarzy, czy startując z trzeciego miejsca na liście, liczy na mandat poselski w wyborach 15 października, Bożena Przyłuska odpowiedziała twierdząco. – Może kobiety na mnie zagłosują? – dodała. A jeśli nawet nie wejdzie teraz do Sejmu, nadal będzie wypełniać swoją misję, mając nadzieję na wywalczenie rozdziału Kościoła od państwa. ■

FOT. MAREK KSIĄŻEK

eprasa.pl ba1a76a4c1

Grozi nam paraliż państwa

Wynagrodzenia w instytucjach publicznych są tak niskie, że brakuje chętnych do pracy i państwo działa coraz gorzej

Rozmawia Jakub Dymek

Dlaczego 15 września pracownicy sfery budżetowej idą pod kancelarię premiera w Marszu Gniewu?

– Żeby pokazać swoje niezadowolenie i przypomnieć o swoim istnieniu. Bo mamy wrażenie, że o nas zapomniano – nie po raz pierwszy zresztą. Mamy wysoką inflację; ceny od 2020 r. wzrosły o prawie 40%. W tym czasie podwyżki dla pracowników budżetówki wyniosły łącznie kilkanaście procent. A i to nie dla wszystkich. Wskutek takiej polityki nasze płace realnie spadają. W przypadku wielu z nas do poziomu płacy minimalnej.

Nas, czyli kogo?

– W naszej koalicji są zawody bardzo ważne dla sprawnego działania państwa, a często niewidoczne. To pracownicy sądów i prokuratury, ZUS, Państwowej Inspekcji Pracy, strażacy, pracownicy cywilni policji i w ogóle służb mundurowych, także wojska i Straży Granicznej. Będą z nami też pracownicy poradni psychologiczno-pedagogicznych, bibliotekarze, kierowcy autobusów i motorniczowie tramwajów. I cały czas dołączają kolejne grupy zawodowe, które chcą wyjść i zaprotestować.

Z czego wynika tak zła sytuacja tych konkretnych zawodów, skoro płaca minimalna i średnia płaca w gospodarce rośnie, świadczenia społeczne są podnoszone i waloryzowane, a generalnie badania mówią, że sytuacja finansowa gospodarstw domowych wcale nie jest tak tragiczna. Dlaczego akurat budżetówka ma szczególnie źle?

URSZULA ŁOBODZIŃSKA
– pracowniczka sądu, wiceprzewodnicząca związku zawodowego pracowników sądownictwa KNSZZ Ad Rem, przedstawicielka Komitetu Protestacyjnego Pracowników Sfery Publicznej

– Właśnie dlatego, że teraz, gdy rośnie średnia płaca w gospodarce i płaca minimalna, płace w sferze budżetowej realnie spadają, a podwyżki dotyczą tylko niektórych. W tym roku nasze wynagrodzenia zostały zwiększone o zaledwie 7,8%, co nie zrekompensowało wzrostu cen, a w latach 2021-2022 większość z nas nie dostała żadnej podwyżki. Przypomnę: przy prawie 20-procentowej inflacji! Powstaje wrażenie, że w Polsce pierwszym sposobem robienia oszczędności w finansach publicznych jest spychanie pracowników budżetówki do roli taniej siły roboczej. To są oczywiście wyniki zaniedbań dłuższych niż jedna kadencja. Po kryzysie 2008 r. płace były zamrożone na wiele lat, po zmianie władzy pojawiły się podwyżki, a potem znowu zaciśnięto pasa naszym kosztem. Bo trudno mówić, że kwota 100 czy 200 zł brutto to jakakolwiek podwyżka.

Dobrze, ale o kim my tak naprawdę teraz mówimy?

– Weźmy sądy. Obywatel, gdy idzie do sądu, to widzi sędziego i protokolanta na sali rozpraw, prawda? Praca protokolanta to pisanie osiem godzin dziennie albo więcej, jeśli sesje się przedłużają. A oprócz tego jeszcze wszystko, czego obywatel nie widzi: segregowanie pism i akt, wykonywanie zarządzeń, odbiór i wysyłka korespondencji, przyniesienie sędziemu dokumentów... Wydawać się może, że wszystko „dzieje się samo", ale tak naprawdę to jest obracanie tonami papieru. Dosłownie tonami. I tak to działa we wszystkich instytucjach. Jakoś „samo się dzieje", że ludzie otrzymują paszporty, prawa jazdy, są wożeni komunikacją miejską do pracy, ktoś ich przyjmuje na komisariacie albo odpowiada na telefon ze skargą. A w Polsce funkcjonuje obraz urzędnika, który siedzi i pije kawę.

A to nieprawda?

– Znam te żarty: „Pierwsza czynność urzędnika – nalać wody do czajnika". Jakby w żadnej innej

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl ba1a76a4c1

pracy nikt nigdy nie pił kawy. Ale porozmawiajmy o konkretach. Bardzo medialne są teraz sprawy frankowiczów. Powstał specjalny wydział do spraw frankowych w Sądzie Okręgowym w Warszawie. Jeden wydział w jednym sądzie ma ponad 50 tys. spraw czekających na załatwienie! 50 tys. spraw, które trzeba obrobić – nie tylko rozpatrzyć i wydać wyrok, ale przeczytać, zredagować pisma, wysłać, dostarczyć sędziemu bieżącą korespondencję. Tych akt w sprawach frankowych jest tak dużo, że mamy specjalne czytniki – w aktach jest chip, który pomaga odnaleźć je w sądzie. Urzędnicy i asystenci sędziego muszą wiedzieć, które pismo jest pilniejsze, dlaczego wniosek o zabezpieczenie jest ważniejszy od pisma w sprawie rozprawy za trzy miesiące itd. Ja jestem asystentem sędziego i choć mojej pracy obywatel zazwyczaj nie widzi i nie wie, że istnieję, to właśnie ja piszę projekty orzeczeń i uzasadnień dla sądu. I tak jest ze wszystkimi sprawami – że one często nie ruszają w ogóle do przodu bez tych „niewidzialnych" pracowników.

A ja czytałem niedawno, że rząd planuje zatrudnić w urzędach więcej obcokrajowców. Może więc sfera budżetowa będzie dalej protestować, a wakaty zostaną obsadzone przez Gruzinów, Ukraińców i Białorusinów.

– Nie wiem jak, bo w większości tych zawodów, które my reprezentujemy, trzeba być obywatelem Polski. W niektórych przechodzi się specjalne postępowanie sprawdzające. Na przykład żeby zostać pracownikiem cywilnym w policji. Kandydat i jego rodzina są sprawdzani przez okres od jednego do trzech miesięcy. A i na wielu innych stanowiskach w administracji publicznej nie można zatrudnić się tak po prostu. Ale nawet jeśli mówimy o tym, że obcokrajowcy mają zostać kierowcami autobusów lub motorniczymi, i tak nie ma dostatecznie wielu chętnych i już widać, że zatrudnianiem obcokrajowców nie da się rozwiązać wszystkich problemów.

A jak rząd rozwiązywał je do tej pory?

– Zatrzymując pracowników obietnicami, które w większości nie były realizowane. Rzekomo uzgodniony z NSZZ Solidarność ośmioprocentowy wzrost wynagrodzeń zasadniczych okazał się jednorazowym kilkusetzłotowym dodatkiem, przyznawanym przez pracodawców uznaniowo. Teraz premier Morawiecki obiecał 12,3% podwyżki dla budżetówki. Ale to hasło nie odzwierciedla tego, o co naprawdę chodzi. Bo większość pracowników dostanie podwyżkę w wysokości 6,6%, a reszta tych pieniędzy zostanie – jak oceniamy – przeznaczona na wyrównanie wynagrodzeń do poziomu płacy minimalnej.

To znaczy, że już tylu pracowników sfery budżetowej zarabia tak mało, że płaca minimalna po podwyżce będzie wyższa niż ich zarobki i trzeba im to wyrównać? I na to idzie niemal połowa „podwyżki"?!

– Tak, a to rodzi inne problemy, napięcia i konflikty. Bo dlaczego ktoś z kilkunastoletnim stażem pracy w instytucji publicznej ma zarabiać tyle samo, ile dostaje świeżo przyjęta osoba na minimalnej? Choćby właśnie w sądach. Pomijając już to, że płaca minimalna stanowi absolutną granicę – zapłacić komuś o złotówkę mniej to bezprawie. To dziwne, że w ogóle o coś takiego należy się upominać albo że rząd tym się chwali – że ludzie w urzędach i instytucjach publicznych zarabiają nie mniej, niż wynosi płaca minimalna.

A chętnych do pracy brakuje?

– Tak. Trudno też się dziwić tym, którzy odchodzą do sektora prywatnego. Mniejszy stres. Rzeczy, z którymi stykają się cywilni pracownicy wymiaru sprawiedliwości, są często bardzo obciążające psychicznie. Gwałty, rozboje, przemoc domowa, spory o opiekę nad dzieckiem – i przy tym wszystkim pracują choćby psychologowie za naprawdę niewielkie pieniądze. Z kolei inni pracownicy, którzy także zajmują się tymi przypadkami, sami nie mają zapewnionego wsparcia psychologicznego. I potem instytucje, żeby zatrudnić pracowników, robią konkursy, na które nikt się nie zgłasza.

Nikt?

– Na przykład w Sądzie Okręgowym w Warszawie co chwilę ogłaszane są konkursy na protokolantów sądowych. Czyli te osoby, które najbliżej współpracują z sędziami, sporządzają protokoły i potem wykonują ich zarządzenia. W kwietniu przy 60 wolnych etatach udało się zapełnić siedem miejsc. W lipcu był kolejny konkurs na 40 miejsc, zatrudnienie znalazło 19 osób. A to jest kadra niewykwalifikowana. Są również konkursy na specjalistów z zakresu psychologii dziecięcej, psychiatrii, psychologii. I na te konkursy po prostu nikt nie przychodzi. Cały czas są wakaty – nie ma psychologa czy psychiatry chcącego pracować za te pieniądze. A spraw, jak mówiłam, są tony. W efekcie obywatel dostaje gorszą jakość pracy instytucji albo nie otrzymuje niezbędnej pomocy, bo państwo postanowiło na swoich pracownikach oszczędzać. Ale oszczędność na urzędnikach kończy się tym, że obywatele dostają gorszą jakość państwa – więc rośnie frustracja jakością działania państwa, wyborcy nie chcą na nie więcej płacić i krąg się domyka.

Od 2020 r. ceny wzrosły o prawie 40%. W tym czasie podwyżki dla pracowników budżetówki wyniosły łącznie kilkanaście procent.

Rzekomo uzgodniony z NSZZ Solidarność ośmioprocentowy wzrost wynagrodzeń zasadniczych okazał się jednorazowym kilkusetzłotowym dodatkiem, przyznawanym uznaniowo.

eprasa.pl ba1a76a4c1

A dlaczego pomimo postępów w cyfryzacji nakład pracy w instytucjach publicznych rośnie?

– W sądownictwie nadal wszystkie pisma muszą być na papierze. Pojawiają się nowe rodzaje spraw, takie jak sprawy frankowe. Społeczeństwo się zmienia i pojawiają się nowe wyzwania i problemy. Dużym obciążeniem była pandemia, a zaraz potem praca związana z przyjęciem milionów uchodźców. Biurokracja rośnie. Często zmieniają się przepisy. Bywa więc tak, że mamy rozpoznaną sytuację i sposoby działania, a rząd odwraca jakąś reformę i trzeba zaczynać coś na nowo. To jest złożona sytuacja, ale sprowadza się nieraz do tego, że coraz mniej osób wykonuje coraz więcej zadań.

To jakie są żądania Marszu Gniewu?

– Podwyżka o 20% jeszcze w tym roku z wyrównaniem od lipca i 24% od stycznia 2024 r. Wspólny wskaźnik dla całej sfery budżetowej.

A jak nie zostaną spełnione?

– Grozi nam, że państwo stanie. W niektórych aspektach to już się dzieje. Nawet przedstawiciele organizacji pracodawców prywatnych widzą problem i domagają się podwyżek dla sfery budżetowej. Bo obawiają się, że za chwilę prowadzenie biznesu będzie bardzo utrudnione, skoro urzędy nie będą w stanie niczego załatwić na czas i wydać niezbędnych dokumentów czy zezwoleń w sensownym terminie. Na przykład na pierwszą rozprawę rozwodową w Warszawie teraz czeka się mniej więcej rok. Na wpis do księgi wieczystej też rok. I jak ktoś ma kredyt, to płaci karę umowną za brak wpisu do księgi wieczystej, rodzaj ubezpieczenia dla banku. A przez to, że nie ma ludzi do pracy i nie da się wpisywać w księgach przeniesienia własności nieruchomości, ci, którzy pozaciągali kredyty, płacą te kary. To tylko jeden aspekt tego, jak ta sytuacja wpływa na funkcjonowanie państwa prawa. A to dotyczy wszystkich dziedzin życia.

Chcemy mieć szybko wyrobiony paszport albo prawo jazdy? Chcemy, żeby na policji ktoś szybko zajął się naszą sprawą – czy jesteśmy poszkodowani, czy podejrzani, każdemu zależy, żeby czynności szły sprawnie. Trzeba uzyskać pozwolenie z urzędu – też lepiej szybko, prawda? Prędzej czy później każdy styka się z funkcjonowaniem państwa. A skutki tego niedofinansowania i oszczędności widać wtedy bardzo wyraźnie. Ludzie domagają się sprawnego państwa, a politycy obiecują to w kampanii wyborczej. Ale koniec końców, gdy w administracji publicznej brakuje rąk do pracy albo wynagrodzenia są tam najniższe z możliwych, stworzenie przyjaznego i sprawnego państwa jest po prostu niewykonalne. I dopóki politycy sobie tego nie uświadomią, lepiej nie będzie.

Coraz mniej osób wykonuje coraz więcej zadań.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

W bieżącym numerze także:

Ladislau Dowbor
Jak (nie) działa kapitalizm w Brazylii

Grzegorz Łyś
Polskie marzenia o koloniach zamorskich

Joanna Kuciel-Frydryszak
Szatan na Gackiej Górce

Tomasz Nowicki
Jak wynaleźliśmy kanibali

Anna Cieplak
Rozmawianie z zorzą

Do nabycia w salonach prasowych empiku
Roczna prenumerata (6 numerów): 92 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Santander Bank Polska
Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa"
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl
www.monde-diplomatique.pl

eprasa.pl ba1a76a4c1

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Moje zakątki

Mój zakład pracy na Uniwersytecie Jagiellońskim to Katedra Kultury Literackiej Pogranicza. Mieści się przy ulicy Gołębiej 20, w gmachu będącym matecznikiem polonistyki, a wcześniej, do 1964 r., całej uniwersyteckiej slawistyki. Przez dziesiątki lat spotykali się tu slawiści z Zachodu i Wschodu, świadomi, że przez Słowiańszczyznę przebiega granica dzieląca tradycje Rzymu i Bizancjum, że kultury słowiańskie są zawsze kulturami pogranicza. Zbiegiem okoliczności gmach ten był w XV w. własnością żydowską. Bo dopiero w 1494 r. Żydzi zostali usunięci z Krakowa do sąsiedniego Kazimierza. Natomiast w XVI w. mieściła się tu drukarnia Hieronima Wietora – najsłynniejsza oficyna renesansowego Krakowa. Ten śląski Niemiec spod Hirschbergu (Jeleniej Góry), oprócz wielu innych osiągnięć, wydał w 1527 r. pierwszą na świecie książkę w języku… węgierskim.

Mój zakątek – to zatem pogranicze. Nie sposób jednak widzieć go w jednym tylko miejscu. Gdzie istniał dom na Kazimierzu, w którym w czasach Wietora działała drukarnia Heliczów? Bo to ta oficyna wydała w 1535 r. pierwszą na świecie książkę w języku środkowoeuropejskich Żydów: w jidysz. Wcześniej, w roku 1491, Niemiec z Frankonii, Szwajpolt Fiol (Seybold Veyl), wydał w Krakowie pierwsze na świecie druki w języku starocerkiewnosłowiańskim, alfabetem cyrylickim. Dzięki tym okolicznościom stał się Kraków kolebką książki drukowanej nie tylko polskiej i węgierskiej (obu w alfabecie łacińskim), lecz także żydowskiej (alfabetem hebrajskim) oraz ukraińskiej, białoruskiej, rosyjskiej i rumuńskiej (cyrylicą). Bo pierwszym językiem pisma zarówno wschodniej Słowiańszczyzny, jak i dzisiejszej Rumunii był starocerkiewnosłowiański.

Z mojej Katedry zmierzam do miejsca moich wykładów, w Arsenale przy ulicy Grodzkiej. Po drodze, na Poselskiej, mijam tablicę ku czci Josepha Conrada. „Wniósł ducha polskiego w piśmiennictwo angielskie, którego stał się ozdobą”… I oto po paru zakrętach znajduję się na placu św. Marii Magdaleny. To już nie pogranicze, to Polska łacińska. Przede mną kościół św. Piotra i Pawła – jakbym stał w Rzymie przed kościołem Il Gesù. A obok coś jeszcze bardziej niecodziennego: dwie białokamienne wieże XII-wiecznego kościoła św. Andrzeja. Romanizm! Warszawa go nie ma! Zawsze dopada mnie ta pełna pychy refleksja i zawsze wtedy przypominam sobie pewien letni dzień w Rzymie, na Awentynie, gdzie przed przelotnym rzęsistym deszczem schroniłem się w majestatycznym wnętrzu kościoła Santa Sabina. A ten kościół – to V w.! Wtedy nie było jeszcze Polaków. Ba, nie było jeszcze Słowian nad Wisłą. Cywilizacja Zachodu także do Krakowa dotarła z wielowiekowym opóźnieniem.

Kwintesencją łacińskiego Krakowa wydaje się na placu Marii Magdaleny pomnik Piotra Skargi, powszechnie krytykowane dzieło Czesława Dźwigaja. W czasie gdy papieski Rzym starał się o unię z prawosławiem, gdy dopuszczał do liturgii język słowiański, ten jezuita z neoficką gorliwością żądał nie tylko podporządkowania, lecz i unifikacji, nie godził się też na inny niż łacina język liturgii. Opieranie fundamentów państwa na rzymskim katolicyzmie było dla wielowyznaniowej Rzeczypospolitej zabójcze. *Praecipuus turbator Reipublicae* (główny wichrzyciel Rzeczypospolitej) – tak nazywali Skargę współcześni, nie tylko różnowiercy, lecz nawet katolicy. A prawosławni nie posiadali się z oburzenia. „Tylko szatan mógł podyktować Skardze te bluźniercze słowa przeciw językowi słowiańskiemu”, pomstował Iwan z Wiszni, ruski mnich z góry Atos.

Kraków to zawsze miasto pogranicza, a raczej szeregu splątanych ze sobą pogranicz. Trzeba tylko umieć je dostrzec.

Tymczasem zza pomnika Skargi też wyziera pogranicze. Bo za jego plecami widnieje budynek przy ulicy Kanoniczej 9. Dziś to siedziba Uniwersytetu Papieskiego, lecz w XIX w. mieściła się tu drukarnia Anczyca. Jej założyciel, Władysław Ludwik Anczyc, pochodził z rodziny niemieckiej (von Anschütz) i luterańskiej, osiadłej w Polsce w czasach saskich, sam jednak – w przeciwieństwie do Fiola i Wietora – był już doszczętnie skatolicyzowany i spolonizowany. I oto równo 400 lat po Fiolu, w 1891 r., wydał tu Anczyc pierwszy oryginalny tomik w języku białoruskim. Była to „Dudka białaruskaja” Franciszka Bohuszewicza. Te białoruskie wiersze były pisane alfabetem łacińskim, ale nie mogły zostać opublikowane w miejscu ich narodzin, bo tam, w Wilnie, było to po powstaniu styczniowym zabronione. Toteż i w tym przypadku kolebką poezji w języku ludu białoruskiego stał się Kraków.

Tak oto jest to zawsze miasto pogranicza, a raczej szeregu splątanych ze sobą pogranicz. Trzeba tylko umieć je dostrzec.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ba1a76a4c1

Sztynort – spotkanie historii ponadnarodowej

Czy pałac pruskiego rodu na Mazurach może być miejscem dialogu polsko-niemieckiego, a nawet europejskiego? Tak, ale trzeba go odbudować

Marek Książek

Sztynort znany jest przede wszystkim jako port żeglarski na szlaku Wielkich Jezior Mazurskich, pomiędzy zbiornikami Mamry i Dargin, niedaleko Węgorzewa. Ale wielbiciele zabytków architektonicznych pomyślą w pierwszej kolejności o wzniesionym w XVII w., a przebudowanym w XIX w. pałacu, prawdziwej perle baroku, dawnej siedzibie Lehndorffów, jednego z najstarszych w Prusach Wschodnich rodów szlacheckich. To w tym pałacu bywał biskup warmiński Ignacy Krasicki, a podczas II wojny światowej mieszkał Joachim von Ribbentrop, minister spraw zagranicznych III Rzeszy, w jednym skrzydle zaś, kątem u siebie – Heinrich von Lehndorff, jeden ze spiskowców organizujących zamach na Hitlera 20 lipca 1944 r. w Wilczym Szańcu. Za co zapłacił życiem.

Uratowany dzięki entuzjastom

Ale dziś turyści zatrzymujący się w marinie mogą tylko przyglądać się pałacowi z oddali. Po wojnie obiekt ocalał w całości, choć kwaterujący w Sztynorcie oficerowie radzieccy na pożegnanie zabrali niemal całe jego wyposażenie. Potem siedzibę miał tam PGR, dzięki czemu pałac jakoś się trzymał przy życiu, a na dobre zaczął niszczeć dopiero po transformacji ustrojowej. Co prawda, chciała go odrestaurować pewna warszawska spółka, ale nie podołała zadaniu. Pewnie niewiele by z niego zostało, gdyby nie grupa entuzjastów, wśród których wyróżniała się Bettina Bouresh z Berlina. Jej matka pochodziła z Olsztyna (Allenstein), berlinianka zaś, która dorastała w atmosferze niemieckiej winy za tragedię wojny, właśnie w Sztynorcie znalazła swoje przeznaczenie, działając m.in. w Stowarzyszeniu Lehndorffów i współorganizując tamtejszy letni festiwal.

Do głównych postaci związanych z ratowaniem pałacu należą nieżyjący już historycy sztuki prof. Andrzej Tomaszewski i prof. Gottfried Kiesow, którzy w miejsce istniejących fundacji ochrony zabytków z Polski i Niemiec powołali nową strukturę. Ale i ona nie nadąża już za nowymi ideami i wyzwaniami.

– W relacjach polsko-niemieckich są dwa symboliczne punkty: Krzyżowa jako miejsce symbolicznej mszy św. 12 listopada 1989 r. z udziałem Tadeusza Mazowieckiego i Helmuta Kohla, która otworzyła nowy etap w stosunkach między naszymi państwami, oraz Sztynort, którego nazwa niemiecka Steinort oznacza kamień i miejsce, a któremu w ostatnich latach nadajemy nowe znaczenie – podkreśla prof. Robert Traba z Instytutu Studiów Politycznych PAN, były wieloletni dyrektor Centrum Badań Historycznych w Berlinie. Należał on także do grona założycieli Wspólnoty Kulturowej Borussia w Olsztynie, która dziedzictwo kulturowe regionu Warmii i Mazur traktuje jako sukcesję dawnych i obecnych mieszkańców tych ziem. Nic więc dziwnego, że to on, wraz z prof. Dieterem Bingenem, byłym dyrektorem Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich w Darmstadt (następcą Karla Dedeciusa, popularyzatora kultury polskiej), został powołany przez niemiecką konsul generalną Cornelię Pieper do opracowania całościowej koncepcji zagospodarowania pałacu w Sztynorcie. Tutaj istotne zastrzeżenie: port żeglarski nad jeziorem oraz budynki gospodarcze obok pałacu są własnością włoskiej spółki King Cross, która jednak też chce inwestować w projekt kulturalny.

FOT. POLSKO-NIEMIECKA FUNDACJA OCHRONY ZABYTKÓW KULTURY (PNF)

eprasa.pl ba1a76a4c1

Przymierze ludzi dobrej woli

Dwóch głównych autorów koncepcji, Traba i Bingen, utworzyło 34-osobowy zespół ekspertów z różnych dziedzin, którzy opracowali szczegółowe rozwiązania. Aby je wdrożyć, obiekt najpierw musi zostać odbudowany, co powoli staje się realne. Do tej pory Bundestag przeznaczył na ten cel 2,5 mln euro, a polski rząd – 1,5 mln zł. Ale całkowity koszt rewitalizacji szacuje się na 30 mln euro. Na razie trwają żmudne, jeszcze mało widoczne z zewnątrz prace remontowe, w tym prowadzone przez grupę cieśli wędrownych. W skład tego nietypowego zespołu wchodzą młodzi czeladnicy z krajów niemieckojęzycznych, którzy zobowiązali się do nauki „w drodze" przez co najmniej dwa lata i jeden dzień, z zastrzeżeniem, że w jednym miejscu wolno im pracować nie dłużej niż trzy miesiące. Wędrowni czeladnicy muszą nosić tradycyjny strój ciesielski i podróżować bez telefonu komórkowego! Dzięki doświadczeniu zdobytemu w różnych krajach cieśle opracowali autorski system wzmocnienia i mocowania krokwi, których w sztynorckim pałacu jest ok. 200, a tylko część belek tworzy potężną konstrukcję dachową.

Powoli więc zza rusztowań wyłania się dawne oblicze pałacu, który według twórców koncepcji ma być upamiętnieniem skomplikowanej historii Sztynortu, ale i miejscem współczesnego dialogu europejskiego. Program ten jest opisany w mającej ponad 50 stron broszurze, więc wymieńmy jedynie najistotniejsze założenia. W budynku głównym ma się mieścić Galeria Lehndorffów pod nazwą „Pałac z widokiem na wielką historię", w tym z nowoczesną ekspozycją wizualną. Prof. Robert Traba podkreśla, że skomplikowana często przeszłość tego miejsca, ale także całego regionu, stanowi o tożsamości współczesnej społeczności Warmii i Mazur, mieszkańców zjednoczonej Europy. Nie możemy odcinać się od tej historii, bo ona w mniejszym lub większym stopniu nas ukształtowała. Również przeszłość powojenna, znana pierwszym osadnikom na ziemiach byłych Prus Wschodnich, w tym przesiedleńcom z Kresów i z akcji „Wisła" (o wspólnym dziedzictwie zawartym w „Projekcie dla pokoju" prof. Traby pisaliśmy w tekście „Walka o pomnik dłuta Dunikowskiego", nr 30/2023).

Drugi filar tej koncepcji to Academia Masuria – Forum Dialogu Europejskiego. Miejsce spotkań, koncertów, wystaw, dialogu, w tym dziennikarskiego, rozmów z wybitnymi ludźmi. Już teraz w Sztynorcie odbywa się duża impreza kulturalna pod nazwą Stn:ort Festival, w trakcie której (w sierpniu tego roku) profesorowie Traba i Bingen przedstawili gościom koncepcję zagospodarowania pałacu.

– Na bazie tego projektu można zbudować solidną instytucję ważną nie tylko dla regionu, ale i dla całego kraju, a nawet Europy. To duże wyzwanie, które wymaga wypracowania nowej struktury. A trzeba pamiętać, że leżący nad pięknymi jeziorami Sztynort dzieli zaledwie 20 km od granicy polsko-rosyjskiej, co wiele znaczy w kontekście wojny na Ukrainie – dodaje olsztyński historyk. ■

Te mamy nas potrzebują
Ми потрібні цим мамам
Wspieraj pomoc medyczną w Ukrainie

eprasa.pl ba1a76a4c1

Nowy dom, stare duchy

Po 50 latach od zamachu stanu Chilijczycy na nowo zastanawiają się, kim jest dla nich Augusto Pinochet

Demonstracja w 53. rocznicę wyboru Salvadora Allendego na prezydenta. Santiago de Chile, 4 września 2023 r.

Mateusz Mazzini

Wczesnowieczorne niebo miało wtedy kolor typowy dla późnego lata, błękit mieszał się z lekkim różem zachodu słońca i bielą niewielkich chmur. Tysiące osób na trybunach machało małymi flagami, a kroczące wolno po bieżni, ubrane na biało kobiety wyglądały jak kapłanki nowego porządku. Czuło się – tak przynajmniej po latach mówili mi uczestnicy tego wydarzenia – że to moment historyczny, choć trudno było jeszcze przewidzieć, jaka będzie historia, która po nim nastąpi. Był 12 marca 1990 r., na Stadionie Narodowym w Santiago de Chile, niegdysiejszym miejscu kaźni lewicowych opozycjonistów, Patricio Aylwin, pierwszy od 17 lat demokratycznie wybrany chilijski prezydent, inaugurował rzeczywistość postpinochetowską.

Tamten moment był tak nasycony symbolami politycznymi, że na opisanie ich wszystkich nie starczyłoby miejsca. Samo przeniesienie inauguracji na stadion, który podczas puczu stał się obozem koncentracyjnym, było ruchem bardzo ważnym, ale też odważnym. Chilijska demokratyzacja to przecież dziecko kompromisu, dawni opozycjoniści musieli w jej projektowaniu być bardzo ostrożni. Pinochet miał się jeszcze dobrze, po upadku dyktatury aż do 1998 r. pozostawał głównodowodzącym sił zbrojnych, a potem, do śmierci w 2006 r. – senatorem. I cały czas cieszył się ogromnym poparciem w społeczeństwie. W 1988 r., kiedy przeprowadził własne, zapowiedziane w konstytucji referendum dotyczące utrzymania przez niego władzy na kolejne osiem lat, oczywiście w ramach wojskowej dyktatury – 44% głosujących poparło takie rozwiązanie. W liczbach bezwzględnych w 13-milionowym Chile demokrację od mundurowego reżimu dzieliło zaledwie 800 tys. głosów, bo taka była różnica wyników w tym plebiscycie.

Ubrane na biało kobiety z płyty stadionu były siostrami, matkami i córkami *detenidos desaparecidos*. Przetrzymywanych i „zniknięty ch" przez dyktaturę tysięcy jej przeciwników politycznych, po których ślad zaginął. W tym słowie, obcym dla języka polskiego, chodzi przede wszystkim o zamiar, celowość działania aparatu państwowego – żadna z tych osób nie zniknęła sama z siebie. Wiedziały o tym kobiety, wiedział Aylwin. Wiedziało całe Chile, bo, jak dotąd oszacowano, zabitych, torturowanych, zniknięty ch oraz nielegalnie przetrzymywanych ofiar dyktatury było 40 tys. Tych ludzi nie dało się nie zauważyć – ani wymyślić, choć do dziś niektórzy na skrajnej prawicy

eprasa.pl ba1a76a4c1

uważają, że *desaparecidos* to komunistyczny mit. Wtedy, podczas ceremonii, na stadionowej tablicy wyników wyświetlono ich nazwiska. A sam prezydent wypowiedział w przemówieniu inauguracyjnym zdanie, które naznaczyło każdą przyszłą dyskusję o rozliczeniu zbrodni. Patricio Aylwin zapowiedział starania o dojście do prawdy, sprawiedliwości i pojednania. *En la medida de lo posible*. W miarę możliwości.

Nowi liderzy, nowe problemy

33 lata później na jego miejscu znajduje się Gabriel Boric, postać krańcowo od Aylwina różna. Najmłodszy w historii Chile prezydent w chwili wyboru miał zaledwie 36 lat. Jest pierwszym liderem kraju, który nie nosi w sobie osobistej pamięci o czasach dyktatury. Zna historię reżimu doskonale, ale tylko jako doświadczenie poprzednich pokoleń. Jest także pierwszym, którego polityczne korzenie nie sięgają Concertación, posttransformacyjnego paktu dawnych demokratycznych opozycjonistów, którzy podzielili między siebie łupy przemian ustrojowych. To przeciwko nim – a nie tylko przeciw prawicowemu prezydentowi Sebastiánowi Piñerze – protestowały w szczycie 3 mln Chilijczyków w październiku 2019 r. Tamten czas, *estallido social* – społecznego wybuchu, jak nazywa się okres przedłużonych demonstracji w krajach Ameryki Łacińskiej, był tak naprawdę wotum nieufności dla całej chilijskiej posttransformacyjnej klasy politycznej. Dla prawicy, która z jednej strony wywodziła się bezpośrednio z pnia dyktatury, ale z drugiej zaakceptowała demokratyczne reguły gry, nigdy nie próbując przywrócić władzy mundurowych. Dla lewicy, która lewicą była już tylko z nazwy, dawno bowiem odeszła od tradycyjnych socjalistycznych postulatów, w dodatku była współwinna utrzymania w Chile neoliberalnej doktryny gospodarczej, spuścizny po czasach Pinocheta. Dla liberalnego centrum, które topniało w oczach, nie reprezentując już chyba nikogo poza samymi sobą. Nawet Frente Amplio (Szeroki Front), nowy lewicowy twór, daleki od tradycyjnych marksistowskich postulatów, reprezentujący lewicę niematerialną, został wrzucony do gigantycznego worka z napisem „stare elity polityczne". Chilijczycy, żyjący w oparach neoliberalizmu, w najbardziej sprywatyzowanym państwie na świecie, zaczęli tym się dusić. Fernando Atria, jeden z najbardziej znanych chilijskich politologów, uczestnik tamtych protestów i później członek konstytuanty piszącej nową ustawę zasadniczą, pociągnął tę metaforę jeszcze dalej. – Jeśli uznać państwo za dom Chilijczyków, to oni nie mają w nim powietrza. Nie dziwię się, że wybijają w nim okna – powiedział mi. Bardziej proroczo niż analitycznie, bo słowa te wypowiedział równo rok przed wybuchem *estallido social*.

Pinochet po upadku dyktatury aż do 1998 r. pozostawał głównodowodzącym sił zbrojnych, a potem, do śmierci w 2006 r. – senatorem. I cieszył się ogromnym poparciem w społeczeństwie.

Chile pod rządami Borica po raz pierwszy można określić mianem prawdziwie posttransformacyjnego. Aczkolwiek, mimo że obecny prezydent szedł po władzę z tyleż głośnym, co koniunkturalnym hasłem zapowiadającym śmierć neoliberalizmu, nie tylko nie pochował tej doktryny – jak słusznie podkreślają jego krytycy – ale nawet nie idzie w tym kierunku. Próba pogrzebania ostatniego instytucjonalnego reliktu rządów Pinocheta, czyli niezmienionej prawie od 1981 r. konstytucji, również zakończyła się fiaskiem, choć z kronikarskiego obowiązku należy wspomnieć, że proces reformy ustawy zasadniczej nadal się toczy. Kolejne referendum – 17 grudnia.

Niemniej jednak osią sporu są teraz tematy, które ani za czasów dyktatury, ani Concertación nie odgrywały większej roli. Migracje, przestępczość zorganizowana, gospodarka zasobami naturalnymi, prawa mniejszości seksualnych. Nawet główni aktorzy są inni, niezwiązani z dawnymi formacjami. Lewicę definiują dzisiaj Boric i jego przyboczni, też 30-latkowie, weterani ruchów uczniowskich i studenckich. Prawica to natomiast królestwo José Antonia Kasta, zwycięzcy pierwszej tury ostatnich wyborów prezydenckich. W politycznym głównym nurcie pojawił się on dopiero w 2018 r., zyskując nieco ponad 8% w głosowaniu, które do drugiej kadencji prezydenckiej wyniosło Sebastiána Piñerę. Kast to prawicowy radykał, społeczny konserwatysta, jakich mało. Chciałby zakazać rozwodów, cofnąć legalizację aborcji, krzywym okiem spogląda na wydziały nauk społecznych na uniwersytetach. To tam jego zdaniem rodzi się marksizm, stamtąd wychodzi zagrożenie rewolucyjne. Wbrew pozorom to lęk realny, na dalekiej prawicy bardzo powszechny. Strachem przed studencką rewoltą uzasadniał zresztą Kast swoje poparcie dla Pinocheta w referendum z 1988 r. Kiedy zapytałem go wprost o stosunek do dyktatury, siedząc jeszcze w ciasnym, niewiele znaczącym biurze Partii Republikańskiej, od razu wystrzelił formułkę o ogniu marksizmu na kampusach. Dla Kasta starzy konserwatyści, wywodzący się jeszcze ze struktur dyktatury, także stali się zdrajcami. Są za mało konserwatywni, za bardzo skompromitowani aferami korupcyjnymi.

Pojednanie kosztem sprawiedliwości

Zmieniło się więc w Chile w ostatnich latach prawie wszystko, nowi przecięli pępowinę łączącą ich z porządkiem lat 90. Nie zmienił się tylko jeden element układanki. Choć w jego przypadku horyzont czasowy jest jeszcze dłuższy, bo wynosi równo pół wieku. Z innymi liderami i innymi problemami, w innych czasach, Chilijczycy wciąż kłócą się o to, kim dla nich i dla ich kraju był Augusto Pinochet.

Kiedy w 1990 r. Patricio Aylwin mówił o sprawiedliwości, prawdzie

eprasa.pl ba1a76a4c1

i pojednaniu „w miarę możliwości", wiedział, że złożony z tych wartości trójkąt najpewniej nigdy się nie domknie. Że coś trzeba będzie poświęcić. Tym, na co postawił, była prawda, która miała doprowadzić do pojednania, nawet kosztem sprawiedliwości. Na tym oparta została cała strategia rozliczania zbrodni dyktatury, nazwana potem doktryną Aylwina. Przypominała kaskadę, wąską na początku, ale coraz szerszą na każdym dalszym poziomie. Nowe piętra oznaczały inicjatywy i ciała powoływane przez kolejne rządy demokratycznego już Chile. Próbowały one odkrywać kawałki prawdy o terrorze czasów Pinocheta – jednocześnie mając samoograniczenie zapisane w DNA. Pierwsza Narodowa Komisja Prawdy i Pojednania, zwana od nazwiska przewodniczącego, senatora Raúla Rettiga, komisją Rettiga, mogła się zajmować tylko przypadkami zabójstw. Jeśli zatem nie dało się udowodnić, że dany *desaparecido* rzeczywiście nie żyje i że został zabity wskutek działania funkcjonariuszy reżimu, komisja nie miała mandatu, by taką historią w ogóle się zająć.

Niecałą dekadę później, w 1999 r., powstał Stół Dialogu, do którego zaproszono również przedstawicieli sił zbrojnych, a więc jeszcze do niedawna podwładnych (i często sympatyków) Pinocheta. To też była instytucja naznaczona autocenzurą, bo choć miała szerszy mandat niż badanie wyłącznie przypadków śmiertelnych, to i tak istniała poza wymiarem sprawiedliwości. Nie mogła nikogo skazać ani nawet wysłać przed sąd. Taki był warunek brzegowy strony wojskowej, zilustrowany słowami wypowiedzianymi na pierwszej sesji Stołu przez gen. Juana Carlosa Salgada. Prawicowy wojskowy stwierdził wówczas, że „sprawiedliwość jest jeszcze bardziej złożona, niż się wydaje, ponieważ jej różne postrzeganie może utrudnić odtworzenie prawdy. Dlatego uważamy, że dążenie do absolutnej sprawiedliwości może zagrażać szczęściu i pokojowi ludu Chile". Trudno o lepsze podsumowanie stanowiska spadkobierców dyktatury, którzy sądu chcieli uniknąć za wszelką cenę.

Po Stole Dialogu była komisja Valecha w dwóch odsłonach – ona z kolei rozliczała jedynie funkcjonariuszy tajnej policji DINA (później pod nazwą CNI), armię zostawiała w spokoju. Ostatni dokument jej członkowie opublikowali w 2011 r. – i na tym kaskada się zatrzymała. W międzyczasie, rok wcześniej, Michelle Bachelet, lewicowa prezydentka i córka torturowanego przez juntę pilota wojskowego, zdążyła jeszcze otworzyć Muzeum Pamięci i Praw Człowieka, placówkę oferującą światowej klasy badania i upamiętniającą ekspozycją stałą traumę dyktatury, ale szeroko krytykowaną przez prawicę jako mauzoleum demokratycznej opozycji, pomijające przyczyny zamachu stanu i kryzys gospodarczy czasów Salvadora Allendego.

I na tym właściwie koniec. Pinochet wracał oczywiście przy okazji każdej kolejnej rocznicy, a im bardziej okrągła rocznica, tym było go więcej. W 2018 r. 45. rocznica zamachu stanu pokryła się z trzema dekadami od referendum, a Muzeum Pamięci uzupełniło wystawę stałą o sekcję dotyczącą poreferendalnej nocy, ujawniając m.in., że generał nie chciał uznać wyników głosowania i rozważał kolejny pucz. Rząd, zwłaszcza ten prawicowy, Piñery, zakresu kompromisu jednak nie poszerzał. Ograniczał się co najwyżej do jego utrzymania – a to i tak dużo. Innymi słowy, w Chile minionej dekady różnie mówiło się o Allendem, różnie o Pinochecie, ale nikt nie odważył się publicznie zanegować dramatu, który dziesiątkom tysięcy obywateli zgotowała dyktatura. Nie było na to społecznego przyzwolenia, rewizjonizm historyczny nie mieścił się w normie społecznej. Co jednak ważne, nie było też na niego zapotrzebowania nawet na radykalnych marginesach elektoratu. Na mówieniu, że Pinochet był tym dobrym, zbawcą narodu, a *desaparecidos* to bujda, nie dało się zbić znaczącego kapitału politycznego.

W miarę dostępnych możliwości

Dziś tego zdania nie da się wypowiedzieć z taką samą pewnością jak jeszcze trzy, cztery lata temu. W Chile zachodzą dokładnie te same zjawiska, co w każdym innym demokratycznym kraju: kurczenie się centrum, radykalizacja nastrojów na lewicy i prawicy, osłabienie tradycyjnych partii kosztem ruchów i zrywów społecznych bez mechanizmów filtracji kandydatów. Na początku wywoływało to ekscytację wszystkich, nawet międzynarodowych obserwatorów – rywalizacja Kasta i Borica była nowym otwarciem, pożegnaniem ze starymi elitami. Niewielu już wtedy zauważało, że choć starzy aktorzy sceny politycznej mieli na sumieniu wiele grzechów, byli także strażnikami wspólnej narracji o czasach dyktatury. Nie realizowali postulatów teraźniejszości i przyszłości, ale chronili przeszłość i pamięć o niej. Taka jest z definicji natura kompromisu, że w całości nie zadowala on nikogo.

Tydzień przed rocznicą zamachu prezydent Boric ogłosił, że państwo po raz pierwszy zaangażuje się w poszukiwanie szczątków 1162 nieodnalezionych dotąd *desaparecidos*.

eprasa.pl ba1a76a4c1

Wizerunki odpowiedzialnych za zamach stanu i późniejsze krwawe lata dyktatury Augusta Pinocheta i dowódcy chilijskich sił zbrojnych gen. Juana Cheyre znalazły się na spodniach. 4 września 2023 r.

Wraz z odsunięciem weteranów poszło do kosza wiele mechanizmów, które blokowały w Chile rewizjonistów. O przeszłości można mówić wszystko, z czego skwapliwie korzysta zwłaszcza prawica. Rehabilitować dyktatora zaczął Kast, przesuwając dyskurs dalej na prawo. Tradycyjna prawica szybko zrozumiała, że to tam odbywa się teraz najważniejszy wyścig, więc zaczęła się licytować na rewizjonizm. W efekcie w chwili oddawania tego tekstu do druku, kilka dni przed oficjalnymi obchodami 50. rocznicy zamachu stanu, nie wiadomo tak naprawdę, co się wydarzy. Boric ma już potwierdzone poparcie dla swojej rocznicowej deklaracji wszystkich żyjących eksprezydentów od 1990 r. i kilkorga przywódców z zagranicy. Nawet Sebastián Piñera, brat ulubionego ministra Pinocheta i twórcy konstytucji z 1981 r., zdobył się na przyznanie publicznie, że bombardowanie pałacu prezydenckiego La Moneda to „ogromny błąd". Skrytykował Allendego, zarzucił mu tolerowanie i usprawiedliwianie przemocy, ale dyktatora potępił za zdławienie demokracji i łamanie prawa.

Już wiadomo, że na obchodach nie pojawi się część prawicowej opozycji. Boric chciał wszystkich zjednoczyć, ale pod swoim berłem – zaprosił całą nową elitę polityczną do podpisania wspólnej deklaracji „wzmacniającej demokrację i potępiającej dyktaturę". Zaprotestowała trójpartyjna prawicowa koalicja Chile Vamos (Naprzód, Chile), wewnątrz której trwa spór w sprawie przyjęcia zaproszenia Borica. Niechętny mu jest zwłaszcza Javier Macaya, szef Unión Demócrata Independiente, Niezależnej Unii Demokratycznej, powstałego w 1983 r. cywilnego skrzydła dyktatury. Pozostali liderzy się wahają, podczas gdy Macaya rozpoczął krucjatę przeciwko obecnemu prezydentowi. Lewica zaczęła nazywać UDI rewizjonistami, przyjaciółka Borica i szefowa jego kancelarii Camila Vallejo podkreśliła, że „szacunek dla demokracji i praw człowieka to nie są kwestie negocjowalne". Macaya odpowiedział porównaniami obecnej ekipy do Allendego i jego rządu Jedności Ludowej: że tak samo jak on tolerują przemoc, że hodują marksistowskich terrorystów, że zagrażają wolności obywatelskiej i gospodarczej. Jakby tego było mało, Chile Vamos zapędziło się w kozi róg, bo okazało się, że udział w państwowych obchodach rozważa Kast, czyli największy rywal. Jego Partia Republikańska na co dzień Pinocheta broni całym sercem, teraz jednak zrobiła zwrot w kierunku mniejszego radykalizmu. Macaya, jak donoszą źródła partyjne cytowane przez wpływowy portal El Mostrador, próbował wejść na terytorium Kasta, ścigając się na radykalizm, ale możliwe, że przelicytował. Zaatakował konsensus, ale bez zgody pozostałych koalicyjnych partnerów. Biorąc pod uwagę fakt, że na obchodach pojawi się też Evelyn Matthei, córka szefa lotnictwa z czasów dyktatury, wpływowa polityczka prawicy i przyjaciółka z dzieciństwa Bachelet, Macaya może zostać z Pinochetem jak Himilsbach z angielskim.

Nie zmienia to faktu, że coś w Chilijczykach pękło. Ich kraj znów staje się czymś na kształt domu duchów, jak w tytule powieści Isabel Allende. Według badań sondażowni Mori 42% Chilijczyków uważa dziś, że zamach zniszczył demokrację. Ale aż 36% – że uchronił kraj przed marksizmem. Jeszcze w 2006 r. proporcje tych odpowiedzi wynosiły 68 do 19. Oznacza to coraz większy problem z interpretacją przeszłości. Gabriel Boric doskonale wie, po której stronie stoi. Podchwycił doktrynę Aylwina, próbuje poszerzyć kaskadę sprawiedliwości. Tydzień przed rocznicą ogłosił, że państwo po raz pierwszy zaangażuje się w poszukiwanie szczątków 1162 nieodnalezionych dotąd *desaparecidos*. To gest symboliczny, ale ważny – uznaje bowiem dziedziczenie przez obecne państwo przynajmniej części odpowiedzialności za działania aparatu dyktatury. Zapowiedział współpracę z organizacjami pozarządowymi, cyfryzację archiwów. Nie będzie jednak domagał się dokumentów od armii, za co został skrytykowany przez organizacje rodzin ofiar dyktatury. Te domagają się pójścia na całość, przeszukania domów byłych generałów i weteranów junty. Ale Boric, tak samo jak jego poprzednicy, musi działać wedle możliwości. A to w Chile zawsze znaczyło i nadal dla każdego znaczy zupełnie co innego.

42% Chilijczyków uważa dziś, że zamach zniszczył demokrację. Ale aż 36% – że uchronił kraj przed marksizmem.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

FOT. REUTERS/FORUM, AP/EAST NEWS

eprasa.pl ba1a76a4c1

AfD maszeruje po władzę?

Prawicowo-nacjonalistyczna Alternatywa dla Niemiec jest od miesięcy na fali wznoszącej. I nic nie zapowiada, aby ten trend szybko się odwrócił

Jan Opielka

Jednooki kanclerz Olaf Scholz? To żadna satyra, tylko na początku września lustro politycznej rzeczywistości Niemiec. Szef rządu z ramienia socjaldemokratycznej SPD wskutek upadku podczas rekreacyjnego biegania zranił się w twarz i przez kolejne dni nosił na prawym oku czarną opaskę. Rana nie jest poważna, sam polityk obracał to w żarty. Nietrudno jednak dostrzec w tym incydencie pewną tragikomiczną symbolikę. Otóż po niemal dwóch latach urzędowania Scholz robi wrażenie, jakby czegoś istotnego nie widział. Choćby tego, że polityka jego rządu doprowadziła do utraty zaufania przez koalicję SPD z Zielonymi i liberałami (gospodarczymi) z FDP. Gdyby wybory odbyły się teraz, nie uzyskałaby ona większości. SPD w porównaniu z wynikiem wyborczym z 2021 r. traci prawie 10 pkt proc. (obecnie 16% poparcia), FDP – 4,5 pkt proc. (7%), tylko Zieloni są z lekkim minusem stabilni (14%). „Dzisiejszy obraz tej koalicji świateł drogowych znieść można tylko z wisielczym humorem", komentuje publicysta Albrecht von Lucke w renomowanym miesięczniku politycznym „Blätter für deutsche und internationale Politik". Można zatem uciec w czarny humor albo – jak coraz większa część wyborców – skłonić się ku jedynej partii, która od ostatnich wyborów istotnie zyskała na poparciu, nacjonalistyczno-konserwatywnej Alternatywie dla Niemiec (AfD).

Według aktualnych sondaży na AfD zagłosowałoby dziś ok. 21% wyborców, poparcie dla partii rośnie od ubiegłego roku, w niektórych badaniach opinii brakuje jej ledwie kilku punktów procentowych do pozycji lidera, zajmowanej przez konserwatywną chadecję CDU/CSU (26-27%). We wschodnich landach AfD w sondażach prowadzi. Z okazji 10. rocznicy założenia partia w tym roku przygotowała krótki film o swojej genezie. We właściwy sobie sposób pokazuje, że to ona miała zawsze rację w takich sprawach jak waluta euro, gender, polityka klimatyczna, uchodźcy, polityka energetyczna, koronawirus. AfD chce obniżyć podatki, wznowić produkcję energii atomowej, zamknąć granice przed „migracją socjalną", wygnać z kraju dotychczas tolerowane osoby bez statusu pobytu itd. „Nasze kredo to powrót do normalności", głosi. Normalność to z jej punktu widzenia dawna potęga niemiecka, ale i pozornie stabilne, przejrzyste, mniej skomplikowane, jednonarodowe oblicze społeczne. „Coraz więcej ludzi w kraju chce tej normalności – słyszymy w filmie. – I nie chce już, by lewicowo-zielone media mówiły im, jak myśleć i żyć".

Atakowanie lewicowo-zielonego przekazu jest w dzisiejszych czasach dość proste, mimo – lub właśnie dlatego – że obecny rząd nie jest ani lewicowy, ani naprawdę zielony.

Współprzewodniczący AfD Alice Weidel i Tino Chrupalla podczas partyjnego zjazdu w Magdeburgu, 6 sierpnia 2023 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl ba1a76a4c1

Wątpliwe priorytety rządu

Rząd federalny SPD, FDP i Zielonych jest całkowicie pozbawiony kompasu i nie radzi sobie z mnogością problemów i konfliktów – od wojny w Ukrainie zaczynając, poprzez destabilizację gospodarczą, inflację i kwestię migracji, na drugo- i trzeciorzędnych kwestiach kończąc. Brak sprawczości ilustruje choćby wielomiesięczny spór o dotowanie... pomp ciepła, którego rozwiązanie doprowadziło do jeszcze większego chaosu. Kanclerz Olaf Scholz jest bezbarwnym liderem, który blednie na tle głównych sojuszników – ministra finansów Christiana Lindnera (FDP), ministra gospodarki Roberta Habecka (Zieloni) i minister spraw zagranicznych Annaleny Baerbock (Zieloni). Skutki wojny w Ukrainie, zwłaszcza odcięcie od długoletnich dostaw taniej rosyjskiej energii, fundamentalnie podważają siłę gospodarczą Niemiec. Coraz więcej dużych koncernów, np. z energochłonnej branży chemicznej, wpada w tarapaty lub rozważa inwestycje w USA. W tym roku gospodarka niemiecka jako jedna z nielicznych w strefie euro się skurczy.

Reakcja Berlina na te problemy jest co najmniej wątpliwa. Kilka miesięcy temu rząd federalny i rząd landu Saksonia-Anhalt zaoferowały publiczne wsparcie rzędu 10 mld euro dla amerykańskiego potentata w produkcji układów scalonych, koncernu Intel, aby ten zbudował w Magdeburgu fabrykę procesorów, wartą w sumie 30 mld euro. To inwestycja w technologie przyszłości, ale przekazanie tak dużej kwoty firmie, która w latach 2018-2022 w sumie wykazała ok. 90 mld dol. zysku, spotkało się z ostrą krytyką. Zdaniem Stefana Koothsa, wiceprezesa Kilońskiego Instytutu Gospodarki Światowej (IfW), tak wysokie subsydia są sygnałem słabości. „Pieniądze zdecydowanie lepiej byłoby zainwestować w edukację niż w tak prestiżowe projekty – mówił ekonomista w wywiadzie dla telewizji publicznej ARD. – Zwrot z edukacji jest nieporównywalnie wyższy niż z jakiejkolwiek innej inwestycji kapitałowej".

Zwrot z nakładów na edukację jest jednak długoterminowy, skutki odczuwalne będą dopiero za wiele lat. Tymczasem rząd w Berlinie, pod wpływem liberalnego ministra finansów dbającego o tzw. hamulec zadłużeniowy, w budżecie na 2024 r. znacząco zmniejszył środki na edukację i badania, system ochrony zdrowia czy budownictwo komunalne. Symptomatyczny jest przykład z ostatnich miesięcy: rząd przyciął także flagową reformę Zielonych, tzw. podstawowe zabezpieczenie dzieci, dotyczące milionów młodych, zwłaszcza z biednych rodzin, którym grozi ubóstwo – jest ich według badań ok. 2,9 mln. Wstępne założenia reformy Zielonych mówiły o 12 mld euro rocznie. Ostatecznie minister finansów dał 2,4 mld euro, argumentując, że „redystrybucja pieniędzy na walkę z biedą dochodzi do granic".

Po niemal dwóch latach polityka rządu kanclerza Olafa Scholza doprowadziła do utraty zaufania przez koalicję SPD, Zielonych i FDP.

Gra lękami przed wojną

Wymienione posunięcia polityczne są ważne, aby zrozumieć istotę poparcia dla AfD. Sondaże pokazują, że niemieccy wyborcy są świadomi poważnych tarapatów gospodarki i podobnie jak wyborcy w innych państwach UE odczuwają rosnący lęk przed przyszłością. Prawie dwie trzecie mieszkańców Niemiec obawia się wyraźnego pogorszenia sytuacji gospodarczej w kraju, 40% czuje lęk przed utratą własnego statusu finansowego. Jednocześnie 30% niepokoi się wzrostem liczby uchodźców z Ukrainy, 72% obawia się, że wojna w Ukrainie rozleje się poza ten kraj, a co trzeci pytany, że Rosja może zaatakować Niemcy.

Oprócz destabilizacji ekonomiczno-socjalnej i lęków przed imigrantami oraz uchodźcami to właśnie kwestia wojny i niemiecka polityka wobec Ukrainy i Rosji najbardziej sprzyja AfD. Partia uchodzi za prorosyjską, istnieją podejrzenia, że jest zinfiltrowana przez rosyjskie służby, a współprzewodniczący partii, Tino Chrupalla, zjawił się 9 maja br. w rosyjskiej ambasadzie w Berlinie, aby upamiętnić zwycięstwo nad nazistowskimi Niemcami. Chrupalla tłumaczył, że do niedawna 9 maja był dniem pamięci, „w którym oczywiście uczestniczyli niemieccy politycy z wszystkich partii reprezentowanych w Bundestagu". „Dialog ten nie powinien być zrywany w czasach kryzysu", dodał i w świetle wyżej wspomnianych sondaży mógł o tym mówić zupełnie otwarcie. W swoim programie AfD głosi: „W interesie Niemiec leży włączenie Rosji do ogólnej struktury bezpieczeństwa bez lekceważenia własnych interesów i interesów naszych sojuszników".

Partia ma w swoich szeregach kilka charyzmatycznych i medialnie obytych postaci, które przyciągają wyborców z różnych warstw społecznych i o różnych poglądach – od skrajnie prawicowo-nacjonalistycznych, poprzez przeciwników Unii Europejskiej, po tych bliskich prawego skrzydła chadecji czy nawet lewicy. Współprzewodnicząca AfD Alice Weidel potrafi w klarowny, jednocześnie chwytliwy sposób przekonywać do swoich racji. Wszystko to tworzy niebezpieczną mieszankę: niewłaściwi ludzie – politycy AfD – stawiają przynajmniej częściowo słuszne pytania. Choćby te o poszukiwanie dróg zakończenia wojny, aby uniknąć dalszych ofiar i ryzyka eskalacji. Na ironię zakrawa fakt, że partia nacjonalistyczna chce uchodzić za gołąbka pokoju. Co więcej, w sprawie krytycznego podejścia do wojny w Ukrainie AfD nie odbiega od wielu autorytetów niemieckiego świata polityki czy publicystyki, takich jak ważny niegdyś polityk SPD Klaus von Dohnanyi, znany socjolog Harald Welzer albo czołowa feministka Alice Schwarzer.

Hasło „Nigdy więcej wojny z naszym udziałem" od burzliwej rebelii lat 60. stało się częścią składową

eprasa.pl ba1a76a4c1

niemieckiego DNA. AfD jest w stanie czerpać z tego pacyfistycznego kapitału społecznego. „Alternatywa dla Niemiec wykorzystuje przede wszystkim fakt, że Niemcy od początku wojny w Ukrainie i deklarowanego tzw. *Zeitenwende* (punktu zwrotnego) kanclerza Scholza stały się w 100% uległe wobec USA", mówi Frank Deppe, emerytowany profesor politologii z Marburga. Według niego taka sytuacja jest niebezpieczna, ponieważ nie wiadomo, jak będzie wyglądać polityka być może nowego prezydenta USA. „Europa musiałaby rozwinąć własną politykę bezpieczeństwa, która nie wyklucza Rosji", podkreśla Deppe i wskazuje aktualną propozycję negocjacji między Rosją i Ukrainą, sformułowaną przez cztery znane niemieckie postacie, m.in. Horsta Teltschika, byłego szefa Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa. Propozycja zawiera wyznaczenie stref wycofania wojsk, neutralność Ukrainy, gwarancje bezpieczeństwa dla Kijowa. Na tę propozycję zapewne będzie się powoływać AfD – i trudno będzie oskarżać ją w tej kwestii o radykalizm.

Przełom w polityce lokalnej

Mniej radykalnie partia działa także na szczeblu lokalnym, gdzie sukcesywnie wnika w tkankę polityczną kraju, uzyskując coraz więcej miejsc w radach miast i gmin. W gminie Raguhn-Jessnitz w Saksonii-Anhalt w lipcu br. po raz pierwszy kandydat AfD wygrał wybory na burmistrza. W związku z tym wielką burzę wywołał szef CDU Friedrich Merz, sugerujący ostrożnie, że na szczeblu lokalnym jego partia powinna w przyszłości współpracować z AfD. Wprawdzie dzień później wycofał się z tego, niemniej krytycy oceniają ten ruch chadecji jako pierwszy, nieśmiały i zakamuflowany krok do ewentualnego wspólnego z AfD objęcia władzy na szczeblu landów, a być może i federalnym po wyborach parlamentarnych w 2025 r. Oznaczałoby to prawdziwe trzęsienie ziemi, które CDU jak na razie kategorycznie wyklucza. Wrażliwym na historię Niemcom i Niemkom nasuwają się bowiem skojarzenia z początku lat 30. minionego wieku. Wówczas partie tzw. konserwatywnej prawicy chciały zneutralizować Adolfa Hitlera i jego partię NSDAP, wciągając ją do rządów. Wiadomo, jak to się skończyło.

Tymczasem AfD radykalizuje się już w ławach opozycyjnych. Znaczenie zyskuje radykalne skrzydło pod wodzą Björna Höckego, czołowego nacjonalisty partii, przewodniczącego AfD w Turyngii. Według najnowszych sondaży AfD w tym landzie prowadzi i mogłaby po wyborach w 2024 r. stworzyć teoretyczną koalicję z chadecją. Prawie co trzeci pytany w tym kraju związkowym chciałby takiej koalicji. W Turyngii widać gołym okiem, że radykałowie przesuwają polityczny środek na prawo. „Problemem radykalizacji jest to, że ludzie się do niej przyzwyczajają i aby się odróżnić, trzeba w radykalizmie postępować coraz dalej", tłumaczyła Beate Küpper, profesorka z Hochschule Niederrhein w Krefeld, w wywiadzie dla rozgłośni Deutsche Welle. Faktycznie, dziś choćby w kwestii uchodźców partie centrum zaostrzyły dyskurs, już nawet Zieloni nie krytykują ostro pushbacków, a część chadecji mówi językiem AfD. „Deng Xiaoping mawiał: »Jeśli otworzysz okna zbyt szeroko, wiele robactwa dostanie się do środka«. W odniesieniu do problemu imigracji oznacza to, że musimy uważać, aby wraz z wykwalifikowanymi pracownikami nie sprowadzić do kraju byle jakich uchodźców ekonomicznych", stwierdził w wywiadzie pod koniec lipca br. polityk CSU, poseł Bundestagu i były minister transportu i budownictwa Peter Ramsauer. Co prawda, odciął się później od tej wypowiedzi, zasłaniając się tym, że nie była autoryzowana, ale przekaz poszedł w świat.

> Obecny rząd nie jest ani lewicowy, ani naprawdę zielony.

> W tym roku gospodarka niemiecka jako jedna z nielicznych w strefie euro się skurczy.

Lewicowa alternatywa

Widząc rosnącą popularność AfD, na prawo przesuwa się też CDU. Jednak może nie odnieść z tego korzyści. „Wszyscy badacze sądzą, że ludzie mimo wszystko wybiorą oryginał", podkpiwała niemiecko-irańska badaczka migracyjna Naika Foroutan w tygodniku „Freitag". Czyli oryginalny antyimigrancki przekaz AfD. „Myślę, że jedynym, co mogłoby teraz osłabić AfD, byłaby nowa partia", dodała. I taka potencjalna nowa partia pojawia się na horyzoncie. Na razie to partia widmo najpopularniejszej polityczki lewicy, Sahry Wagenknecht. Charyzmatyczna i barwna polityczka zawsze była jedną z twarzy lewicy i zyskała jeszcze więcej poparcia, sprzeciwiając się wojnie toczącej się w Ukrainie. Teraz rozważa założenie nowego ugrupowania. „Mogę sobie wyobrazić, że partia Wagenknecht byłaby w stanie zmniejszyć poparcie dla AfD i przyciągnąć tych jej wyborców, którzy nie są prawdziwymi lub ukrytymi nazistami. Nie sądzę, by którakolwiek z pozostałych partii była w stanie to zrobić", uważa Naika Foroutan.

Problemu wzrostu znaczenia Alternatywy dla Niemiec nie załatwi także dyskutowana mniej lub bardziej poważnie delegalizacja tej partii – taki proces prawny nie tylko trwałby długie lata, ale też wyprowadziłby na barykady sporą część zwolenników AfD.

W przyszłym roku odbędą się wybory w trzech wschodnich landach – Brandenburgii, Saksonii i Turyngii. We wszystkich AfD ma poparcie ponad 30%, może więc zostać najsilniejszym ugrupowaniem. Bardzo trudno będzie zatem rządzić, mając tę partię w opozycji. Potrzebne będą dziwaczne koalicje, niepasujące do siebie programowo, które z czasem będą tracić poparcie – jak widać to dziś na przykładzie rządu federalnego. A im słabiej widzący obecny rząd – tym lepsza przyszłość Alternatywy dla Niemiec.

Jan Opielka

eprasa.pl ba1a76a4c1

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Broniąc Holland, oskarżajmy rządzących!

Jakże piękna mimo swojej oczywistej ohydy jest rozkręcana przez prawicę, rząd i ich media afera wokół filmu Agnieszki Holland „Zielona granica". Którego, rzecz jasna, nikt na oczy nie widział, a kiedy już będzie wyświetlany w polskich kinach, cała ta wataha warczących na reżyserkę „prawdziwych Polaków" i tak ostentacyjnie nie pójdzie go obejrzeć. Co w tym pięknego? Otóż mnie, choć równocześnie czuję na plecach dreszcze, bezmiernie fascynuje oglądanie spektaklu nienawiści rozpętywanego przez osoby i środowiska odpowiedzialne za niezliczone akty przestępcze dokonywane na polsko-białoruskim pograniczu, za praktyczną filozofię pushbacków – wypychania uchodźców z powrotem na Białoruś. W tym dzieci i kobiet w ciąży. Wielokrotnie nazywałem to jednoznacznie – ta władza, łamiąc polskie, własne, tutejsze, oraz europejskie (sama Europa nie jest bez podobnych win) prawa, dopuszcza się mordów, tortur, złego traktowania. Te śmierci na, przy, obok muru granicznego, w bagnach puszczańskich i rzekach, w ciemności, zimnie i opuszczeniu, oraz pobicia, kłamstwa, ten rozmach w nieudzielaniu pomocy (podczas gdy bez dnia przerwy udzielają jej nieliczne i nieliczni), to jest czyste bestialstwo motywowane najgorszym z możliwych rozumieniem polityki: nie ma takiej potworności, której nie zrobi się dla utrzymania władzy. Ten polityczny cel uświęca wszystkie bezprawne działania, rozkazy, propagandę, nagonkę na pomagających, kryminalizowanie pomocy humanitarnej. Ppotwierdzają to wydane już, choć wciąż dotyczące wierzchołka góry lodowej spraw, wyroki sądowe. Wściekłość rządzących, wyrywająca się poza nawet pozory dopuszczalnej, dającej się jakkolwiek uzasadnić artykulacji (vide Zero Ziobro z błąd motem: „W III Rzeszy Niemcy produkowali propagandowe filmy pokazujące Polaków jako bandytów i morderców. Dziś mają od tego Agnieszkę Holland"), dowodzi bezsprzecznie, że już nie tylko „na złodzieju czapka gore", ale że naprawdę parzy w tyłki. „Minister kultury" natychmiast wyjaśnia i zapewnia, że polskie instytucje nie dały na film nawet złotówki. Wybitne dupochroniarstwo, w którym służalczość goni konformizm, i kompletne odklejenie od fundamentów etycznych.

Ale może da się zrozumieć tę falę nienawistnych ataków na Agnieszkę Holland? Wszak dzięki pozycji reżyserki udało się zebrać niezbędne środki, film powstał, a jego pokaz w Wenecji zapowiada światowy, globalny zasięg oglądających – i nic na to żaden Ziobro, Gliński, Kaczyński i ich zaplecze nie mogą poradzić, zatrzymać, spowolnić, nie zauważyć. Cały świat zatem obejrzy, w fabularnej formule, faktyczne obrazy przemocy politycznej, prawdziwe śmierci, realną odpowiedzialność całej polskiej prawicowej klasy politycznej. I naszym rządzącym bezustanne zachłystywanie się „bezpieczeństwem Polaków" nie pomoże w niczym. Zobaczyć samych siebie jako de facto zbrodniarzy, i to odrażających – bo takie jest spowodowanie śmierci na naszej granicy dzieci, kobiet, kobiet w ciąży, ludzi po prostu – musi być przykre. I tu znajduję pozytywny wymiar całej historii. Film, nieoglądany jeszcze (choć po latach okaże się, że policyjny minister Kamiński z przestępczym kamratem Wąsikiem wysłali do Wenecji jakiegoś agenta w prochowcu zakupionym poza przetargiem i z kamerką szpiegowską, żeby go tam nielegalnie nagrać i opisać w notce służbowej dla capo di tutti capi), wzbudził prawdziwą reakcję wstydu za czyny, których nie da się ukryć mimo całej zmasowanej ofensywy zawłaszczonych czy skorumpowanych politycznie przez PiS mediów. To musi boleć. I ma boleć. Tak jak później będzie bolało stanięcie przed sądem. Co nastąpi, głęboko w to wierzę. Nawet jeśli potrzeba będzie czasu.

W ostatnich dniach usłyszeliśmy, że po 50 latach skazani zostali oficerowie armii chilijskiej, którzy torturowali i zamordowali Víctora Jarę, legendarnego barda lewicy wspierającego socjalistyczną rewolucję Salvadora Allendego w latach 70. Wśród skazanych są zarówno bezpośredni sprawcy tortur i mordu, dokonanego kilka dni po zamachu stanu (wspieranym zresztą przez USA) na osławionym stadionie w Santiago, jak i prokurator wojskowy, który tuszował zbrodnię.

Polski rząd nie tuszuje, on przed kamerami telewizyjnymi próbuje opowiedzieć, że łamiąc prawo, zachowuje je, że mordując, ocala (niczym niezagrożone) życie „Polaków", że budując mur na granicy, rozwiązuje jakiś problem. I w tym samym czasie musi zdymisjonować swojego wiceministra spraw zagranicznych, który odpowiada za powstanie i funkcjonowanie korupcyjnego systemu przyznawania wiz, dzięki któremu polski rząd umożliwił wjazd do Europy niemal 350 tys. osób. Przyjechały m.in. z tych samych krajów, z których pochodzą uchodźcy na granicy. W tle wielkie korporacje pośrednictwa pracy i ich skuteczny lobbing. A niedawny kandydat PiS na rzecznika praw obywatelskich (!!!), ów wiceminister Piotr Wawrzyk, rozpłynął się w powietrzu. Wypłynie za chwilę jako dyplomata gdzieś bardzo daleko?

Rozpad reguł i zasad funkcjonowania państwa sięga niewyobrażalnego jeszcze niedawno dna. I choć „najlepiej jest na dnie, niżej nikt nie spadnie", jak pisał Stanisław Jerzy Lec, za chwilę rozlegnie się pukanie od spodu. Nie ma takiego dna, którego dla „dobra Polek i Polaków" PiS by nie zagospodarowało. W pocie czoła i za godne uposażenie.

A my na to: żaden człowiek nie jest nielegalny i żadna pomoc nie jest nielegalna. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ba1a76a4c1

PO SEZONIE TEATRALNYM 2022/2023

POLE WALKI

To był nerwowy sezon. Trwała batalia o zdobycie przyczółków, odbicie fortec, zachowanie stanu posiadania

Tomasz Miłkowski

Walka polityczna zadomowiła się na terytorium teatru. Nasiliły się spory o jego kształt ideowy, sposoby wyłaniania dyrektorów, a przede wszystkim sprawowania kierownictwa. Trwały jeszcze rozliczenia wywołane ujawnieniem przemocowych praktyk w teatrze, tak silnie wydobytych na powierzchnię debaty publicznej dzięki ruchowi #MeToo, ale też dość nerwowo dyskutowano, jaki ma być kształt programowy teatru. Punktem zapalnym tych sporów była wizja sprawowania mecenatu państwowego nad kulturą, który wedle PiS polega na bezpośrednim kierownictwie programowym, ingerencji i korygowaniu niepożądanych – zdaniem władzy – trendów, a w szczególności rugowaniu tzw. lewactwa. Innymi słowy, wykreślone powinno być ze słownika pojęcie niezależności artystycznej.

Roszady

Przez teatralną Warszawę przeszło prawdziwe tsunami kadrowe. Rozpoczęła je przeprowadzona w atmosferze sporu i walki, dla niektórych w skandalicznych okolicznościach, zmiana dyrekcji w Teatrze Dramatycznym. Potem ujawnił się lekceważony wcześniej spór o kierownictwo w TR Warszawa, w wyniku którego odszedł z teatru jego wieloletni dyrektor artystyczny, traktowany jak guru awangardowej przemiany Grzegorz Jarzyna. Dyrekcję teatru od 1 września objęła Anna Rochowska, pedagożka teatru, koordynatorka Zespołu Edukacji TR Warszawa, w którym pracuje od 1996 r.

Niespodziewanie wybuchł konflikt w Teatrze Kwadrat, powodując koniec kilkunastoletniej dyrekcji Andrzeja Nejmana. I tym razem funkcję przejęła kobieta, znana aktorka związana z tym teatrem, Ewa Wencel. Jeśli do tego dodać spór wokół kierownictwa Teatru Komedia w Warszawie pod koniec ubiegłego sezonu, ponowne rozpisanie konkursu i powołanie w końcu Krzysztofa Wiśniewskiego, twórcy Klubu Komediowego, a także zapowiedź konkursu na stanowisko dyrektora Teatru Współczesnego, widać, że w istocie w stolicy daleko było do kadrowej stabilizacji, a w tle tych zmian można dostrzec wspomniane spory o mecenat.

Przez teatralną Warszawę przeszło tsunami kadrowe.

Pewne sukcesy w odbijaniu terenu PiS odnotowało – w Łodzi zniechęcony naciskami ze strony samorządu zrezygnował z dyrekcji artystycznej Teatru im. Stefana Jaracza Marcin Hycnar. Władza „odzyskała" teatr, wzmacniając swoje pozycje powołanym przez ministra Glińskiego Teatrem Klasyki Polskiej (pod kierownictwem Jarosława Gajewskiego), wprawdzie bez siedziby, ale z dużym budżetem.

Natomiast walka o Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy skończyła się przegraną rządu, który chciał ingerować za pośrednictwem wojewody w przebieg konkursu, w wyniku którego dyrekcję objęła Monika Strzępka. Strzępka została zaatakowana za poglądy polityczne, co było skrywane za pozorami zarzutów formalnych, ale towarzyszył temu istotny spór o kształt programu teatru. Część krytyków przyjęła jej nominację, najdelikatniej mówiąc, bez zachwytu. Argumentowali, że taki wybór pozostaje w sprzeczności z tradycją tej sceny, a nawet nazwą. Potężne działa wytaczano z obu stron (dostało się przy okazji dziadersom).

Nowa dyrekcja i teatralny kolektyw wyszły jednak z opresji cało, choć pracowały pod napięciem. Zawieszona przez wojewodę dyrektorka zrobiła sobie nawet pamiątkowe zdjęcie w pozie dosłownie zawieszonej nad sceną Dramatycznego. Tak czy owak, repertuar pierwszego sezonu nie okazał się nazbyt rewolucyjny, nie zagroził spójności ustrojowej państwa, a nawet trochę rozczarował oddaleniem od progresywnych zapowiedzi. Dopiero spektakle w drugiej części sezonu – „Chłopaki płaczą" Michała Buszewicza i „Podwójny z frytkami" Jana Czaplińskiego w reżyserii Piotra Pacześniaka – dowiodły, że mamy do czynienia z teatrem krytycznym.

Dowiódł tego również powszechnie chwalony, przygotowany przez Dramatyczny program Warszawskich Spotkań Teatralnych, w którym królowały spektakle Jakuba Skrzywanka, od niedawna dyrektora Teatru Współczesnego w Szczecinie. Zaprezentował on podczas spotkań aż dwa

eprasa.pl ba1a76a4c1

Spartakus. Miłość w czasie zarazy

przedstawienia: „Spartakusa. Miłość w czasie zarazy” z teatru szczecińskiego o udręce pacjentów szpitali psychiatrycznych, w szczególności nieheteroseksualnych, i „Śmierć Jana Pawła II” z Teatru Polskiego w Poznaniu, widowisko rekonstrukcyjne ukazujące niemal z dokumentalną starannością ostatni tydzień życia i przygotowania do pochówku papieża.

Warszawskie spotkania miały przemyślane obramowanie. Na zamknięcie pokazano kielecki spektakl „Ale z naszymi umarłymi” według powieści Jacka Dehnela, w reżyserii Marcina Libera. Rzecz o polskich strachach, kompleksach i zaściankowych poglądach, niechęci do obcych, a także wyniosłości władzy i manipulacjach opinią publiczną. Sztuka stanęła w gardle krewkim politykom prawicy, którzy dostrzegli w niej zamach na wartości i osoby nietykalne (pojawił się zarzut szargania pamięci pary prezydenckiej, która zginęła w katastrofie pod Smoleńskiem, i poniewierania świętościami patriotycznymi). Te wydumane ataki spektaklowi i sprawie, o której mówi, tylko pomogły, bo zwycięsko objechał najważniejsze festiwale teatralne w Polsce.

Mocny Kraków

Równie udany był początek, czyli musical „1989”, w Teatrze im. Juliusza Słowackiego (koprodukcja z Gdańskim Teatrem Szekspirowskim).

W maju się nie umiera

Rok temu zachwycił on inscenizacją Mickiewiczowskich „Dziadów” w reżyserii Mai Kleczewskiej, teraz musicalem, będącym w Polsce rzadkim okazem pozytywnego myślenia o przeszłości. Spektakl ten, gdziekolwiek był pokazywany, cieszył się ogromnym powodzeniem. To zresztą charakterystyczne – niesprawiedliwe ataki uskrzydlają, a Teatr Słowackiego stał się wręcz koronnym dowodem trwającego sporu o kształt mecenatu publicznego i zasięg władzy tzw. organizatora teatru (czyli w praktyce finansowej zwierzchności nad teatrem). Świadczy o tym wszczęta w lutym ub.r. przez marszałka województwa małopolskiego procedura odwoławcza dyrektora Teatru Słowackiego, Krzysztofa Głuchowskiego.

Pretekstem były dęte zarzuty o niegospodarność, choć w istocie chodziło o to, że władzy nie podobały się wspomniana inscenizacja „Dziadów” i kilka innych absurdalnych „występków”, m.in. „wulgaryzacja sceny” (sic!), zbezczeszczonej jakoby występami Marii Peszek. W stawianiu tego rodzaju zarzutów, a w gruncie rzeczy insynuacji, celuje miejscowa pani kurator oświaty. Na skutek pomówień teatr pozbawiony został dotacji ministerialnej i tylko jednoznaczna postawa zespołu oraz niebywałe wsparcie publiczności sprawiły, że zdołał z powodzeniem wywiązać się z planów repertuarowych. Procedura odwoławcza jednak trwa, a jej kolejnym etapem jest przedwczesny i najwyraźniej w pośpiechu rozpisany konkurs na dyrektora Teatru Słowackiego. Nie wiadomo, jak to się skończy, ale można żywić obawy, że marszałek będzie chciał skorzystać z okazji i za pomocą sztuczki konkursowej wymienić dyrektora na „swojego człowieka”.

Najwyraźniej nie swój jest też Jacek Głomb, dyrektor legnickiego Teatru im. Heleny Modrzejewskiej, z wieloma sukcesami na koncie – dość wspomnieć o „Śnie srebrnym Salomei” w reżyserii Piotra Cieplaka w tym sezonie. Głomb cieszy się poważaniem środowiska, ale przez władzę nie jest lubiany. Ta, kiedy nie udała jej się próba rugów, sięgnęła po niezawodny środek finansowego zastraszenia – zmniejszenie dotacji praktycznie paraliżuje program teatru, a radni samorządu dolnośląskiego

eprasa.pl ba1a76a4c1

pozostają głusi na sytuację teatru. Mimo to próbuje on pracować.

Ascetyczny „Sen srebrny…" Cieplaka, oparty na mrocznym tekście Juliusza Słowackiego, dotknął skomplikowanych relacji polsko-ukraińskich. Ze zrozumiałych względów wątek ukraiński silnie objawiał się w wielu spektaklach, ale najpełniejszy wyraz zyskał bodaj w przygotowanym w TR Warszawa przedstawieniu w reżyserii Aleksandry Popławskiej według sztuki „Mój sztandar zasikał kotek" Leny Laguszonkowej, inspirowanym trwającą wojną.

Lear

Paskudne metody walki z niepokornymi dyrekcjami teatrów (stosowane także w innych regionach) utrudniają pracę, ale przynajmniej Teatr Słowackiego trzyma się mocno, powracając do polskiej czołówki. Zresztą w ogóle Kraków teatralnie najwyraźniej się umacnia, nawet kulejący Stary Teatr – wymienić tu można sugestywną adaptację „Baśni o wężowym sercu" Radka Raka. Wysoką pozycję na polskiej mapie teatralnej zajmuje Teatr Łaźnia Nowa Bartosza Szydłowskiego, jednocześnie dyrektora festiwalu Boska Komedia, który i w tym sezonie potwierdził swoją siłę przygotowanym repertuarem. Widzów zachwyciły spektakle „Alte Hajm" w reżyserii Marcina Wierzchowskiego (Teatr Nowy w Poznaniu), rzecz o pamięci wypieranej latami, a teraz domagającej się ujawnienia, i „Rohtko" w reżyserii Łukasza Twarkowskiego (Teatr im. Kochanowskiego w Opolu) o urynkowieniu sztuki i zawłaszczaniu jej przez kapitał. Warto dodać, że Twarkowski zaistniał też w tym sezonie w warszawskim Studiu, gdzie wystawił w iście kosmicznym stylu „The Employees", sztukę opartą na powieści Olgi Ravn (polskie wydanie książki nosi tytuł „Załoga. Protokół z przyszłości"), o zderzeniu człowieka ze sztuczną inteligencją. Nie zawiódł również spektakl Łaźni „Strach i nędza 2022" o chorobie naszych czasów – atrofii uczuć, zaniku empatii i narastaniu znużenia.

Szydłowski nie traci jednak nadziei, że gdzieś istnieje prawdziwy teatr. Najlepszym tego potwierdzeniem jest najgłośniejsza w tym sezonie premiera Łaźni Nowej w koprodukcji z Teatrem im. Stefana Żeromskiego w Kielcach, może najważniejszy spektakl tego sezonu – „Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję" Mateusza Pakuły. Zasłużenie obsypany nagrodami i podziwiany za odwagę oraz uczciwość artystyczną w przetworzeniu przez Pakułę własnej książki na scenę, ukazał zmagania chorego na raka trzustki ojca i koszmar przeżywany przez jego najbliższych. Ta opowieść budzi szacunek za podjęcie trudnego tematu bez klajstrowania rzeczywistości i maskowania paskudnej obojętności Kościoła i systemu opieki zdrowotnej na ludzkie cierpienie.

Tajemnice do odkrycia

Teatralny Kraków to również stojący mocno na nogach Teatr Ludowy pod kierownictwem Małgorzaty Bogajewskiej, która w tym sezonie dała ważną premierę „Śmierci komiwojażera" Arthura Millera w swojej reżyserii. Sztuka, o której, wydawałoby się, wszystko wiemy, ma jednak – jak dowodzi Bogajewska – tajemnice do odkrycia. Wcześniej sprawdziła tę metodę na „Wujaszku Wani" Czechowa, błyskotliwie przeczytanym i równie błyskotliwie granym przez aktorów Ludowego. Bogajewska stawia na misję teatru, dlatego na początku następnego sezonu nastąpi otwarcie Teatralnego Instytutu Młodych przy Teatrze Ludowym jako naturalna kontynuacja prowadzonej przez ten teatr wieloletniej pracy z młodymi widzami.

Warto przy okazji odnotować znaczne zainteresowanie teatrów „dorosłych" spektaklami adresowanymi do młodych odbiorców. Silnie doszło to do głosu w stolicy, gdzie powstały aż trzy inscenizacje inspirowane „Alicją w Krainie Czarów" (Ateneum, Narodowy, Studio), a także pełne energii, starannie przygotowane adaptacje „Piotrusia Pana" (Dramatyczny), „Koziołka Matołka" (Polski) i świetny spektakl Anny Augustynowicz w prywatnym Teatrze Kamienica według tekstu Érica-Emmanuela Schmitta „Oskar i pani Róża", po który reżyserka sięgała już wcześniej w Szczecinie.

Dobre słowo należy się poza tym Teatrowi Nowemu Proxima, który daje wartościową serię portretów gwiazd muzycznych w reżyserii (i z udziałem) Katarzyny Chlebny. Po Korze przyszła teraz pora na „Kruchość wodoru. Demarczyk".

Ciekawe, że Ewa Demarczyk znowu skupia na sobie uwagę. W Warszawie pojawiły się w tym sezonie aż dwa – i to każdy wysokiej próby – przedstawienia z jej piosenkami: koncert-spektakl „Czarne anioły" Natalii Sikory z towarzyszeniem zespołu Tango Attack Hadriana Tabęckiego w Polonii i grane w Teatrze Współczesnym widowisko „Z ręką na gardle" w reżyserii Anny Sroki-Hryń, z udziałem utalentowanych wokalnie młodych aktorów, którzy korzystali z nowych aranżacji Jakuba Lubowicza. Oba spektakle odkrywają nowe przestrzenie interpretacji piosenek artystki.

Polityczna walka, choć uciążliwa, nie przeszkadza więc w tworzeniu przedstawień wysokiej próby. Takich dowodów w tym sezonie było sporo. Na Scenie przy Wierzbowej Teatru Narodowego Wojciech Faruga przedstawił „Dekalog" według scenariusza Krzysztofa Kieślowskiego i Krzysztofa Piesiewicza, wciąż zmuszający do wyborów i refleksji moralnej. Okazało się, że i „Komediant" Bernharda, na tej samej scenie (w roli tytułowej Jerzy Radziwiłowicz),

FOT. DOROTA AWIORKO, PIOTR NYKOWSKI, MAGDALENA HUECKEL

eprasa.pl ba1a76a4c1

wciąż może zaskakiwać. Tak jak Teatr Żydowski na swojej kameralnej scenie premierą „Podróżników" Pawła Mossakowskiego, w reżyserii Gosi Dębskiej, sztuki o losach emigracji marcowej, czy opowieścią „Rehab" o Amy Winehouse, wielkiej gwieździe pokonanej przez nałogi. O cenie, jaką płacą za uzależnienie nie tylko nałogowcy, ale też ich otoczenie, opowiada sugestywnie inspirowany „Pętlą" Marta Hłaski „Melodramat" (Teatr Powszechny w Warszawie) w reżyserii Anny Smolar.

Ale najsilniejsze wrażenie wywarły w stolicy dwa spektakle: „Wzrusz moje serce" Hanocha Levina w reżyserii Artura Tyszkiewicza w Ateneum i „Dolce vita" we Współczesnym. Sztuka Levina to melancholijna opowieść – elegia o udręce życia, subtelnie wycieniowana na scenie przez Julię Kijowską, Grzegorza Damięckiego i Łukasza Simlata.

Bodaj największe zaskoczenie to „Dolce vita" Julii Holewińskiej i Kuby Kowalskiego w reżyserii Marcina Hycnara, spektakl pokazany w Baraku Teatru Współczesnego. To pewnego rodzaju szkopuł dla zwolenników nowoczesnego performance'u – najbardziej odkrywcze przedstawienie sezonu powstaje w ostoi konserwatywnego teatru. Dziwny jest ten świat.

Autorzy, a za nimi Hycnar, wykorzystali klucz „Kartoteki" Tadeusza Różewicza, aby odtworzyć losy nowego pokolenia, wnuków tego z „Kartoteki", ukazać jego niezdecydowanie, zawieszenie wewnętrzne, utratę widoków na przyszłość, ciągłe wypatrywanie sensu.

W jakiś sposób ten spektakl rymuje się z adaptacją „Przemiany" Franza Kafki, którą w Nowym Teatrze dał Grzegorz Jaremko, z wigorem malujący obraz świata, który już niczego nie obiecuje, z bohaterami, którzy niczego nie oczekują. Wzmożenie wysiłku w imię trudnych do zdefiniowania celów nie nęci tu już nikogo. Wszyscy najchętniej oddaliby się słodkiemu lenistwu. Kapitalistyczny pęd do sukcesu staje się już tylko martwym hasłem, na którego zwłokach buszują wspomnienia slapstickowych sztuczek Charliego Chaplina (znakomita Małgorzata Hajewska-Krzysztofik).

A jednak pozostaje nadzieja, jak dowodzą w powstałych w tym sezonie sugestywnych monologach-monodramach Krystyna Janda („My Way"), Agnieszka Przepiórska („W maju się nie umiera. Historia Barbary Sadowskiej"), Marcin Hycnar („Pogo") i Andrzej Seweryn („Lear"). A także Anna Seniuk, która zdecydowała się w wieku 80 lat na debiut w teatrze jednego aktora („Życie pani Pomsel"). To najlepsze dowody, że wyczerpany, znękany walką polityczną teatr nie kapituluje.

Niesprawiedliwe ataki uskrzydlają, a Teatr Słowackiego stał się koronnym dowodem sporu o mecenat publiczny.

Tomasz Miłkowski

eprasa.pl ba1a76a4c1

KURTYNA W GÓRĘ

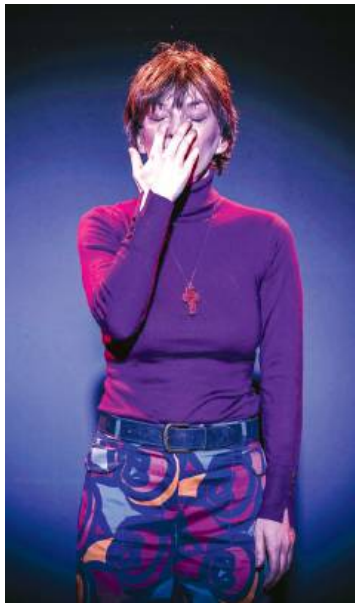

„W maju się nie umiera. Historia Barbary Sadowskiej", monodram Agnieszki Przepiórskiej, tekst Piotr Rowicki, reżyseria Anna Gryszkówna, Dom Spotkań z Historią w Warszawie, premiera 15 maja 2023

Osierocona matka

Agnieszka Przepiórska weszła w świat teatru jednego aktora monodramami w jakimś stopniu zakorzenionymi w jej biografii – dotyczy to zwłaszcza spektaklu o Mickiewiczowskim tytule „Tato nie wraca". Próbowała też z powodzeniem sił w monodramie komediowym („Kocham Bałtyk").

Od pewnego czasu w centrum jej zainteresowania pozostają niepospolite kobiety i ich historie. Taka też jest bohaterka „W maju się nie umiera", poetka, opozycjonistka, matka Grzegorza Przemyka, osierocona przez syna. Przepiórska już wcześniej mierzyła się z tragedią Sadowskiej na scenie Teatru Polonia (2017). Trudno było w tamtym spektaklu wyróżniać aktorów, bo to praca zespołowa, choć mocna kreacja Przepiórskiej wybijała się siłą emocji. Zapewne doświadczenie tej roli sprawiło, że aktorka postanowiła – mimo trudności piętrzących się, kiedy trzeba na scenie pokazać nieprawdopodobny ból po stracie dziecka – skonfrontować się z nią samotnie.

Dlatego twórcy monodramu nawiązują do piety czy emblematycznej postaci matki z „Dziadów" Mickiewicza, pani Rollison, podnosząc opowieść o losach Sadowskiej na poziom metafory nieszczęścia i walki o sprawiedliwość. Niesłychanie mądre i przejmujące przedstawienie. Przygotowującą się do pochówku syna matkę ogarnia fala wspomnień, raz jeszcze przeżywa koszmar śmierci ukochanego dziecka, wsłuchuje się w rytm aparatury medycznej, przypomina sobie rozmaite wzruszające sytuacje z ich wspólnego życia i wspólnej walki.

Kiedy wykrzyczy swój ból, kiedy jej twarz stanie się martwa jak maska, aktorka zdejmuje perukę i bezbronna staje przed widzami, którzy już wcześniej weszli z nią w świat emocjonalnej przepaści Barbary Sadowskiej. Wielka rola aktorki, która osiąga w monodramie prawdziwe mistrzostwo, potwierdzone Nagrodą im. Aleksandra Zelwerowicza.

Tomasz Miłkowski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Toni Hill
Szkoła aniołów
tłum. Elżbieta Rzewuska
Albatros, Warszawa 2023

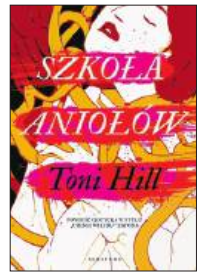

Początkowo ma się wrażenie nadmiaru: planów czasowych, typów narracji, postaci. Chłopak, nawet nie 20-letni, stracony za zamordowanie dziewczyny, która z nim straciła dziewictwo. Ksiądz, który podczas egzekucji dostrzega być może samą Śmierć. Wtrącający się ze swoją pierwszoosobową narracją szef głównego bohatera, młodego psychiatry, nie tylko fizycznie poranionego w walkach I wojny światowej. Kierowniczka szkoły dla dziewcząt notująca w dzienniku coraz bardziej niepokojące zdarzenia. Ba, ów psychiatra z ośrodka stworzonego w miejsce szkoły koresponduje z córką Freuda... A jednak wszystkie te postacie mają przypisane miejsce w opowieści o swoistej klątwie Szkoły aniołów, wydarzeniach nie w pełni wytłumaczalnych mrokami ludzkiej natury. Hiszpan Toni Hill, autor kryminalnej trylogii, dał tym razem własną wersję powieści gotyckiej, odwołując się m.in. do „Dziwnych losów Jane Eyre". Jest tu zagadka zbrodni, lecz także rozdarcie w tkance realności, przez które wkrada się to, co niewyjaśnione, a więc złowieszcze.

Aleksandra Pańko

FESTIWAL

HER Docs Forum
WARSZAWA, 13-17 WRZEŚNIA

1. HER Docs Forum to wydarzenie łączące profesjonalistki aktywne w świecie zaangażowanego społecznie filmu dokumentalnego. W bogatym programie jest zarówno segment adresowany do członkiń branży filmowej, jak i publiczny, skierowany do szerokiej widowni. Ten drugi obejmie projekcje w Kinotece, towarzyszące im rozmowy z gościniami i gośćmi oraz spotkania z zagranicznymi i polskimi twórczyniami, warsztaty z feministycznego spojrzenia na film czy pokaz dla młodej publiczności. W programie filmowym są pełno- i krótkometrażowe dokumenty powstałe w ostatnim roku, w większości pokazywane po raz pierwszy w Polsce i Warszawie. Wśród premier znajdą się „Żółty sufit" Isabel Coixet, który obnaża sprawę wieloletniego wykorzystywania seksualnego uczennic przez nauczycieli w szkole teatralnej dla młodzieży w hiszpańskiej Lleidzie, „5 pór roku rewolucji", jeden z najgłośniejszych tytułów tegorocznej edycji festiwalu Sundance, ukazujący wojnę w Syrii, czy „Feminizm WTF", ulubieniec publiczności festiwalu Diagonale. Wszystkie wydarzenia w ramach części publicznej są bezpłatne. **Szczegółowe informacje i program: herdocs.pl.**

(ag)

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MAGDALENA HUECKEL, MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl ba1a76a4c1

Oko w oko

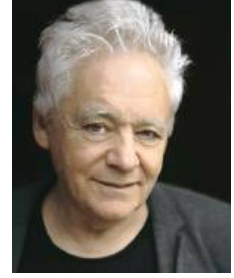

Tomasz Jastrun

Żeby nie było złudzeń

Zanim przeniosę się w polskie biedy, jeszcze kilka obrazów z podróży, nie zmieściłem się w dwóch felietonach. Dwa razy byliśmy w Muzeum Izraela, mieszkaliśmy tuż obok. To znane mi już wcześniej muzeum na wzgórzu ma teraz nowe, piękne pawilony. W galerii malarstwa staję naprzeciw obrazu Paula Cézanne'a „Wiejski dom nad rzeką", staję jak wryty. Reprodukcja tego obrazu wisiała zawsze w domu mojego dzieciństwa. To jak spotkanie z duchem.

Ból, wściekłość, gorycz, które czują liberalni Izraelczycy, mnożone są przez fakt, że to oni zbudowali ten kraj, wydarli ziemie pustyni, tworząc socjalistyczne kibuce. I teraz im się go zabiera. Stworzyli potężną armię, która ma bronić tej malutkiej wysepki otoczonej przez wrogów. To nie religijni, ale syjoniści, ludzie świeccy, socjaliści i liberałowie zbudowali dobrobyt na jałowej ziemi. Ortodoksi to wedle nich trutnie, nie pracują, nie służą w armii, a prowokują wojnę, żądając arabskich ziem. Podobnie jak prawicowi osadnicy, zwani tu faszystami. Na dodatek podważają moralne podstawy bytu tego kraju, gdyż są wobec Arabów rasistami, a to przecież rasizm doprowadził do Holokaustu.

Malarz Marek Janai wiezie nas samochodem z Jerozolimy do Tel Awiwu, mówi: „Zawsze gdy jadę do Tel Awiwu, to jakbym jechał za granicę". Już z daleka widać las wieżowców. To europejskie miasto pełną gębą. Wracamy potem autobusem do orientalnej Jerozolimy, ruszamy z najbrzydszego dworca świata, siedmiopiętrowego, śmierdzącego, mrocznego labiryntu. Możliwe były tylko wieczorne kursy, dopiero około godz. 20 kończy się szabat, wcześniej komunikacja nie działa. Już Jerozolima i koniec szabatu, więc wyroili się ortodoksi, w swoich czarnych strojach, w kapeluszach, czasami futrzanych czapach, budzą niepokój. To już nie jest Europa.

Neurotyczność Izraela nie dziwi, podobnie jak u Polaków historia była traumą i miażdżyła dusze. Izrael na dodatek to kraj wygnańców, którzy tu zjechali z całego świata. Palestyńczycy też są wygnańcami, nic dziwnego, że te dwie nacje nie mogą się porozumieć. Obie uważają się za ofiary. Ofiara nie umie negocjować.

Nazajutrz taksówką na lotnisko. Kierowca zwierza się: „Mój ojciec podchodził z Rosji, gdybyśmy wiedzieli, że tak będzie, nie przyjechalibyśmy tu". Czyli kolejny taki głos. A przecież to nadal niezwykły kraj, ziemia święta i przeklęta.

Neurotyczność Izraela nie dziwi, podobnie jak u Polaków historia była traumą i miażdżyła dusze.

•

Polska wita chłodem i deszczem. Bardzo przyjemnie. Jeszcze nie czuję zapachu bagna politycznego, jeszcze nie widzę gąb pisowskich, a stan ugębienia tej partii jest doprawdy wysoki.

W kraju skończył się mozół układania list wyborczych. Widzę, że Tusk wziął Michała Kołodziejczaka i Agrounię na swoje listy. I dobrze. Ten chłopak ma jakiś rodzaj charyzmy. I będzie Giertych. Pisałem niegdyś o Giertychu straszne rzeczy. Ale ja łatwo wybaczam, bo wierzę, że człowiek potrafi się zmienić, czasami diametralnie. Za to na listach PiS jest Paweł Kukiz, zawsze uważałem go za idiotę, a za głupotę czasami płaci się wysoką cenę. Kukiz właśnie płaci. Miażdżony krytyką, z zatrzaśniętą twarzą pluje na swoich krytyków, prymityw. Na listach PiS jest także Robert Bąkiewicz, czołowy polski troglodyta, co za gęba! Wśród jego licznych antysemickich wypowiedzi były słowa: „PiS pełza przed Żydami". I oto Bąkiewicz pełza teraz przed Żydami razem z PiS. I jest na liście oszust Mejza, żeby nie było złudzeń, czym jest ta partia.

Na wiecu Trzeciej Drogi w Katowicach dobre wystąpienie Hołowni. Ma dar oratorski i porywa ludzi. Wołał: „Wy, zadowolone z siebie tłuste koty Kaczyńskiego, które myślicie, że Polaków da się kupić za parę stówek. Że jak będziecie dzień i noc kłamać, zmieni się definicja prawdy. Jesteście złodziejami, złodziejami naszych marzeń!". Ale jeśli Trzecia Droga nie wejdzie do parlamentu, co jej grozi, to będzie hańba dla Hołowni i Kosiniaka-Kamysza. A dla nas tragedia. Właściwie powinno się na nich głosować, żeby jednak weszli, ale jakoś nie mogę.

•

Jestem krytyczny wobec stosunku muzułmanów do kobiet, ale niedawna wypowiedź Morawieckiego to rasistowskie szczucie. Mówił, snując taką wizję: „Setki tysięcy nielegalnych emigrantów ściągniętych z Bliskiego Wschodu, z Afryki hula jak wiatr po Podhalu przez polską granicę, dziurawą jak ser szwajcarski w czasach Platformy Obywatelskiej". Ci młodzi muzułmańscy emigranci są „wykorzenieni ze swoich środowisk i przyzwyczajeni do przemocy wobec kobiet". Najadą nasz kraj i zgotują Polkom piekło, będą bić i gwałcić. Ale PiS ochroni Polki. Głosujcie na PiS. Morawiecki, żeby nie wybić komuś oka, musi codziennie przycinać sobie nos. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ba1a76a4c1

Rozmawia Kornel Wawrzyniak

Jak ugasić świat?

Wiemy już, że katastrofalne pożary są wynikiem zmian klimatycznych. Tylko z tej wiedzy nie korzystamy

DAWID IWANIEC
– absolwent Polskiej Szkoły Reportażu współpracujący m.in. z „Gazetą Wyborczą" i magazynem „Forbes". Z wykształcenia archeolog. Autor książki „Ogień wyszedł z lasu".

Opisujesz w książce największy pożar w historii Polski, który wybuchł w okolicach Kuźni Raciborskiej w 1992 r. Czy świat zdawał sobie już wtedy sprawę, że płonie?

– Na Zachodzie dyskusja o tym, że zmiany klimatu wpływają na skalę i liczbę pożarów lasów, już trwała. W Polsce jednak takich rozmów nie było. W prasie specjaliści z Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej uspokajali, że bywały już gorętsze lata. Tłumaczono, że ocieplenie jest naturalnym procesem i przyroda sobie z nim poradzi. Żartowano nawet, że zanim nas dotknie globalne ocieplenie, najpierw utonie Bangladesz.

Były za to artykuły o suszy.

– Owszem, ale dotyczyły przede wszystkim jej skutków: czy plony będą mniejsze i czy zwierzęta przeżyją, a w związku z tym czy żywność zdrożeje. Na początku lat 90. nie mówiono u nas o zmianach klimatycznych. Co ciekawe, prześledziłem też prasę z czasu po pożarze i również nie widać, aby ktoś wyciągnął wnioski dotyczące klimatu.

A czy przez 30 lat od tego zdarzenia wyciągnięto jakiekolwiek wnioski?

– Uważam, że z pożaru w Kuźni Raciborskiej wypłynęły dwie ważne lekcje. Po pierwsze, szybko wyciągnięto wniosek, że jesteśmy bezbronni, jeśli katastrofa na taką skalę się przytrafi, bo straż pożarna nie ma czym gasić, nie ma odpowiednich ubrań ani odpowiedniego sprzętu. Brakowało także doświadczenia i procedur. Przez pierwsze dwa, trzy dni tego pożaru panował spory chaos, a zaplecze akcji opierało się w dużej mierze na pospolitym ruszeniu mieszkańców. Po pożarze odrobiono tę lekcję bardzo dobrze, co można było zauważyć w działaniach służb już podczas powodzi tysiąclecia w 1997 r. A dzisiaj straż pożarna jest wzorem sprawności i doświadczenia. Nasi strażacy jeżdżą pomagać w różne zakątki świata.

A druga lekcja?

– Jak zapobiec takim katastrofom. Tutaj w grę wchodziła właśnie świadomość zmian klimatycznych. Zastanowienie się np. nad tym, czy nasze działania mogą nas uchronić przed kolejnymi suszami. Ale niestety nikt nie doszedł do wniosku, że susza nie zdarzyła się nagle. Uznano, że latem 1992 r. wystąpiło ekstremalne zjawisko, na które człowiek nic nie mógł poradzić. To było wygodne rozwiązanie, bo zdejmowało z nas odpowiedzialność. A to myśmy sobie tamtą suszę „wyhodowali" przez dziesiątki lat eksploatowania środowiska.

Dużą rolę w opanowaniu tego pożaru odegrały jednostki Ochotniczej Straży Pożarnej.

– Na Śląsku było i jest bardzo dużo remiz OSP. Oczywiście po pożarze padło pytanie, czy gdyby straż dojechała na miejsce wystarczająco szybko, to ogień udałoby się zdusić w zarodku. Tymczasem pierwsze trzy jednostki straży pożarnej, w tym dwie ochotnicze, pojawiły się niecałe 10 minut od zgłoszenia. Problemem jednak był nie czas reakcji, ale bardzo duża skala pożaru już na samym początku. Na dodatek płomienie, które pojawiły się na skraju lasu, zostały niemal wepchnięte w jego głąb przez silny wiatr. Przez pierwsze dwa-trzy dni z ogniem ramię w ramię walczyli strażacy zawodowi i ochotnicy. A na

FOT. MATEUSZ STANIEWSKI

eprasa.pl ba1a76a4c1

początku lat 90. OSP to naprawdę byli niedofinansowani ochotnicy. Często nie mieli nawet własnych mundurów, tylko kilka lub kilkanaście na całą remizę, więc gdy trzeba było jechać do pożaru, łapali, co popadło.

Na świecie jest ekstremalnie sucho. Z kolejnych krajów płyną doniesienia o pożarach. Czy ludzie sami podpalają świat swoimi nieprzemyślanymi działaniami?

– Czasami podpalają go celowo, czasami przez nieostrożność, a czasami nawet nie mają świadomości, że szykują sobie katastrofę. Tak właśnie było w 1992 r. na Śląsku. Eksploatacja środowiska odbywała się na wielką skalę i nikt nie myślał o jej ograniczeniu. Mam wrażenie, że choć dzisiaj wiemy o wiele więcej, nadal nie jesteśmy gotowi na wyrzeczenia, mimo że tak dużo o nich mówimy.

Nie jesteśmy w stanie poradzić sobie nawet z sensownym ograniczaniem ilości wytwarzanego plastiku.

– Właśnie. Świat czekałaby gigantyczna praca. I trudno sobie wyobrazić, żebyśmy byli skłonni zrezygnować ze wszystkich wygód. A wracając do tego, że od dawna palą się Kalifornia, Australia, Grecja – nas to chyba nie rusza, dopóki oglądamy to w telewizji. Tego lata było może trochę inaczej, bardziej namacalnie, bo na wakacje na Rodos wyjechało sporo Polaków. Przywieźli stamtąd dramatyczne relacje czy zamieszczali w sieci nagrania z tych wydarzeń. Ale obejrzeliśmy je z przerażeniem, a potem wróciliśmy do swoich zajęć.

Wystarczy zbieg kilku czynników, aby doszło do katastrofy.

– Katastrofa to zazwyczaj kumulacja wielu czynników. Jako główną przyczynę pożaru wskazywano niesprawne hamulce pociągu, który przejeżdżał obok lasu. Spod kół posypały się iskry i obrzeże lasu zapaliło się na długości kilkuset metrów. Do tego doszła susza, która sprawiła, że roślinność była wyschnięta na wiór. Jej zresztą nie powinno tam być, bo kolej powinna była zaorać ten obszar, właśnie aby nie wybuchł pożar. Na koniec doszedł wspomniany silny wiatr, wiejący w niesprzyjającym kierunku.

Czy ogień jest żywiołem, który można powstrzymać?

– Z pewnością. W czasie akcji w pewnych miejscach strażakom udawało się ogień zatrzymać, a ostatecznie pożar ugaszono. Wymagało to zaangażowania mnóstwa osób, oprócz strażaków z ponad 30 ówczesnych województw także żołnierzy, leśników i członków obrony cywilnej. Pomógł wreszcie deszcz, który spadł po kilku dniach. Ale walka z żywiołem była niesłychanie trudna. Ogień wielokrotnie przeskakiwał strażakom nad głowami, spadały na nich płonące kawałki sosen, których korony wręcz eksplodowały, gdy dochodziło do zapalenia się olejków eterycznych. To było śmiertelne zagrożenie.

Opisujesz pożar wręcz jak złowrogą postać o złośliwej osobowości. Stawianie czoła ogniowi to również walka psychologiczna w głowach strażaków.

– To sami strażacy opowiadali o ogniu w taki sposób. Pożar był w ich relacjach negatywnym bohaterem, miał zdradliwą naturę. Niektórzy patrzyli na niego jak na bestię, która wymaga poskromienia. Strażacy zresztą często mówią o walce z ogniem, a nie o jego gaszeniu.

Trochę jak na wojnie.

– I takiej wojennej terminologii używają: front ognia, odcinek bojowy, skrzydło, sztab dowodzenia. Jest to więc swoiste pole bitwy.

Oddajesz bardzo dokładnie klimat lata 1992 r. Pokazujesz też techniczną stronę pracy strażaków.

– Starałem się przeanalizować od każdej strony, jak wyglądała ta katastrofa. Podstawą były rozmowy z osobami, które ten pożar pamiętają. Rozmawiałem z ponad setką ludzi: strażakami, leśnikami czy mieszkańcami. Choć upłynęło sporo czasu, ich wspomnienia są bardzo żywe i dokładne. Niestety, część ważnych dla tej akcji osób już nie żyje, np. komendant główny Feliks Dela. Ich spojrzenie na pewno wniosłoby jeszcze więcej do tej opowieści. Były oczywiście osoby, które w ogóle nie chciały rozmawiać, najczęściej ci, którzy widzieli ten ogień z bliska. Część jeszcze dzisiaj nerwowo reaguje na dźwięk syreny strażackiej. Druga rzecz to praca z archiwami. Powstała masa opracowań, analiz i raportów. Zachowała się także szczegółowa dokumentacja akcji wraz z odręcznymi notatkami ze sztabu. Ogromnym źródłem wiedzy były media oraz proces, w którym poszkodowane w pożarze nadleśnictwa sądziły się z koleją. Ostatecznie nie otrzymały od niej odszkodowania, bo sąd uznał, że nikt sypiących się spod kół pociągu iskier nie widział, więc nie da się przypisać jednoznacznie winy kolejarzom. Zaniedbania w utrzymaniu pasa przeciwpożarowego wzdłuż torów też nie udało się udowodnić, bo sierpień 1992 r. znalazł się w swoistej luce prawnej w tym zakresie. Tak złożyłem obraz tego pożaru w całość.

> Im więcej mówimy o zmianach klimatycznych, tym więcej osób zaciekle twierdzi, że ich nie ma.

Czego nam dziś brakuje w kwestii ochrony przed kolejnymi gigantycznymi pożarami?

– 30 lat temu Polska z pewnością była do tyłu wobec Zachodu pod względem świadomości i wiedzy na temat zmian klimatu. Ochrona środowiska nie była najważniejszym tematem dla władz. Natomiast po wstąpieniu do Unii Europejskiej mogłoby się wydawać, że zaczęliśmy gonić Zachód również w takich kwestiach jak ta. Niestety, odnoszę wrażenie, że im więcej mówimy o zmianach klimatycznych, tym więcej osób zaciekle twierdzi, że ich nie ma. Myślę więc, że społecznie nadal brakuje nam świadomości. Na świecie będzie zaś coraz więcej katastrof – sytuacji, w których np. gwałtowne oberwanie chmury spustoszy całą miejscowość. Gdy zaś zsumujemy wszystkie takie wydarzenia, to ogromna katastrofa dzieje się na całym świecie bez przerwy.

Czy możemy jeszcze coś zrobić?

– Moim zdaniem wszystko już wiemy. Mamy te odpowiedzi od lat dzięki naukowcom, którzy przestrzegają nas przed zagrożeniem. Wystarczy trochę chęci, aby sięgnąć po wiedzę, którą mamy pod ręką.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ba1a76a4c1

Volkswagen dla Hitlera

Ferdinand Porsche i Anton Piëch tuszowali wszelkie związki z żydowskim współzałożycielem swojej firmy

David de Jong

Pod koniec czerwca 1934 r. Ferdinand Porsche podpisał umowę ze sceptycznym, niechętnym mu Stowarzyszeniem Niemieckiego Przemysłu Motoryzacyjnego w Rzeszy na opracowanie projektu volkswagena. Organizacja producentów samochodów wzięła na siebie odpowiedzialność za ów projekt, ale jej członkowie byli przerażeni faktem, że do stworzenia pierwszego auta dla mas Hitler wybrał tego nieprzewidywalnego projektanta Porschego. Rzecz jasna dyrektorzy firm nie śmieli podważać woli Führera, choć nie wierzyli, by Porsche mógł w ciągu paru miesięcy opracować niewielki samochód, który kosztowałby zaledwie 1000 marek. (…) Ustalono, że pierwszy prototyp ma być ukończony w ciągu 10 miesięcy. Był to herkulesowy wysiłek. Ostatecznie prace zajęły Porschemu dwa lata i kosztowały 1,75 mln marek, trzy wersje testowe oraz nieustanne polityczne zabiegi u Hitlera. Tak narodził się prototyp volkswagena.

W międzyczasie sam konstruktor oraz jego zięć, Anton Piëch, zacieśniali rodzinną kontrolę nad biurem projektowym w Stuttgarcie. 5 września 1935 r., 10 dni przed wprowadzeniem ustaw norymberskich, współzałożyciel marki Adolf Rosenberger został aresztowany przez Gestapo w swoim rodzinnym mieście nieopodal Stuttgartu pod zarzutem „zhańbienia rasy". Jego „zbrodnia" polegała na intymnych stosunkach z nie-Żydówką. Osadzono go w areszcie tymczasowym w Karlsruhe. (…)

Pięć tygodni wcześniej, 30 lipca 1935 r., Rosenberger przekazał swoje 10% udziałów w firmie projektowej 25-letniemu synowi Porschego, Ferry'emu. (…) Tamtego roku dochody spółki sięgnęły 170 tys. marek. Dlatego Porsche i Piëch zaczęli nabywać akcje od dwóch udziałowców niebędących członkami rodziny: Adolfa Rosenbergera oraz barona Hansa von Veyder-Malberga. Żydowskiego współzałożyciela spółki wykupili za ułamek wartości jego akcji, a mówiąc precyzyjniej, Rosenberger pozbył się swoich udziałów za tę samą cenę nominalną, jaką zapłacił za pakiet założycielski w firmie Porsche w 1930 r. – czyli zaledwie 3 tys. marek. Mimo jego wielkich zasług dla przedsiębiorstwa kwota ta dalece odbiegała od prawdziwej wartości akcji Rosenbergera. „Wbijano mi do głowy, że firma nie otrzyma certyfikatu spółki wolnej od Żydów, dopóki będę jej udziałowcem […]. W żadnym razie nie oskarżam panów Porschego ani Piëcha o osobisty antysemityzm – utrzymywał po latach Rosenberger. – Ale fakt […] mojego żydostwa wykorzystali do tego, by się mnie tanio pozbyć".

Porsche i Piëch zaprzeczyli oskarżeniom, bez względu jednak na motywację przejęcie przez tę dwójkę udziałów Rosenbergera stanowiło niewątpliwy krok ku „aryzacji" firmy. (…) Ze względu na przywiązanie nazistowskich Niemiec do normalnych procedur prawnych proces ten przybierał często pozory zwykłych transakcji biznesowych – dopiero z czasem tego rodzaju subtelności zarzucono.

23 września 1935 r., po spędzeniu blisko trzech tygodni w gestapowskim więzieniu, Rosenberger został przeniesiony do Kislau, obozu koncentracyjnego na południe od Heidelbergu. Bito go tam przez cztery dni, po czym nagle zwolniono. (…) Ferdinand Porsche i Anton Piëch nie kiwnęli palcem, aby uwolnić współzałożyciela swojego przedsiębiorstwa, choć później twierdzili coś przeciwnego. (…)

Miesiąc później Rosenberger wyjechał z Niemiec, a w listopadzie 1935 r. przeprowadził się do Paryża. Po odejściu ze stanowiska dyrektora handlowego w firmie Porsche (na początku 1933 r.) dalej pracował w tej firmie jako specjalista kontraktowy. (…) Za każdą podpisaną umowę ważną do 1940 r. Rosenberger miał prawo do prowizji w wysokości 30% wartości sprzedaży – a przynajmniej tak mu się zdawało. Porsche i Piëch jeszcze nie skończyli z poniżaniem prześladowanego człowieka, który współzakładał ich firmę, chwilowo jednak musieli poskromić swoje okrucieństwo. Najpierw należało przedstawić Führerowi długo oczekiwane arcydzieło: volkswagena.

W pewne piekielnie gorące popołudnie na początku lipca 1936 r. Porsche zaprezentował Hitlerowi, Göringowi oraz ich świcie dwa samochody testowe. Miało to miejsce w górskiej samotni w bawarskim Obersalzbergu. (…) Po prezentacji dzieł Porschego Hitler oprowadził konstruktora po Orlim Gnieździe, a także po specjalnie budowanej herbaciarni z widokiem na ciche miasteczko Berchtesgaden. Już postanowił, że największa w Europie fabryka samochodów stanie

Hitler postanowił, że największa w Europie fabryka samochodów stanie w środkowych Niemczech, wyłącznie dla volkswagena.

eprasa.pl ba1a76a4c1

Ferdinand Porsche pokazuje Adolfowi Hitlerowi model volkswagena, 1935 r.

w środkowych Niemczech, wyłącznie dla volkswagena.

•

26 maja 1938 r. Hitler stał na podium pośrodku leśnej polany, warczał w stronę publiczności: „Nie cierpię słowa niemożliwe!". Za chwilę miał położyć kamień węgielny pod budowę fabryki Volkswagena. Plac znajdował się w geograficznym centrum nazistowskich Niemiec, w gminie Fallersleben niedaleko majątku Wolfsburg (...). Rok wcześniej Hitler zwolnił przemysł samochodowy z odpowiedzialności za budowę największych w Europie zakładów motoryzacyjnych i obarczył nią Niemiecki Front Pracy (DAF), organizację nazistowską, która zastąpiła związki zawodowe. (...)

Rankiem w dniu ceremonii specjalnie zarezerwowanymi pociągami przywieziono na wieś tysiące ludzi. Stali wzdłuż drogi na plac budowy, gdzie Hitler zjawił się w kabriolecie pośród dźwięku trąb oraz okrzyków *Sieg heil!* (...) Pod koniec trwającej godzinę uroczystości, transmitowanej na żywo przez ogólnokrajowe radio, Hitler złożył zaskakujące oświadczenie: nowy samochód nie będzie się nazywał volkswagen, ale Kraft durch Freude-Wagen (auto „Siła przez radość"), na cześć organizacji turystycznej wchodzącej w skład DAF. Ferdinand Porsche słuchał tego z przerażeniem. Nowa nazwa była nie tylko niepraktyczna, lecz także bardzo daleka od tej, której pragnął: brzmiącej identycznie jak jego własne nazwisko. (...)

Po ceremonii 28-letni syn Ferdinanda, Ferry, ktory prowadził kabriolet, odwiózł Hitlera do prywatnego pociągu. Senior rodu, rozczarowany, siedział na tylnej kanapie. (...)

Ponieważ ojciec Ferry'ego objął stanowisko dyrektora w fabryce Volkswagena, on sam mógł teraz przejąć kontrolę nad stuttgarckim biurem projektowym. Firma Porsche znajdowała się w apogeum ekspansji, jej działalność miała być finansowana przez miliony marek pochodzące z Niemieckiego Frontu Pracy. Miesiąc po opisanej uroczystości siedzibę spółki przeniesiono z Kronenstrasse w centrum Stuttgartu na wielką parcelę w dzielnicy Zuffenhausen; wcześniej wzniesiono tam zakłady produkcyjne, w których można było również projektować samochody.

Ziemię tę – do dziś znajduje się tam centrala firmy – przejęto jeszcze wiosną od żydowskiej rodziny Wolfow po cenie niższej od rynkowej. Jeśli chodzi o Porschego, był to ruch typowy. Ale istniała jeszcze inna sprawa, którą należało się zająć bezzwłocznie, mianowicie kwestia żydowskiego współzałożyciela spółki, którego udziały otrzymał Ferry Porsche.

Na początku czerwca 1938 r. Adolf Rosenberger dostał ze Stuttgartu list adresowany na jego paryskie mieszkanie. (...) Baron Hans von Veyder-Malberg informował poprzednika, że firma Porsche nie może już wywiązywać się z zawartej wcześniej umowy licencyjnej ze względu na polecenie „wyższych władz". Człowiek, który uwolnił Rosenbergera z obozu koncentracyjnego, zrywał z nim wszelkie kontakty zawodowe i osobiste z powodu „pogorszenia się sytuacji wewnętrznej". List nosił datę 2 czerwca, sporządzono go więc tydzień po tym, jak Hitler wkopał kamień węgielny pod budowę fabryki Volkswagena. Ferdinand Porsche i Anton Piëch tuszowali wszelkie związki z żydowskim współzałożycielem swojej firmy.

23 lipca 1938 r. Rosenberger napisał do Piëcha, słynnego z bezwzględności radcy prawnego spółki, sugerując dwa sposoby polubownego rozstania: przelew 12 tys. dol. na nowy start w Stanach Zjednoczonych bądź przekazanie mu licencji patentowej Porschego w Ameryce (...).

Anton Piëch zimno odrzucił tę propozycję.

•

9 maja 1944 r. Ferdinand Porsche, jego córka Louise oraz syn Ferry – wraz z rodzinami i większością pracowników firmy – uciekli do bezpiecznej Austrii. Musieli opuścić Stuttgart, ponieważ miasto nękały ciągłe naloty sił alianckich, a przedsiębiorstwo Porschego stało się jednym z celów. Tuż obok rodzinnej willi fabrykanta, położonej wysoko na wzgórzu ponad Stuttgartem, w domu po jego dawnych żydowskich sąsiadach zainstalowano baterię przeciwlotniczą. Posterunek ten naraził projektanta samochodów i jego rodzinę na dodatkowe niebezpieczeństwo. (...)

Pozostałą część wojny klan Porsche–Piëchów przeczekał w Austrii, kursując między posiadłością Schuttgut, którą Ferdinand Porsche zakupił w Zell am See, a idyllicznym górskim miasteczkiem Gmund, gdzie Ferry zaczął opracowywać pierwszy wóz sportowy. Do samego końca,

FOT. AKG/EAST NEWS

eprasa.pl ba1a76a4c1

czyli do wyjazdu z Niemiec, skupiał się na prowadzeniu biura projektowego w Stuttgarcie. Latem 1942 r. w pobliżu nowej fabryki samochodów Porschego zbudowano obóz pracy; jedna jego część służyła do przetrzymywania robotników przymusowych, przeznaczonych wyłącznie do harówki w tym rodzinnym przedsiębiorstwie. Zresztą wykorzystywano ich również do celów prywatnych: w marcu 1943 r. Ferry wraz z żoną Dodo wzięli sobie jako pokojówkę pewną „uroczą" 16-letnią Ukrainkę. „Jeśli jest tak pracowita, jak piękna, to Ferry będzie zadowolony", napisał jeden z krewnych Porschego do Louise Piëch.

Po wywiezieniu Louise i dzieci do bezpiecznej Austrii Anton Piëch kontynuował rządy terroru w kompleksie fabrycznym Volkswagena w Fallersleben. W połowie maja 1944 r. jeden z tamtejszych inżynierów udał się do Auschwitz, gdzie wybrał 300 węgierskich metalowców pochodzenia żydowskiego. Przez dość krótki okres wykorzystywano ich w zakładach Volkswagena do produkcji rakiet V-1, jednej z nazistowskich „cudownych broni", po czym deportowano do kopalni rudy żelaza w kontrolowanej przez Niemców Lotaryngii, aby przekształcili ją w podziemną fabrykę uzbrojenia. Połączyli się tam z inną grupą, liczącą 500 żydowskich więźniów, również wyselekcjonowanych w Auschwitz przez firmę Volkswagen.

31 maja 1944 r. ok. 800 osadzonych w obozie koncentracyjnym Neuengamme zwieziono w jedno miejsce; ich zadaniem było dokończenie budowy obozu na południowy zachód od kompleksu Volkswagena, w którym mieli zamieszkać robotnicy przymusowi. Pierwszym komendantem tzw. Laagbergu został sierżant SS Johannes Pump. Na początku maja ten sadystyczny esesman został skierowany 90 km na wschód z podobozu Neuengamme (na terenie zakładów AFA Gunthera Quandta w Hanowerze) do jednej z fabryk Volkswagena, którą zarządzał Piëch. W ten sposób w obu placówkach zapewniono stałe rządy oparte na przemocy i brutalności.

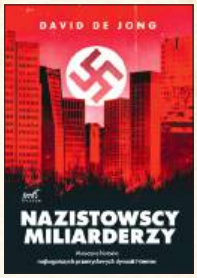

Fragmenty książki Davida de Jonga *Nazistowscy miliarderzy*, tłum. Przemysław Hejmej, Sonia Draga, Katowice 2023

KSIĄŻKI

Antoni Kroh
Anioł śmierci z kilku stron
Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2023

Czy o przemijaniu i śmierci można mówić bez patosu, a nawet żartobliwie? Antoni Kroh, korzystając ze swojej imponującej wiedzy etnograficznej i pasji bibliofilskiej, proponuje takie właśnie spojrzenie. Bogaty zbiór cytatów literackich i opisów związanych z ceremoniałem pogrzebowym oraz formami utrwalania pamięci o tych, którzy odeszli, znakomicie ilustruje istniejące od wieków sposoby akceptacji i zrozumienia tego zjawiska.

Sławomir Leśniewski
Powstanie 1830–1831 Utracone zwycięstwo?
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023

Najczęściej używamy nazwy „powstanie listopadowe". Jednak z chwilą, kiedy Sejm 25 stycznia 1831 r. zdetronizował cara Mikołaja I, Królestwo Polskie formalnie stało się krajem niezależnym od Rosji. Tym samym powstanie przekształciło się w wojnę dwóch państw. Czy Polska mogła wygrać to starcie z Rosją? Jaki był faktyczny polski potencjał militarny w 1830 r.? Czy powstanie mogło wcale nie wybuchnąć? I dlaczego się nie udało?

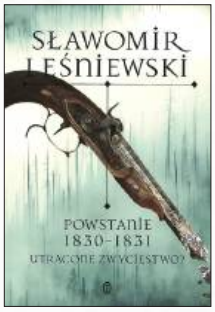

Alexander Mikaberidze
Wojny napoleońskie Historia globalna, t. 2
Rebis, Poznań 2023

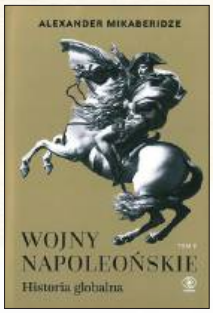

Wojny, które zaczęły się w czasie rewolucji francuskiej i trwały do klęski Napoleona w 1815 r., początkowo toczone we własnej obronie, pod wpływem Bonapartego stały się narzędziem budowy globalnego imperium. Równolegle z walkami w Europie mocarstwa rywalizowały o hegemonię w obu Amerykach, Afryce, Azji i na Bliskim Wschodzie. W okresie między reformacją a wybuchem I wojny światowej to właśnie te wojny najbardziej odmieniły świat, ich skutki zaś są widoczne do dzisiaj.

Jacek Tacik
Jak nie lubić Żyda?
Post Factum, Katowice 2023

Reporterska podróż po Polsce i Izraelu, w którą niemal 20 lat temu ruszył Jacek Tacik. Spotkał na swojej drodze ludzi, którzy poświęcili życie, próbując odbudować polsko-żydowskie relacje: polityków, społeczników, historyków i tych, którzy przeszli przez piekło obozów koncentracyjnych. Znaleźli się też tacy, po obu stronach barykady, dla których podsycanie konfliktu miało się okazać politycznym zwycięstwem. Autor dotyka niekiedy bolesnych spraw, ujawnia kontrowersyjne postawy Kościoła katolickiego wobec przejawów antysemityzmu, zachowując dziennikarski obiektywizm.

eprasa.pl ba1a76a4c1

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Baśniarz i pieśniarz

Zaczynało się od wierszy, po ćwierćwieczu przerwy ogłosiło jeszcze jeden, w międzyczasie nabroiło się, narobiło rozmaitych bigosów literackich i nie tylko, tymczasem wyszukiwarki internetowe twardo przypisują mi wizytówkę „polski poeta". Nie żebym się zżymał; mnie to rozrzewnia, a nawet obliguje do czynów lirycznych, albowiem wedle niejednego z klasyków poetą się jest, nie trzeba do tego pisać wierszy. Najwyraźniej jeśli choć raz wpadło się w objęcia mowy wiązanej, zawsze już myśli się poezją; coś w tym jest – cokolwiek w życiu napisałem po poetyckich pierwocinach, czułem się gościem na tymczasowych występach, co więcej, czułem drugorzędność wszystkiego, co nie jest wierszem, a skoro poetycko zaniemówiłem, wszelkie umowne sukcesy przyjmowałem w niepocieszeniu. Niech zatem będzie, niech będę poetą, niech to tłumaczy wszelkie dziwactwa moje, przeciągnięcia spojrzeń i niedociągnięcia wypowiedzi, a także nieustający dyskomfort istnienia.

Ale, ale, kiedy tak sobie drepczę wzdłuż granic pobliskich – a nie są to rubieże języka, wokół których zapewne nowoczesny poeta winien się kręcić, lecz grzbiety południowe, ścieżki wyznaczone słupkami z inicjałami państw – bywa, że jestem poetą tylko jedną nogą, drugą zaś basnikiem. A kiedy kałużę rozlaną na szlaku ominąć wygodniej od słowackiej lub czeskiej strony, basnikiem jestem już w całości i pięknie mi się brzmi w ten sposób, od razu chce się bajać, baśnie opowiadać, z mchu i paproci dobywać historyjki o skarbach zbójeckich, nadprzyrodzonych namiętnościach, dziwożonach i płanetnikach. *Basnik* słyszy mi się jako baśniarz, gość z nawijką, wokół którego zawsze chętnie się zgromadzą słuchacze, taki, co to pod celą ubarwia współosadzonym morze czasu do zabicia, ktoś w rodzaju afrykańskiego griota – zawodowy opowiadacz, trochę gawędziarz, trochę bard, no, w każdym razie postać mająca posłuch, w przeciwieństwie do większości poetów, którzy gadają głównie do siebie, a potem narzekają na niskie nakłady i wąskie zasięgi. Pozycja społeczna baśniarzy jest niezmiennie wysoka – to ludzie, którzy zniewalają opowieścią, tak jak poeci chcieliby hipnotyzować słowem.

Tymczasem etos poety u nas już nieco przywiądł – w ojczyźnie wieszczami stojącej poeta jest raczej marudą lub też pytią, poezja pisana zdaje się być raczej bełkotem neurotyków. Od kiedy Marek Piwowski obsadził w roli rejsowego poety Leszka Kowalewskiego, na hasło „poeta" wyświetla się raczej rozmamrotany pokurcz z potężną krótkowzrocznością, a i wcześniej lepiej nie było, skoro naszych romantyków albo prątek Kocha(ł), albo umierali z głodu w przytułkach. Skądinąd furorę w sieci robią właśnie uwspółcześnione przez AI wizerunki naszych klasyków – Norwid prosto od barbera wygląda niczym Oscar Isaac, hot Mickiewicz w modnych oksach i z tajemnym tatuażem na klacie przycupnął do selfiaka na trawniku, młoda Konopnicka też jest sexy jako aktywistka na marszu i tylko Słowackiemu nawet sztuczna inteligencja nie zdołała zdjąć z twarzy hymnu o zachodzie słońca – smutno się lampi w obiektyw.

Pozycja społeczna baśniarzy jest niezmiennie wysoka – to ludzie, którzy zniewalają opowieścią, tak jak poeci chcieliby hipnotyzować słowem.

Tymczasem wylądowałem w Lublanie, gdzie nie jestem poetą, lecz pieśniarzem, albowiem po słoweńsku to *pesnik* pisze wiersze, co brzmi jeszcze lepiej niż *basnik,* od razu wszystko we mnie śpiewa, ach, polski pieśniarz przyleciał na festiwal do Vilenicy, ho, ho, panie i panowie, szykujcie estradę. Jednak się z tym nie obnoszę, albowiem napotkany na lotnisku przez innego pesnika Slavoj Žižek, oburzony, że ten zakłócił mu konsumpcję lodów, zamiast się przywitać, zadudnił Platonem na cały terminal: „Poetów należy wygnać z państwa!". Jestem zatem pieśniarzem milczącym, jako i poetą niepiszącym, a nawet baśniarzem bez audytorium, tym bardziej więc nie mogę się nadziwić, że mnie jeszcze gdzieś zapraszają, abym sobie pobył literatem i udzielał odpowiedzi z pozycji niejakiego autorytetu. Być może zawdzięczam to faktowi, że festiwalowe prezentacje odbywają się we wnętrzu najstarszej jaskini turystycznej w Europie, a w moim biogramie wykryto niecodzienną koincydencję speleologiczno-literacką; dopierom co wylądował, jak się dowiem, to wam opowiem. A teraz jadę na Carso, aby przy kawie pobloomać na triesteńskim bruku, tak to chyba powinno się powiedzieć po joyce'owsku. Bo w poezji chodzi także o języków pomieszanie, jak sądzę.

■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ba1a76a4c1

Dziś prawdziwych tragarzy już nie ma

Poza pewnymi wyjątkami zawody będą raczej się zmieniać, niż zupełnie znikać

Rozmawia Michał Sobczyk

Świat zmienia się tak dynamicznie, że musisz być gotowy przekwalifikować się nawet kilka razy – napominają w mediach rozmaici eksperci.

– I mogą mieć rację, bo coraz więcej biografii zawodowych będzie tak wyglądać. Nie zdają sobie jednak sprawy z wagi tego, o czym mówią. Łatwo powiedzieć, że jesteśmy skazani na częste zmiany zajęcia, zwłaszcza gdy jest się całe życie zatrudnionym w jednej uczelni bądź organizacji pracodawców. Tymczasem przejście do zupełnie nowej branży jest niezwykle trudne i stresujące, wręcz traumatyzujące, w związku z tym nie do udźwignięcia dla dużej części społeczeństwa. Przeważnie bowiem oznacza zaczynanie od zera: bez kompetencji i doświadczenia, z najniższym możliwym wynagrodzeniem. Nic dziwnego, że ludzie na dekady utykają w miejscach, w których panuje mobbing czy wyzysk.

Przemiany cywilizacyjne, m.in. związane z nowymi technologiami, mogą sprawić, że całe grupy zawodowe wylądują w ślepych zaułkach, gdyż nie będą mogły kontynuować dotychczasowej aktywności ani jej zamienić na podobną. Ogromnym wyzwaniem dla państwa i dla otoczenia społecznego takich osób będzie ośmielenie ich do wybrania innych zawodów, a następnie wspieranie na początku nowej drogi.

Czas pogodzić się z tym, że niczym Czerwona Królowa z „Po drugiej stronie lustra" będziemy musieli biec ile sił, żeby zostać w tym samym miejscu?

– Panuje przekonanie, że wszystko bardzo przyśpiesza, jednak to, że mamy coraz bardziej zaawansowane telefony, telewizory i samochody nie musi oznaczać, że równie szybko zmienia się rynek pracy. Jeden z jego najbardziej uznanych badaczy, David Autor, oszacował, że w Stanach Zjednoczonych aż 60% pracowników wykonuje zajęcia, które w 1940 r. nie istniały i nie miały nawet nazwy. Można zatem powiedzieć, że w krajach rozwiniętych – do których Polska się zalicza – ponad połowa rynku pracy powstała w ciągu ostatnich 80 lat. Mimo to większość znanych mi ekspertów odrzuca wizję pędzącego „zawodotwórstwa" i towarzyszącej mu masowej anihilacji dotychczas istniejących profesji. Dominuje przekonanie, że poza pewnymi wyjątkami zawody będą raczej się zmieniać, niż zupełnie znikać.

Nowe narzędzia przekształcą sposoby ich wykonywania, a więc także listy niezbędnych kompetencji.

– Dobrym przykładem jest praca sprzedawcy. Kiedyś mogłeś nim być całe życie i nigdy nie dotknąć komputera. Dziś do handlowania czymkolwiek niezbędne jest sprawne prowadzenie tabelek w Excelu, chyba że jesteś dealerem marki Lamborghini, bazującym na czarującym uśmiechu. To samo dotyczy bardzo wielu stanowisk w logistyce czy administracji, ale fundamentalne zmiany mają miejsce nawet w budowlance.

Ostatnio na moim zwyczajnym osiedlu mam okazję podglądać przez okno, jak wyglądają prace drogowe i budowlane. Materiał pod nawierzchnię osiedlowej drogi nie był ubijany urządzeniami wibracyjnymi przypominającymi młoty pneumatyczne. To zadanie wykonał robot wielkości dużego kredensu sterowany przez człowieka z pilotem. Jak już droga powstała, wykaszaniem chaszczy pod budowę rzędu nowych domów zajął się operator kolejnego robota. To jeden z kierunków zmian na rynku pracy: nowe narzędzia będą

eprasa.pl ba1a76a4c1

pozwalały lepiej wykorzystywać czas zatrudnionych. Nie ma już tragarzy, bo nie ma sensu, by jedynym zadaniem pracownika było dźwiganie ciężarów. Za to potrzebną na rynku umiejętnością jest obsługa wózka widłowego, suwnicy i coraz bogatszej gamy innych maszyn, urządzeń oraz właśnie robotów.

Jakie kompetencje powinny być w cenie nawet za 20 lat, niezależnie od wszelkich zmian cywilizacyjnych?

– Namysł nad tym zagadnieniem trwa już od dawna i odbywa się z wykorzystaniem bardzo różnych metodologii. Jedną z moich ulubionych analiz jest „The Future of Employment: How susceptible are jobs to computerisation?" (Przyszłość zatrudnienia: Na ile podatne na komputeryzację są miejsca pracy?). Carl Benedikt Frey i Michael Osborne z Uniwersytetu Oksfordzkiego postanowili sprawdzić, jaka w świetle aktualnych wyobrażeń na temat potencjału nowoczesnych technologii jest granica automatyzacji i robotyzacji pracy oraz jej przejmowania przez sztuczną inteligencję. Wzięli pod lupę przeszło 700 zawodów i wyszło im, że w trzech sferach maszynom będzie trudno zastąpić człowieka. Są to: inteligencja kreatywna wraz z twórczością artystyczną, inteligencja społeczna oraz wybrane czynności manualne, manipulacyjne i związane ze zmysłami zapachu i smaku.

Przedstawiciele których fachów mogą zatem spać spokojnie?

– Bastionem ludzkości pozostaną usługi opiekuńcze, bazujące na sprawności komunikacyjnej. Bez niej trudno także o skuteczne negocjacje handlowe czy dobrą obsługę klienta, w których bardzo ważna jest znajomość kontekstu kulturowego i niuansów językowych. Algorytmy są w stanie ją imitować, ale czasami jeden detal może przesądzić o porażce.

Prawdopodobnie co najmniej przez pokolenie nie będzie też maszyn, które mogłyby wyprzeć szefów kuchni. Roboty kuchenne zyskają dodatkowe funkcje, dzięki którym będą coraz bardziej samodzielne w przygotowywaniu posiłków zgodnie z konkretnymi przepisami, ale nadal nie wiemy, jak zrobić elektroniczną wersję kubków smakowych. Urządzenia potrafią mierzyć pH oraz skład chemiczny potraw i napojów, ale będą miały problem z odpowiedzią na pytanie, czy dane wino jest bardziej wytrawne czy słodkie. Maszyna potrafi już zrobić przyzwoity omlet, ale raczej nie mamy co liczyć na omlet spektakularnie pyszny.

Czy ludzie pozostaną niezastąpieni w jakichkolwiek obszarach medycyny?

– Sztuczna inteligencja może pomagać w diagnostyce, np. oglądać niezliczone obrazy ultrasonograficzne i sygnalizować lekarzowi: tu jest coś dziwnego, warto się temu przyjrzeć. Bez porównania trudniejsze jest jednak opracowanie robotów, którym można by przyznać autonomię w wykonywaniu poważnych zabiegów. Na podstawie oporu stawianego przez tkankę, którą przecina, doświadczony neurochirurg jest w stanie w odpowiednim momencie zatrzymać skalpel i nie zrobić pacjentowi krzywdy. Nauczenie tego maszyny na razie wykracza poza możliwości istniejących technologii.

Kompetencjom przyszłości poświęcona jest cykliczna publikacja Światowego Forum Ekonomicznego.

– Na potrzeby najnowszej edycji badania „The Future of Jobs Report" (Raport o przyszłości miejsc pracy) zapytano tysiące pracodawców z kilkudziesięciu krajów m.in. o to, jakie umiejętności pracowników będą zyskiwały na znaczeniu w latach 2023-2027. Najwięcej wskazań uzyskały: kreatywność, myślenie analityczne, ogólne umiejętności techniczne, ciekawość świata i zdolność uczenia się przez całe życie, odporność psychiczna i elastyczność, myślenie systemowe (czyli zauważanie wzorców i kontekstów), kwalifikacje z zakresu sztucznej inteligencji i *big data*, motywowanie się i samoświadomość (a więc robienie swojej roboty bez nadzorcy, który nad nami stoi), zarządzanie talentami (tj. wykorzystywanie silnych stron podwładnych oraz takie organizowanie pracy, by nie narażali zespołu swoimi słabościami) i wreszcie orientacja na klienta i profesjonalizm w jego obsłudze.

Co wybrali polscy przedsiębiorcy?

– Ich lista była trochę inna. Na pierwszym miejscu oczywiście znalazły się kompetencje związane ze sztuczną inteligencją i *big data*, bo podążamy za modami jak mało kto, na drugim myślenie analityczne, a na trzecim wiedza z zakresu *user experience*, czyli projektowania doświadczeń użytkownika, co pokazuje, że w próbie badawczej nadreprezentowane były firmy z branży IT. Kolejne pozycje zajęły: umiejętność przewodzenia i oddziaływania na innych, odpowiednie podejście do klienta, twórcze myślenie, wyobraźnia i wiedza z zakresu ochrony środowiska, właściwe ocenianie efektów własnej i cudzej pracy, zarządzanie zasobami i sprawność organizacyjna oraz ogólne umiejętności techniczne. Jak widać, jest trochę podobieństw, ale i parę różnic, wynikających również z tego, jak chcieli się zaprezentować pracodawcy siadający do wypełniania ankiety.

Wykonywanie zajęcia, które się kocha, jest przywilejem, który nie będzie dany większości ludzi, czasem przez całe życie.

Łukasz Komuda – analityk rynku pracy i popularyzator nauk społecznych. Członek zespołu Fundacji Inicjatyw Społeczno-Ekonomicznych, współautor podcastu „Ekonomia i cała reszta", współpracownik m.in. Fundacji Orange, wspierającej dzieci i młodzież w nabywaniu kompetencji przyszłości, oraz Fundacji Aktywizacja, pomagającej osobom z niepełnosprawnościami w poszukiwaniu zatrudnienia i pracodawcom w zapełnieniu wakatów. Współautor gry fabularnej „Idée Fixe", wyobrażającej rzeczywistość polityczną i gospodarczą ok. 2045 r.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl ba1a76a4c1

Jakie ogólne strategie zwiększą szanse, że poradzimy sobie w pracy zarówno za parę, jak i kilkanaście lat?

– To zależy m.in. od tego, czy mówimy o ludziach debiutujących na rynku pracy, czy o 40- lub 50-latkach. Jeśli chodzi o młodych, to w Polsce zbyt wielu, bo ponad 40%, kończy studia. Nie ma na świecie gospodarki, która byłaby w stanie sensownie wykorzystać tyle osób z wyższym wykształceniem. Sytuacja jest niedorzeczna, zwłaszcza w kontekście ogromnych braków kadrowych w wielu branżach, w których niepotrzebny jest dyplom uniwersytetu ani politechniki. Marnowane są zasoby państwa oraz młodzieży, która mogłaby trzy albo pięć lat wcześniej zacząć budować swoją karierę i – co tu kryć – zdolność kredytową.

Mam nadzieję, że zmieni się u nas stosunek do zawodów związanych z budownictwem, uprawą ziemi, naprawą urządzeń, pracą opiekuńczą, prowadzeniem pojazdów, utrzymywaniem czystości itd. Bo to, że świat się kręci, zawdzięczamy zarówno pracującym głową, jak i tym, którzy pracują rękami, nierzadko pod gołym niebem. Za naszego życia niemożliwe będzie społeczeństwo, w którym wszyscy siedzą przy komputerach. Choć wielu ekspertów rozprawiających o tym, jak dobrze się przyjmuje praca w *home office*, zdaje się tego nie zauważać.

Jak rozumiem, pierwsza rada jest adresowana do licealistów i brzmi: dobrze się zastanów, czy naprawdę musisz zostać magistrem.

– Każdemu sugeruję, żeby jak najszybciej zaczął być aktywny i żeby próbował bardzo różnych rzeczy. Pracy fizycznej i umysłowej, na świeżym powietrzu i przy komputerze, z urządzeniami i z klientami. Im więcej doświadczeń zbierzemy, tym szybciej odkryjemy, czego nienawidzimy. A wiedza o tym, czego nie chcemy robić, ma fundamentalne znaczenie. Wykonywanie zajęcia, które się kocha czy choćby tylko lubi, jest przywilejem, który nie będzie dany większości ludzi, dlatego dobrze dojść przynajmniej do punktu, w którym chodzi się do roboty bez zgrzytania zębami.

Rada numer dwa?

– Jeżeli masz możliwość, jedź popracować za granicą. Poznaj inną kulturę pracy, w tym relacje między szefem i podwładnymi, a jeszcze dokładniej określisz swoje preferencje. Okazuje się bowiem, że nie każdemu pasuje egalitaryzm, niektórzy wolą hierarchię.

Podsumowując, dobrze jak najszybciej popełnić wszystkie możliwe błędy, bo wtedy łatwiej znaleźć miejsce, które będzie nam w miarę odpowiadało – i dzięki temu zmniejszyć ryzyko wypalenia zawodowego, stanowiącego w naszym kraju ogromny problem.

Rada numer trzy dotyczy zaś osób w każdym wieku i brzmi następująco: nie przestawaj się uczyć.

Niestety, polskie szkoły niewiele uwagi poświęcają temu, jak efektywnie zdobywać nową wiedzę i umiejętności.

– Najważniejsze to nie tracić kontaktu z tą częścią naszego mózgu, która odpowiada za zapamiętywanie nowych informacji, łączenie ich z już posiadaną wiedzą i utrwalanie, żeby mogły nam potem w razie potrzeby służyć. Tak jak mięśnie wymaga ona treningu, bo nieużywana słabnie.

To, jak ćwiczyć głowę, zależy od osobistych cech i preferencji. Jedni lubią czytać, drudzy oglądać, a trzeci słuchać. Niektórzy skutecznie uczą się z wykładów, inni nie są w stanie niczego z nich zapamiętać i potrzebują zajęć praktycznych. Bardzo ważne, by wybierać takie formy i obszary rozwoju, aby czerpać z nauki jakąś frajdę. Jeżeli do konkretnej książki, miesięcznika czy podcastu musimy się zmuszać, może to być znak, że kierujemy się w niewłaściwą stronę.

Lepszej orientacji w świecie oraz wzbogacaniu kompetencji mogą służyć nawet filmy, seriale i gry komputerowe – dzięki tym ostatnim dobrze znam geografię Europy i całkiem nieźle jej historię. Z kolei zdobywając wiedzę na temat uzbrojenia wykorzystywanego podczas II wojny światowej, bezużyteczną w mojej pracy, szlifowałem umiejętność systematyzowania informacji, selekcji ich źródeł, spoglądania na temat z wielu nietypowych perspektyw, np. ekonomicznej czy kulturowej.

Nasze państwo kiepsko sobie radzi z przygotowywaniem obywateli na nadchodzące zmiany.

– Tematem na całe książki są niedoskonałości systemu edukacji, który jest mało efektywny choćby w wynajdywaniu i rozniecaniu indywidualnych talentów. Oczywiście są szkoły i uczelnie oraz pojedynczy nauczyciele, dyrektorzy i wykładowcy, którzy wykonują genialną robotę, ale stanowią jedynie wyjątki od tej ogólnej reguły. Bardzo kiepską wizytówką naszego państwa, w końcu jednego z najbardziej rozwiniętych na planecie, jest stan szkolnictwa branżowego, w tym płace oferowane jego kadrom. Ale wiele można by z czasem poprawić, bez ponoszenia ogromnych kosztów, po prostu mądrzej organizując kluczowe procesy. Niestety, u nas rzadko myśli się w takich kategoriach. Każda decyzja musi przynieść natychmiastowe efekty, najlepiej tuż przed wyborami, bo inaczej się nie liczy. Zamiast ponadpolitycznego porozumienia, że pewne rzeczy trzeba zrobić, a skorzystają na tym nasze dzieci i wnuki, mamy dryfowanie w przypadkowych kierunkach, nieuwzględniające tego, jak zmienia się świat. I rozdymanie programów nauczania, jakby

Za naszego życia niemożliwe będzie społeczeństwo, w którym wszyscy siedzą przy komputerach.

Warto jak najszybciej spróbować różnych rzeczy: pracy fizycznej i umysłowej, na świeżym powietrzu i przy komputerze, z urządzeniami i z klientami.

eprasa.pl ba1a76a4c1

zdolności koncentracji, zapamiętywania i integrowania wiedzy nie miały u dzieci i młodzieży granic.

W szkołach ponadpodstawowych właśnie debiutuje nowy przedmiot. Na lekcjach biznesu i zarządzania młodzi Polacy mają się nauczyć m.in. pracy zespołowej i realizacji projektów długofalowych.

– Jestem ogromnym przeciwnikiem wymyślania nowych przedmiotów, będącego w Polsce dyżurną odpowiedzią na każdy zdiagnozowany problem społeczny. Mój program to Minus Jedna Trzecia, czyli wyrzucenie do kosza takiej właśnie części podstawy programowej, począwszy od języka polskiego, a na plastyce skończywszy. Młodzi ludzie są tak obciążeni i zestresowani nauką, prowadzoną często w dość chaotyczny, a przy tym archaiczny sposób, że dokładanie im tematów do omówienia i kolejnych podręczników jest przeciwskuteczne. Nie zabierajmy im czasu i energii, które mogliby poświęcić na odkrywanie, co ich interesuje i do czego mają predyspozycje.

Być może jeszcze ważniejsze wydają mi się zmiany w obszarze poradnictwa zawodowego. Pisałem kiedyś raport na jego temat i ustaliłem, że dostępni za darmo doradcy zawodowi są finansowani z 13 różnych „przegródek" funduszy publicznych, podlegających pod trzy lub nawet cztery różne resorty.

Przy tak rozdrobnionym i nieskoordynowanym wysiłku trudno o efektywne wykorzystanie zasobów.

– W dodatku doradcy nie zawsze wiedzą, czego tak naprawdę potrzeba lokalnym pracodawcom. Bo nie ma jednego, krajowego rynku pracy, jest 380 powiatowych. Tego, co przyda się w Warszawie lub w Poznaniu, może nie da się zastosować w mniejszych ośrodkach, a nie każdy ma możliwość przenieść się do metropolii i tam szukać szczęścia. Dlatego potrzeba nam więcej analiz: regionalnego zróżnicowania wybranych segmentów rynku pracy, wpływu ukończenia poszczególnych kierunków studiów na dalszą karierę i poziom zarobków, skuteczności rozmaitych szkoleń dla bezrobotnych itd. Im więcej danych zgromadzimy, tym sensowniej będziemy mogli wspierać ludzi w planowaniu rozwoju zawodowego. Warto tu pochwalić Ministerstwo Edukacji i Nauki, które od 2016 r. finansuje ogólnopolski system monitoringu ekonomicznych losów absolwentów szkół wyższych.

Uważam przy tym, że zorganizowane w ramach jednej instytucji doradztwo zawodowe powinno dotyczyć każdego młodego człowieka od, powiedzmy, 10. roku życia.

Aspiracje i plany, jakie ma się w tym wieku, rzadko znajdują urzeczywistnienie.

– Chodzi o to, żeby dzieci przyzwyczajały się do kontaktu z takim dziwnym panem czy panią, którzy nie są nauczycielami, lekarzami czy psychologami, ale śmiesznymi testami sprawdzają ich kompetencje, a następnie niczego nie narzucają, tylko dają do myślenia w kwestii tego, co dalej ze sobą zrobić. O zmiany w oświacie będzie trudno, bo jest bardziej upolityczniona, a na efekty podejmowanych decyzji trzeba nieraz długo poczekać. Może więc doczekamy się chociaż reformy doradztwa zawodowego?

Michał Sobczyk
m.sobczyk@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl ba1a76a4c1

Chrystian Ślusarczyk

Kos.

GRECKIE oblicza słońca

W tym roku pożary strawiły w Grecji 172 tys. ha. Mimo to są jeszcze piękne miejsca, które warto odwiedzić

Grecja, ukochany przez miliony kraj wakacyjnych wyjazdów, przeżywa trudny czas. Według danych Europejskiego Systemu Informacji o Pożarach Lasów (EFFIS) od początku roku do 2 września ogień strawił ponad 172 tys. ha. Większych strat nie poniósł żaden śródziemnomorski kraj. Mimo to nie zapominajmy, że wiele atrakcyjnych turystycznie miejsc nie było świadkami nawet najmniejszego pożaru traw, a tamtejsze hotele nadal czekają na gości.

Grecja to połączenie zabytków starożytności ze wspaniałym klimatem i długą na 16 tys. km linią brzegową, wzdłuż której jest ponad 6 tys. wysp. Ci, którzy za letnim morskim błękitem nie przepadają, mogą wędrować po górach, bo aż 80% terytorium Grecji to góry i wyżyny.

Od 2001 r. Grecja należy do strefy euro, jest też w strefie Schengen, możemy więc podróżować zarówno z paszportem, jak i z dowodem osobistym. Lot z Warszawy trwa od dwóch godzin (np. gdy lecimy do Kawali) do trzech i pół godziny (na Kretę).

Ateny i Peloponez

Grecy uważają swój kraj za kolebkę cywilizacji zachodniej, a siebie za dumnych strażników starożytnej spuścizny. Jednak Hellada od wieków ciążyła ku Wschodowi i Konstantynopolowi. Wschodnia spuścizna to monastery, niezliczone cerkwie i kapliczki z cennymi ikonami.

Stołeczne Ateny, powstałe ponad 5 tys. lat temu, to jedyna poza Salonikami grecka metropolia. Największym skarbem Aten są budowle epoki klasycznej, przede wszystkim Akropol i słynne świątynie Partenon i Erechtejon, monumentalna brama Propyleje oraz zabytki tzw. Dolnego Miasta z Teatrem Dionizosa. Akropol w ubiegłym roku odwiedzało średnio 16 tys. osób dziennie. W tym z powodu upałów był przez kilka dni zamknięty dla turystów. Nawet we wrześniu najlepiej zwiedzać Akropol rano, później palące słońce i nagrzane kamienie mogą nam odebrać sporo przyjemności.

Mniej znanym, za to najwyższym ateńskim wzgórzem jest Likavitos (od gr. *lukoi* – wilki). Na szczycie, z którego rozpościera się panorama Aten, znajduje się biały kościółek pw. św. Jerzego. Na Likavitos możemy się dostać ścieżką meandrującą wśród agaw i opuncji.

Sercem współczesnych Aten jest pulsujący życiem plac Syntagma. Jeden z jego boków zamyka budynek parlamentu. Przed nim znajduje się Grób Nieznanego Żołnierza, przy którym pełniona jest warta honorowa. Zmiana warty reprezentacyjnej formacji armii, ewzonów, jest niezwykle widowiskowa i przyciąga tłumy.

Od zachodu do regionu Aten przyklejony jest półwysep Peloponez – najbardziej na południe wysunięta część kontynentalnej Grecji. Na półwyspie znajdują się miasta, o których każdy z nas uczył się na lekcjach historii: Korynt (w pobliżu słynny kanał), Mykeny, Olimpia czy Sparta.

Urozmaicone wybrzeże Peloponezu to raj na ziemi. Długie plaże nie są tam rzadkością. Często ląd kończy się wysokimi klifami. Nie ma tam tłumów turystów, jest to więc miejsce dla osób lubiących kameralną atmosferę.

Według znawców na Peloponezie znajdziemy najlepsze owoce cytrusowe w Europie. Bez wątpienia wielkim lokalnym przysmakiem są oliwki z Kalamaty.

Wyspy Jońskie

W skład archipelagu wchodzi siedem wysp. Największa to Kefalinia.

eprasa.pl ba1a76a4c1

Meteory.

Biura podróży oferują jednak wycieczki głównie na dwie inne wyspy: znajdującą się naprzeciwko Albanii Korfu (Kerkira) oraz położoną bardziej na południe Zakinthos.

Głównym ośrodkiem Korfu jest miasto o tej samej nazwie. To zdecydowanie najmniej greckie ze wszystkich greckich miast. Na Starówce możemy się poczuć jak na południu Francji. Miasto wyróżnia się monumentalnymi bizantyjskimi fortyfikacjami (VIII w. p.n.e.). Obwarowania miały chronić Korfu, które przechodziło pod panowanie Bizancjum, Wenecji, Francji i Wielkiej Brytanii. Na wyjątkowy charakter tonącego w zieleni Starego Miasta składają się m.in. ruiny weneckiego systemu wojskowego, kręte uliczki, cerkwie, monastery i dostojne, neoklasycystyczne budowle. Na północ od miasta znajdziemy piaszczyste plaże w Rodzie, Karousades i Sidari.

Zakinthos różni się od Korfu i krajobrazami, i mniejszą urbanizacją. Nawet ci, którzy na Zakinthos nigdy nie byli, zapewne kojarzą bajkowy obrazek – plażę Nawajo (gr. wrak). Otaczają ją wysokie, wapienne klify, a woda wokół nich jest krystalicznie czysta. Przy plaży znajduje się wrak statku Panagiotis. Drugą po plaży atrakcją wyspy są żółwie *Caretta caretta*. Tysiące turystów codziennie gromadzą się w zatoce Laganas, by podglądać życie tych sympatycznych stworzeń. Najskuteczniejszym na to sposobem jest snorkeling, czyli nurkowanie z fajką, łódka, rower wodny lub wycieczka niewielkim statkiem.

Między niebem a ziemią

Klasztory na piaskowcowych ostańcach Meteorach to bez wątpienia jedno z najciekawszych połączeń formacji skalnych z dziełem człowieka. Nazwa *meteoros* w luźnym tłumaczeniu oznacza „zawieszony w powietrzu". Trudno sobie wyobrazić, jak w wiekach średnich, a pierwsze monastery powstawały w XIV w., człowiek był w stanie cokolwiek zbudować na przypominających maczugi skałach.

Przez stulecia skały te były schronieniem dla tysięcy ortodoksyjnych mnichów. To tam uczyli się, jak być roztropnymi w myśli i pokornymi w woli. Sprzyjała temu najlepsza z możliwych izolacja od świata zewnętrznego.

Legenda głosi, że założyciel pierwszego klasztoru, Megalo Meteoro, św. Atanazy, wzleciał na skałę na skrzydłach orła. Właśnie temu pierwszemu klasztorowi zawdzięcza nazwę cały masyw. Na okolicznych skałach z piaskowca zaczęto budować kolejne prawosławne klasztory. Ostatni zbudowany został w wieku XVI. Łącznie powstało ich 24.

Okres świetności przeżywały za czasów panowania sułtana Sulejmana Wspaniałego. Od połowy XVIII w. monastery z powodu sporów mnichów i erozji budynków zaczęły podupadać. Dziś zamieszkanych jest jedynie sześć – cztery męskie i dwa żeńskie.

Do niektórych klasztorów turyści mogą się dostać dzięki wybudowanym na ich potrzeby drewnianym pomostom i kamiennym schodom. Aby zwiedzać monastery, należy mieć odpowiedni strój: panowie – długie spodnie, panie – spódnicę zakrywającą kolana, powinny mieć również zakryte ramiona. W czasie zwiedzania należy unikać głośnych rozmów, by nie zakłócać modlitwy i kontemplacji mnichów.

Liczbę odwiedzanych klasztorów powinniśmy dostosować do naszej kondycji. Najtrudniej dostępne są Wielki Klasztor oraz klasztor św. Trójcy (ponad 300 schodów). Najłatwiej z kolei – dzięki mostowi – dostaniemy się do klasztoru św. Stefana.

Cykady na Cykladach

Słowa piosenki Maanamu z lat 80. doskonale oddają charakter Cyklad. Słynny hit sprzed lat przedstawia raj na wysepkach, gdzie spędza się czas, „jedząc słodkie winogrona", wygrzewając się na słońcu i słuchając greckiej muzyki. Jej piękne dźwięki zagłuszane mogą być jedynie przez cykady, symbol nie tylko tego archipelagu.

Cyklady to sześć odwiedzanych przez turystów oraz ok. 200 mniejszych wysp. Szczególnie dwie, Mykonos i Santoryn, dla licznych turystów, głównie amerykańskich, stały się tym, czym Mekka dla muzułmanów.

Mykonos, „wyspa wiatrów", zachwyca olśniewająco białymi domami, po których wiją się kolorowe

FOT. CHRYSTIAN ŚLUSARCZYK, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl ba1a76a4c1

bugenwille, licznymi wiatrakami i miniaturowymi kapliczkami. Wulkaniczny Santoryn, którego krajobrazy to dla wielu symbol najprawdziwszego lata, słynie nie tylko z widoków i białych win, według legendy wyspa miałaby być fragmentem zatopionej mitycznej Atlantydy. Białe domki z płaskimi dachami układają się piętrowo. To wymarzone miejsce na romantyczny ślub dla par, które nie narzekają na brak gotówki. Często wybierana jest w tym celu ekskluzywna wieś Imerovigli tarasowo położona na klifie.

Na styku kontynentów

Według legendy to na Krecie, w jaskini na górze o nazwie Dikte lub Ida, przyszedł na świat Zeus. Miejsce narodzenia najważniejszego greckiego boga jest dla Greków wyjątkowe.

Kreta to największa, a zarazem najbardziej na południe wysunięta wyspa Grecji. Usytuowana w podobnej odległości od Aten i od wybrzeży Libii szczyci się ciepłym latem aż do października. Linia brzegowa ma ponad 1 tys. km. Na wyspie znajdują się dwa lotniska, w Iraklionie i w Chanii.

Krajobraz miasta i portu Iraklion zdominowany jest przez potężną wenecką fortecę Rocca a Mare (gr. Kules). W jej pobliżu znajduje się olbrzymi mur z siedmioma bastionami. Warto odwiedzić kreteńskie Muzeum Archeologiczne i Muzeum Ikon.

Około 1541 r. w Iraklionie, wówczas Kandii, urodził się Domenikos Theotokopulos, malarz, który na świecie znany jest jako El Greco. Kilka kilometrów od Iraklionu znajduje się największa starożytna atrakcja wyspy – ruiny pałacu w Knossos, o powierzchni 17 tys. m kw. Pałac zbudowano ok. 2 tys. lat p.n.e. Ruiny zostały odkryte w roku 1886, a znajdujące się tam monumentalne grobowce datowane są na lata 1750-1450 p.n.e.

50-tysięczna Chania została założona przez Wenecjan w miejscu, gdzie 3,4 tys. lat temu istniało minojskie osiedle. Dziś ten ożywiony ośrodek turystyczny wart jest zwiedzenia ze względu na atrakcyjną, pełną tawern dzielnicę nadbrzeżną. Turyści wieczorami uwielbiają spacerować po Starym Mieście. Jego wąska zabudowa pochodzi z czasów weneckich i osmańskich.

Za najpiękniejszą plażę Krety uznaje się tę w Matali, nad Morzem Libijskim. W wielu miejscach ma ona 50 m szerokości. To głównie piaszczysta plaża, otoczona zjawiskowym klifem. W jego skałach znajduje się sporo jaskiń i zagłębień. W latach 70. masowo przyjeżdżali tam hipisi, którzy chcieli żyć w nich w zgodzie z naturą.

Zachodnią część wyspy można polecić każdemu, kto szuka spokoju w otoczeniu dziewiczej przyrody. Krajobraz i kolory laguny Balos niewiele przypominają Europę. To samo powiedzieć możemy o plaży Elafonisi, miejscu idealnym dla rodziców z dziećmi, które całymi dniami przebywać mogą w ciepłej, bardzo płytkiej wodzie. Nieco inny charakter ma położona bardziej na południe plaża Preveli, zwana też Palm Beach. Szukający spokoju powinni się zatrzymać w miasteczku Plakias. Mała zatoczka Morza Libijskiego i wspaniałe plaże reklamują się same. Do opisanych wyżej miejsc najlepiej dostać się, wypożyczając samochód na jednym z lotnisk. Ceny zaczynają się już od 15 euro dziennie w zależności od samochodu.

Kreta to nie tylko morskie atrakcje. Miłośnikom górskich wypraw sprzyjają tygodnie stabilnej pogody, a w sercu wyspy znajduje się dziki masyw Ida z najwyższym szczytem Krety – Psiloritis (2456 m).

Wyspa Hipokratesa

Podpowiadając, które wyspy wolne są od pożarów, z pewnością należy wskazać Kos w archipelagu Dodekanez. Położona naprzeciwko tureckiego Bodrum (do Turcji możemy też wjechać na podstawie dowodu osobistego), znana jest z piaszczystych plaż, bogatej historii i starożytnych zabytków. Stolica wyspy, miasto Kos, słynie m.in. z twierdzy, amfiteatru i… drzewa. Znajdujące się w centrum miasta drzewo Hipokratesa uważane jest za jedno z najstarszych na świecie. Według tradycji pod nim nauczał słynny lekarz i filozof, którego przysięga lekarska w dalszym ciągu pozostaje aktualna. Na wyspie znajduje się 20 piaszczystych plaż, które zajmują aż 70% 115-kilometrowego wybrzeża. Najpiękniejsze znajdziemy w okolicach miasta Kefalos (trzykilometrowa Paradise Beach) oraz na północy, gdzie plażowicze szczególnie upodobali sobie połączone plaże Tigaki i Marmari. W rejonie tym panują wymarzone warunki do uprawiania windsurfingu.

Miejscem wyjątkowym jest położona wysoko, na zboczach Dikeos wioska Zia. Słynie ona z wąskich, brukowanych uliczek z tawernami i sklepów z pamiątkami. Ze względu na wznoszącą się w górę krętą, wąską szosę już sama podróż jest wydarzeniem. Z wioski, szczególnie o zachodzie słońca, rozciągają się imponujące widoki na wybrzeże i okoliczne wyspy.

Rodos czy północ

Położona niecałe 100 km od Kos wyspa Rodos z powodu żywiołu, który niszczył jej niektóre rejony, długo nie schodziła z pierwszych stron gazet. Dziś na pytanie, jechać czy nie jechać na Rodos, trudno o jednoznaczną odpowiedź. Musimy sami ocenić, na ile zachęty touroperatora, żeby jednak na Rodos polecieć, są wiarygodne, a na ile to tylko próba zażegnania ewentualnych tarapatów finansowych biura. W dobie internetu w dużym stopniu sami możemy ocenić, jakie skutki wywarły pożary tam, gdzie mielibyśmy przebywać przez tydzień czy dwa.

Alternatywą może być północ Grecji z bazą wypadową w ciekawych Salonikach i wyprawa do Macedonii czy Epiru, rzadko odwiedzanych terenów przy granicy z Macedonią Północną i Albanią, np. bajkowe jezioro Prespa.

A może położony blisko plaż w Leptokarii czy Platamonas masyw Olimpu, który był siedzibą greckich bogów, w tym najpotężniejszego – Zeusa?

Chrystian Ślusarczyk

eprasa.pl ba1a76a4c1

Co ma grzyb do płetwala błękitnego

W świecie porostów i grzybów

Wiesław Fałtynowicz

Pełno ich, a jakoby niczego nie było

Jest ich na świecie ok. 17 tys. gatunków. Są prawie wszędzie: rosną na ziemi i na korze drzew, na kamykach, kamieniach, głazach i ścianach skalnych w górach, na strzechach, dachówkach, ścianach domów, betonowych słupach i słupkach, na... Zdecydowanie prościej i krócej byłoby powiedzieć, gdzie ich nie ma: nie spotkamy ich w wodach, z wyjątkiem kamieni w bystro płynących potokach, nie ma ich także na ziemi na polach uprawnych oraz na świeżych i wilgotnych łąkach.

Niektóre są tak małe, że można dostrzec je tylko pod szkłem silnie powiększającej lupy, natomiast największe dorastają do 30-50 cm średnicy. Rekordzista może osiągnąć nawet 10 m długości. Unikają miejsc o silnie zanieczyszczonym powietrzu, ale tam, gdzie toksyn jest mniej, możemy spostrzec je na każdym pniu drzewa w lesie i przy drodze, na każdym kamieniu i głazie. Często występują w ilościach tak dużych, że spod ich plech nie widać kory drzew, a skałom oglądanym z odległości nawet kilometra nadają barwę. A jednocześnie, chociaż prawie zawsze są w naszym otoczeniu, wcale ich nie znamy i nie zauważamy w czasie naszych podróży, wędrówek, spacerów i wypraw. Porosty na pniu palmy nad Amazonką malują obraz godny Luwru.

Po tym wstępie czas wyjawić, że dotyczy on porostów. Od dawna przymierzałem się do napisania o tych organizmach, którymi zajmuję się zawodowo. Porosty to bardzo szczególne grzyby; w ich plechach żyją jednokomórkowe glony – zielenice lub nitkowate sinozielone cyanobakterie zwane też sinicami. Połączenie grzyba i glonu jest tak silne, że z dwóch organizmów powstaje jedna nierozerwalna całość.

Aż prosiłoby się nazwać to symbiozą (niestety, tak często jest napisane w podręcznikach), gdyby nie to, że grzyb wytwarza ssawki i przylgi, którymi przyczepia się lub wnika do komórek samożywnego partnera – czyli zachowuje się jak typowy pasożyt. Biolodzy układ ten nazywają często niewolnictwem (grzyb jest tu panem), chociaż w rzeczywistości stosunek obu partnerów jest najbardziej podobny do układu, jaki tworzą na górskiej hali baca i jego owce. Grzyb – baca dba o swoje glony – owieczki, korzysta z cukrów, które wyprodukują one w procesie fotosyntezy, tak jak góral z mleka owczego, ale jednocześnie zdarza się często, że „zjada" komórkę partnera (kto widział bacę wegetarianina?).

Większość porostów produkuje substancje chemiczne, które mają właściwości antybiotyczne.

To, że porosty prawie nie istnieją w naszej świadomości, nie świadczy o ich znikomym znaczeniu w przyrodzie i dla nas. Jest wręcz przeciwnie. Najbardziej znanym przykładem są położone na dalekiej północy „pastwiska" dla reniferów i karibu; znaczną część pożywienia tych dużych zwierząt stanowią porosty. Niektóre gatunki drobnych zwierząt bezkręgowych odżywiają się wyłącznie porostami. Ptaki bardzo często

eprasa.pl ba1a76a4c1

wplatają plechy porostów w gniazda lub tworzą z nich podściółkę dla piskląt. Ma to znaczenie zarówno maskujące, jak i ochronne. Niektóre chrząszcze południowoafrykańskie zrywają kawałki plech i przyczepiają sobie na grzbiecie, tworząc idealny kamuflaż.

Większość gatunków porostów produkuje substancje chemiczne, które mają właściwości antybiotyczne. Pod ich plechami jest kilka tysięcy razy mniej bakterii niż w miejscach pozbawionych porostów.

Współcześnie porosty stały się najbardziej znane jako wskaźniki czystości powietrza.

Człowiek odkrył to już bardzo dawno i w medycynie ludowej licznych krajów europejskich niektóre gatunki porostów są wykorzystywane od co najmniej kilkuset lat, na przykład płucnica islandzka (niekiedy zwana mchem islandzkim); preparaty z niej robione do dzisiaj można spotkać w aptekach, a w Skandynawii zmieloną płucnicę dodaje się do pieczywa. Z plech kilku śródziemnomorskich porostów otrzymuje się lakmus (niebieski naturalny barwnik), a z pospolitej również u nas mąkli tarniowej – utrwalacze zapachów, wykorzystywane w najbardziej markowych perfumach. Północnoamerykańscy Indianie przygotowywali – jako zapasy na zimę – suszone plechy krzaczkowatych porostów z rodzaju włostka. Biblijna manna to także porost – dzbanusznik jadalny. Takich przykładów można mnożyć dziesiątki.

Współcześnie porosty stały się najbardziej znane jako wskaźniki czystości powietrza. Okazało się, że te dwuskładnikowe organizmy bardzo szybko i wyraźnie reagują na wzrost stężenia substancji toksycznych w powietrzu i po prostu giną. W Polsce znaleziono do tej pory ponad 1700 gatunków porostów, a na czerwonej liście porostów wymarłych, ginących i zagrożonych znalazło się ich ok. 800.

Z 35 gatunków pięknych, krzaczkowatych brodaczek około dwóch trzecich już wyginęło w naszym kraju, a znalezienie pozostałych na większości obszaru graniczy z cudem. Jeżeli zobaczymy gdzieś na korze drzewa szare, zielonawe i brązowawe, skorupiaste, listkowate lub krzaczkowate plechy porostów, to możemy być pewni, że powietrze w okolicy jest czyste.

We Wrocławiu, gdzie obecnie mieszkam, kora drzew w prawie całym mieście jest pozbawiona porostów. Dlatego z tak dużą przyjemnością przyjeżdżam na Suwalszczyznę i do Suwałk, gdzie nawet w parku w centrum i na pniach przyulicznych drzew na Kościuszki i Wigierskiej można jeszcze znaleźć liczne porosty. Obserwujmy je bacznie, bo gdy ich zabraknie, to pozostanie już tylko pomyśleć o częstszych wycieczkach za miasto lub o przeprowadzce do Trakiszek.

Grzyb nasz powszedni

Grzyb jaki jest, każdy widzi. Ale czy na pewno? Czy grzyb jest właśnie taki, jakim go widzimy w lesie w czasie grzybobrania, albo w sklepie, mówiąc: – Poproszę 20 deka pieczarek?

To, co zbieramy, kupujemy, a czasami – tak od niechcenia – kopniemy w czasie spaceru po lesie, to tylko owocnik, który zawiera zarodniki i dzięki któremu grzyb ma szansę doczekać się potomstwa (szansę, którą zbyt często mu odbieramy). Na co dzień grzyby postrzegamy przez pryzmat ich przydatności dla nas: jadalne lub trujące. Pleśń na chlebie lub w słoiku z przetworami jest dla nas po prostu pleśnią, a nie jakimś tam grzybem.

Do tej pory opisano ok. 100 tys. gatunków grzybów, ale tylko niewielka część z nich wytwarza dostrzegalne przez nas owocniki. Niektóre nie robią tego nigdy, a owocniki innych są z kolei bardzo małe i trudne do zauważenia. A na świecie żyje prawdopodobnie co najmniej 1,5 mln gatunków grzybów. Uwzględniając tempo, w jakim się obecnie opisuje nowe gatunki, wszystkie grzyby świata poznamy nie wcześniej niż za ok. 900 lat. Chciałoby się powiedzieć: no i dobrze, niech zajmują się tym naukowcy, a nam wystarczą pieczarki i – w ostateczności – boczniaki. Problem tylko w tym, że grzyby nie należą do organizmów, które można zlekceważyć, chociażby dlatego, że życie na Ziemi bez nich byłoby niemożliwe. Prawie wszystkie rośliny kwiatowe (i wiele zarodnikowych) współżyją z grzybami; jest to tzw. mikoryza. Niekiedy ten związek jest tak ścisły, że roślina bez „zaprzyjaźnionego" grzyba nie ma żadnych szans na rozwój. Dotyczy to na przykład storczyków, stąd przez wiele lat trwające niepowodzenia w hodowli storczyków. Żaden widłak nie wyrósłby bez symbiotycznego grzyba. Być może rośliny nigdy nie opanowałyby lądów, gdyby nie pomoc grzybów mikoryzowych, które pierwszym, delikatnym roślinom umożliwiły życie w skrajnie trudnych – w porównaniu z wodą – warunkach lądowych, wspomagając je dostawami wody i soli mineralnych.

Grzybów nie można też zlekceważyć z innego powodu. Straty gospodarcze wywołane przez grzyby idą w miliardy dolarów rocznie w skali świata. Grzyby mogą skonsumować wszystko: ubrania, produkty żywnościowe, meble, książki, a nawet tworzywa sztuczne. Są pasożytami roślin, zarówno tych dziko rosnących, jak i mających podstawowe znaczenie gospodarcze (jak zboża). Każda roślina ma co najmniej jednego grzybowego pasożyta. Atakują również zwierzęta, nie oszczędzając tego najmądrzejszego z nich, jakim jest człowiek; świadczy o tym powszechność grzybic i kolejki w poradniach dermatologicznych. W powietrzu unoszą się tysiące

W Ameryce Północnej znaleziono okaz opieńki ciemnej o powierzchni kilku kilometrów kwadratowych.

eprasa.pl ba1a76a4c1

Porosty stanowią znaczną część pożywienia reniferów i karibu.

zarodników, którymi oddychamy. U niektórych ludzi wywołują one odczyny alergiczne, a jednocześnie sprawiają, że w czystej kuchni na odłożonej na kilka dni kromce chleba pojawia się pleśń.

Przestrzeń nas otaczająca pełna jest grzybów, których nie dostrzegamy na co dzień. Są przyczyną wielu kłopotów, ale także licznych radości – dla oczu i dla podniebienia, a tak mało o nich wiemy.

A może spróbujmy popatrzeć na świat „oczami" grzyba?

Życie grzyba jest najeżone przeszkodami, przy których większość naszych kłopotów życiowych wydaje się błahostką. Jak wygląda na przykład prywatne życie borowika? Jeden owocnik wytwarza na dolnej stronie kapelusza kilka milionów zarodników mikroskopijnej wielkości. Roznoszone przez wiatr rozlatują się na wszystkie strony świata. Duża część trafia poza lasy, na pola, łąki, do wód jezior i rzek, na torfowiska, na ulice miast. Żaden z nich nie ma tam szans na rozwój.

Te zarodniki, które wiatr zostawi w lesie, kiełkują w cienkie, białawe długie nici (tzw. strzępki). Przestrzeń, w której wyrosły, jest już wypełniona przez organizmy: inne grzyby, rośliny, zwierzęta, bakterie. Każdy z każdym walczy o wodę, sole mineralne, o odrobinę miejsca na rozwój. Jak zawsze, wygrywają najsilniejsi, do których na pewno nie należy nasz borowik ze swoimi delikatnymi strzępkami. Ale części zarodników udaje się, chociaż jest to zaledwie ułamek procenta (jeden zarodnik na milion?) spośród tych, które rozpoczęły swoją wędrówkę na skrzydłach wiatru. Rosną dalej, tworząc skomplikowaną, rozgałęzioną sieć w ziemi; jest to główna, a jednocześnie zupełnie nieznana postać borowika.

Część strzępek wrasta w korzenie drzew: sosen, dębów i innych, tworząc układy partnerskie, z których korzyści czerpią i grzyb, i drzewo. I tylko raz na rok borowik ujawnia się na powierzchni ziemi, wytwarzając owocniki; tak zamyka się jeden cykl, a rozpoczyna kolejny.

A co ma grzyb do płetwala błękitnego? Ten ssak uważany jest za największy żyjący organizm na Ziemi, który może osiągać do 90 ton masy. Ale przy jednym z grzybów ten potężny wieloryb wyglądałby jak pchła na dużym psie; w Ameryce Północnej znaleziono okaz opieńki ciemnej *Armillaria ostoyae*, który zajmował powierzchnię kilku kilometrów kwadratowych, a masę jego podziemnych strzępek oszacowano na ok. 40 tys. ton.

Opis powyższy wyjaśnia też, dlaczego borowiki (i inne grzyby mające duże owocniki, w tym jadalne) są coraz rzadsze. W dużej części nie dajemy im szans, corocznie wynosząc z lasów tony owocników brzemiennych zarodnikami. Zmieniamy siedliska, emitujemy zanieczyszczenia, które kumulują się w grzybniach, zatruwając je stopniowo. Bezpośrednio lub pośrednio prowadzimy wojnę z grzybami. Wojnę, w której mamy małe szanse na wygraną, ponieważ większość wystrzelonych pocisków trafia w grzyby będące naszymi sprzymierzeńcami, a pasożyty i te, które niszczą nasze produkty, mają się nie najgorzej.

Życie z grzybami na jednej planecie nie jest łatwe. Realizując swoje podstawowe funkcje życiowe będą one dalej wielokrotnie psuły nam humor, niszcząc cenny starodruk albo słoik ulubionego dżemu. Należy im się jednak od nas szacunek, jak każdemu organizmowi. A poza tym, dlaczego pozbawiać się możliwości, że ktoś kiedyś napisze znowu o grzybach takie strofy jak Adam Mickiewicz w „Panu Tadeuszu":

Surojadki srebrzyste, żółte i czerwone,
Niby czareczki różnym winem napełnione;
Koźlak, jak przewrócone kubka dno wypukłe,
Lejki, jako szampańskie kieliszki wysmukłe,
Bielaki krągłe, białe, szerokie i płaskie,
Jakby mlekiem nalane filiżanki saskie, (...)
A kto (...)
Zagniewany, grzyb złamie albo nogą kopnie;
Tak szpecąc trawę, czyni bardzo nieroztropnie.

(Księga III, w. 276-281, 287-289)

Każda roślina ma co najmniej jednego grzybowego pasożyta. Atakują również zwierzęta i człowieka.

Fragmenty książki Wiesława Fałtynowicza *O czym szumią wężymordy*, Pałsny Buriat, Kielce 2023

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl ba1a76a4c1

JOLKA

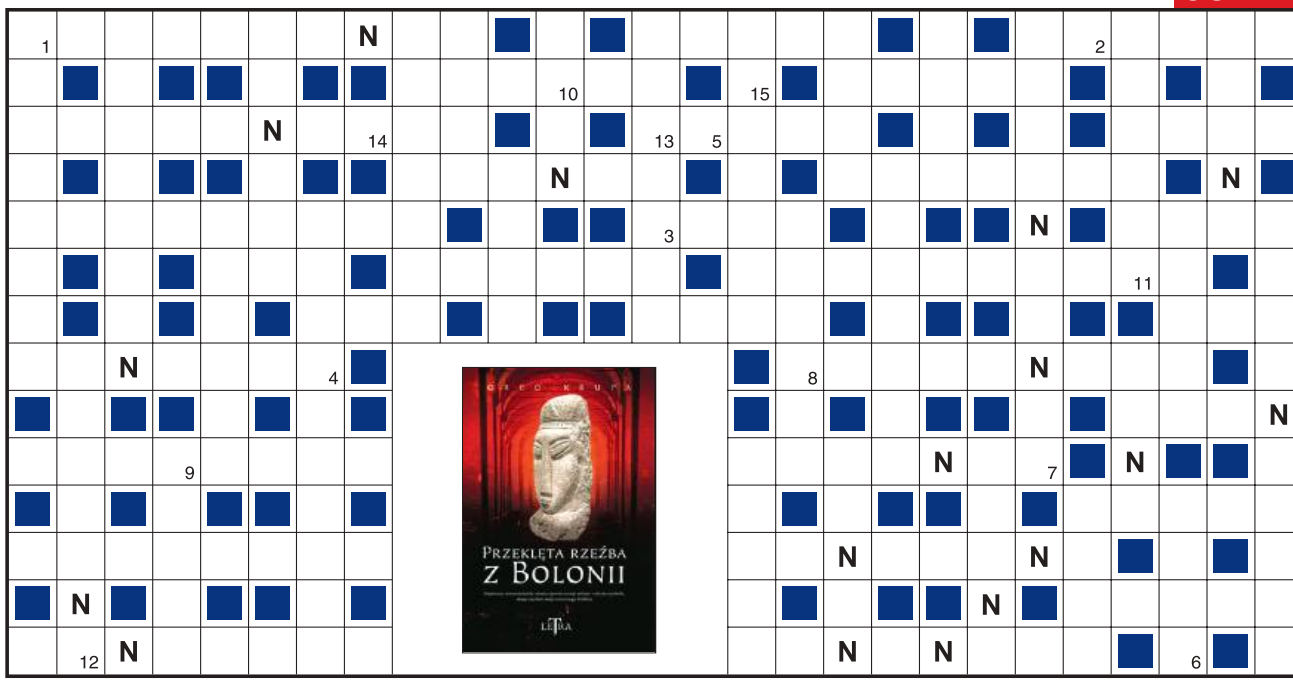

1	2	3	4	5	6	7

8	9	10	11	12	13	14	15

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 15 utworzą końcowe hasło.

- niższy od mezzosopranu
- wiązane na szyi uzupełnienie stroju
- akcentowana sylaba w metryce antycznej
- w nich założona Akademia Platońska
- sala na akademie
- kajzerki, grahamki, bagietki
- pokrewna centymetrówce
- za jej pół – bardzo tanio
- społeczny lub bohaterski
- wieczorynka
- prawda objawiona, aksjomat
- o sztywnieniu nóg ze zmęczenia
- łowny posiadacz fajek i szabli
- biblijny raj
- wyrazisty sposób wyrażania
- grecki władca wiatrów
- obsługuje ręczny karabin maszynowy
- samochód wyścigowy bez nadwozia
- detaliczny, hurtowy lub obwoźny
- kraj z Basrą, Mosulem
- Dr ...Eris w branży kosmetycznej
- wąwóz o wąskim dnie
- podarły go koziołki Zegarmistrza
- długotrwały, wielki huk wystrzałów
- kamizelka ratunkowa
- ambona
- i homilia, i morały
- pęk włókien na kołowrotku
- furtian wpuszcza w jego mury
- oficjalne, popołudniowe przyjęcie z drinkami
- na nim sklepowa waga
- kaczka, nie wrona
- pogodynek Jarosław
- łuk nad nutami
- Marcin, inicjator reformacji
- listek tulipana zastępował ją Calineczce
- mięczak w dwuczęściowej muszli
- ziębnięcie, lodowacenie
- fornir
- użyje go i narciarz na wyciągu, i pilot
- szybkie łyżwy
- rozległy widok
- na uchu rysia
- boju lub działka pod zabudowę
- bandyckie rozliczenia, zemsta
- zbrojne... władzy, partii
- siedziba władz miejskich
- znak narysowany przez Ligię
- liczba karpi w stawie hodowlanym
- Mickiewiczowska karczma
- gromada wróbli, krów, owiec
- obraz sprawiający wrażenie trójwymiarowego
- bycia, motylkowy lub regencji
- ...miejska to struktura zabudowy
- mięsna w zupie lub ortopedyczna
- rów pod fundamenty albo pod rury
- pęknięcie w kąciku ust
- ...z Kition – grecki filozof

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1134”. Do rozlosowania książki „Przeklęta rzeźba z Bolonii” ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 17 września 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1131” z nr. 34: *Do lasu nie wozi się drzewa.*
Nagrody otrzymują: Grzegorz Jóźwik z Legnicy, Zdzisław Kowalski z Kielc, Adam Ziemiański z Jastrzębia-Zdroju.

eprasa.pl ba1a76a4c1

Coś pan narobił, panie Wawrzyk?

To jest sprawa znacznie poważniejsza niż były już wiceminister Piotr Wawrzyk.

Poważniejsza, ponieważ w operację ściągania do Polski (czyli do Unii Europejskiej) setek tysięcy „pracowników" z krajów rozwijających się zaangażowane były nie tylko dwie-trzy osoby z Departamentu Konsularnego MSZ plus Wawrzyk, ale faktycznie cały rząd. I nie trwało to od roku 2018, kiedy Piotr Wawrzyk został wiceministrem, ale już wcześniej.

Uporządkujmy fakty:

1. Do gmachu MSZ weszli agenci CBA, którzy przesłuchali dyrektora Departamentu Konsularnego Marcina Jakubowskiego i jego zastępcę, a także dyrektora generalnego służby zagranicznej Macieja Karasińskiego. Wawrzyk został zdymisjonowany, Jakubowski podobnie.

2. Polska w ostatnich latach jest głównymi drzwiami do Unii Europejskiej. Eurostat, urząd statystyczny Unii Europejskiej, podał, że w 2022 r. cudzoziemcom ze 148 krajów Polska wydała ponad 700 tys. zezwoleń na tzw. pierwszy pobyt *(first residence permit)*, co dało nam pierwsze miejsce w zestawieniu. Na drugim miejscu były Niemcy z ok. 500 tys. zezwoleń.

3. Jak wykazała niedawna kontrola poselska w MSZ, w ostatnich trzech latach MSZ wydało 2 mln wiz dla obywateli 20 państw z Afryki i Bliskiego Wschodu. Z tego ok. 350 tys. budzi podejrzenia, gdyż wydano je osobom niespełniającym kryteriów wizowych.

4. Przechodzenie w wydawaniu wiz do „masówki" ma miejsce od kilku lat, przynajmniej od roku 2016. Wtedy to zaczęto na szeroką skalę korzystać z firm zewnętrznych (czyli miejscowych), które miały przygotowywać wnioski wizowe. A dyrektor Departamentu Konsularnego podczas inspekcji naciskał, by z tego rozwiązania korzystać. Z reguły konkursy wygrywała firma VFS (Visa Facilitation Services). Jednocześnie „czyszczono" placówki z doświadczonych konsulów, którzy protestowali przeciwko tym zmianom, zwłaszcza przeciw rezygnacji z weryfikowania dokumentów wizowych przez konsulaty. Znaczna część państw, których obywatelom Polska przyznawała (i przyznaje) wizy, to liderzy światowej korupcji, tam zdobycie fałszywych dokumentów potwierdzających różne umiejętności nie jest problemem. Doświadczony konsul takie przypadki jest w stanie wychwycić.

5. O tym, że otwarcie szeroko bram dla imigrantów z Afryki i Azji nie było jednostkowym pomysłem dyrektora albo wiceministra, świadczy fakt, że MSZ zdecydowało się na powołanie Centrum Decyzji Wizowych, które usytuowano w Łodzi. Dodajmy, że mniejszy ośrodek, Centrum Informacji Konsularnej, zlokalizowano w Kielcach. Innymi słowy, i Rau, i Wawrzyk załatwili sobie publicity w swoich okręgach wyborczych (choć ten drugi na próżno).

17 kwietnia br. Rau uroczyście podpisał umowę dotyczącą wynajmu powierzchni biurowej w łódzkim centrum Monopolis, właśnie na CDW. I mówił tak: „Postanowiliśmy powołać i rozbudować Centrum Decyzji Wizowych, przenieść je do Łodzi i w czerwcu rozpocząć od zatrudnienia ok. 15 osób, do końca roku 20, a do 2025 r. – 160".

System miał zatem działać tak, że firma zewnętrzna VFS przygotowywałaby wnioski wizowe, a w Łodzi 160 osób by je podbijało. Taka mała fabryka.

Rau w historię z wizami jest więc zanurzony po uszy. Oczywiste jest też, że dobrze poinformowani byli o niej szef MSWiA, premier i minister finansów. Bo trzeba było na wynajem nowych powierzchni biurowych w Kielcach i Łodzi wysupłać dodatkowe pieniądze. Sprawa zatem nie kończy się, lecz zaczyna.

Attaché

Spowiedź przed mszą odprawioną przez papieża Franciszka podczas pielgrzymki do Mongolii. Mieszka tam jedna z najnowszych i najmniejszych – 1450 osób – wspólnot katolickich. Ułan Bator, 3 września 2023 r.

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl ba1a76a4c1

PENETRACJE

Press

ANDRZEJ SKWORZ,
REDAKTOR NACZELNY

Poczobut jest nam tu potrzebny. Jako wyrzut sumienia dla tych wszystkich, którzy zapomnieli, po co zostawaliśmy dziennikarzami. Dla tych, którym namieszała w głowie popularność, których zniewoliły lajki i kliki, którzy w pogoni za pochlebstwami branży porzucili dobro czytelników, informatorów i bohaterów swoich tekstów. Którzy zrezygnowali z roli strażników demokracji. (…) Łatwiej dziś iść w emocje – pieścić ego jednych, kopać drugich. Manifestów publicystycznych sprzed dwóch dekad, które moderowały świat i o których dyskutowało się pasjami, już nie ma. Dziś wystarczy kilkanaście słów na Twitterze.

Monde diplomatique

GABRIELLE CHOU,
UNIWERSYTET NOWOJORSKI W SZANGHAJU

Wyjątkowo rygorystyczne regulacje Pekinu dotyczące sektora sztucznej inteligencji również miewają działanie hamujące. Na przykład to, co spotkało Ant Group – finansowy oddział Alibaby, do 2020 r. notowany był na giełdach w Hongkongu i Szanghaju, po czym to podwójne notowanie zostało zawieszone. Kilku szefów firm internetowych w obawie przed aresztowaniami zrezygnowało ze stanowisk – np. Zhang Yiming, założyciel ByteDance (przedsiębiorstwa macierzystego TikToka), który podał się do dymisji w listopadzie 2021 r. Wielu uciekło za granicę, do Japonii lub Singapuru. W wyniku szeregu dochodzeń dotyczących czołowych postaci, w tym Xiao Yaqinga, byłego ministra przemysłu i technologii informatycznych, oraz Ding Wenwu, który kierował China Integrated Circuit Industry Investment Found (CICIIF), ujawniono dowody korupcji.

TYGODNIK POWSZECHNY

DR MICHAŁ POSPISZYL,
FILOZOF, PAN

Jeśli budujemy wysokie wały tam, gdzie dotychczas rzeka miała obszar zalewowy, to w momencie, gdy dojdzie do przerwania wału – a prędzej czy później dojdzie – żywioł uderza z kilkukrotnie większą siłą niż dotychczas. Współczesne powodzie są o wiele bardziej destrukcyjne niż przednowoczesne. Uniwersalnym założeniem obwałowania rzeki jest teza, że powódź może się na niej zdarzyć raz na 100 lat. Tymczasem na Renie, najbardziej uregulowanej rzece w Europie, na przełomie lat 80. i 90. XX w. wydarzyły się cztery takie „powodzie stulecia". To pokazuje, jak bardzo problematyczna jest idea tej formy zabezpieczenia przeciwpowodziowego. Zwłaszcza w czasach, gdy klimat staje się bardziej nieprzewidywalny.

na szczycie

MONIKA WITKOWSKA,
ZDOBYWCZYNI MOUNT EVERESTU

Wspomagaczami szczęścia są amulety. Najpopularniejsze wśród himalaistów są noszone w formie wisiorków słynne kamienie *dzi* (dżi, zi – różnie się mówi), na ogół ciemnobrązowe z naturalnymi białymi oczkami. Według Tybetańczyków są to klejnoty zgubione przez mieszkające w niebiosach bóstwa. Wiele osób traktuje *dzi* jako panaceum na wszystko. Mają one ponoć moce uzdrawiające, chronią od nieszczęść, pomagają w biznesach i rzecz jasna strzegą też w górach. Problem w tym, że takie cudo jest dość drogie (najlepsze kamienie kosztują tysiące dolarów), a podróbki ze szkła, plastiku czy rogu nie mają już swojej magicznej mocy.

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA (2), FACEBOOK, SARKA FARKA

eprasa.pl ba1a76a4c1

W DWIE STRONY

Poruszając się wzdłuż linii (raz w jedną, raz w drugą stronę) i przeskakując niektóre litery, odczytaj w każdym diagramie dwa wyrazy.

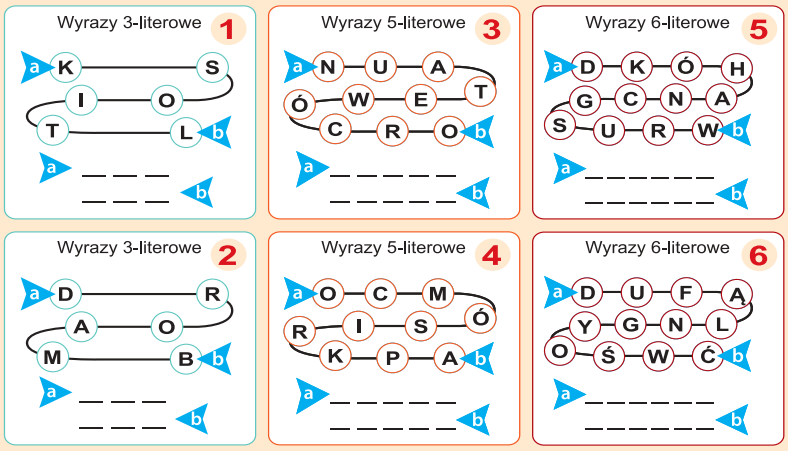

ROZWIĄZANIA: KOT, LIS, DOM, BAR, UTWÓR, OCEAN, CÓRKA, PISMO, KANGUR, WSCHÓD, UFNOŚĆ, WYGLĄD

Aby język giętki…

ARTUR ANDRUS O WYBORACH
Kiedyś, jak się szło na wybory, miało się nadzieję, że zmieni się coś na lepsze. A teraz?

PROF. JAROSŁAW FLIS O REFERENDUM
Jest objawem paniki i tego, że w partii puszczają hamulce.

KRZYSZTOF VARGA O PIOTRZE GLIŃSKIM
Wytrawny koneser koszmarnych polskich produkcji historycznych.

ROBERT LEWANDOWSKI O GRZEGORZU LACIE
Gdzie ta klasa? Jak można żyć historią? Często są to bzdury.

GRZEGORZ LATO O ROBERCIE LEWANDOWSKIM
Proponuję, by się skoncentrował na tym, żeby coś osiągnął z reprezentacją Polski, zdobył jakiś medal.

MAJA POPIELARSKA O MAŁYCH SZCZĘŚCIACH
Chciałabym umieć na zawsze zaprogramować swój mózg na dostrzeganie i docenianie małych szczęść.

ANETA KRĘGLICKA O RUCHU
Często, wstając z łóżka, czuję się jak śnięta mucha. Po gimnastyce bez problemu ruszam w dzień z dobrą energią.

KATARZYNA FIGURA O SESJI W „PLAYBOYU"
Dawali 40 tys. dol. Nie poszłam nawet na umówione spotkanie z redakcją. Uciekłam do Polski.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak,
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl ba1a76a4c1

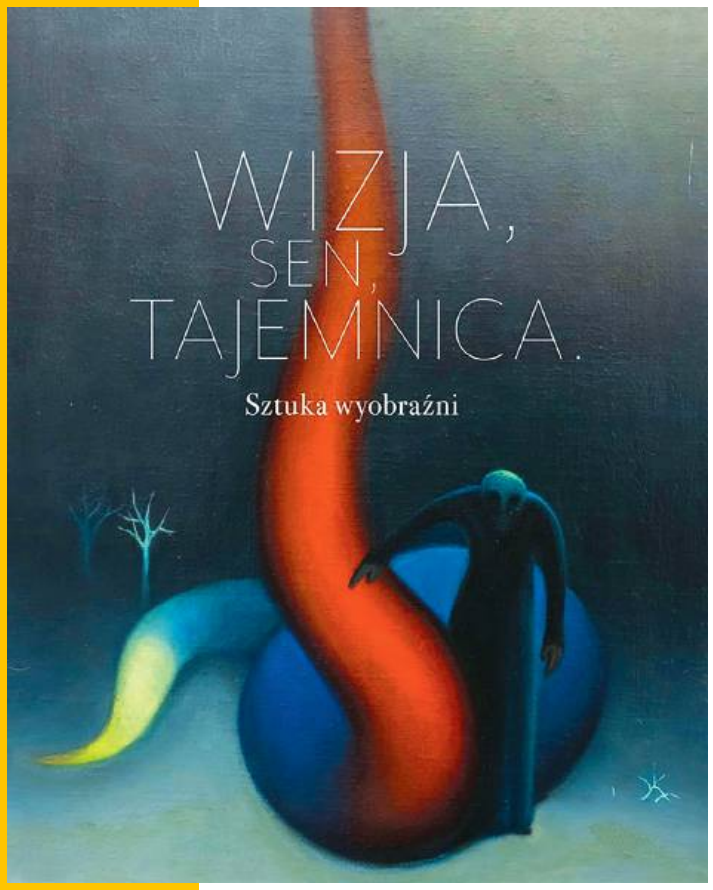

Plakat wystawy

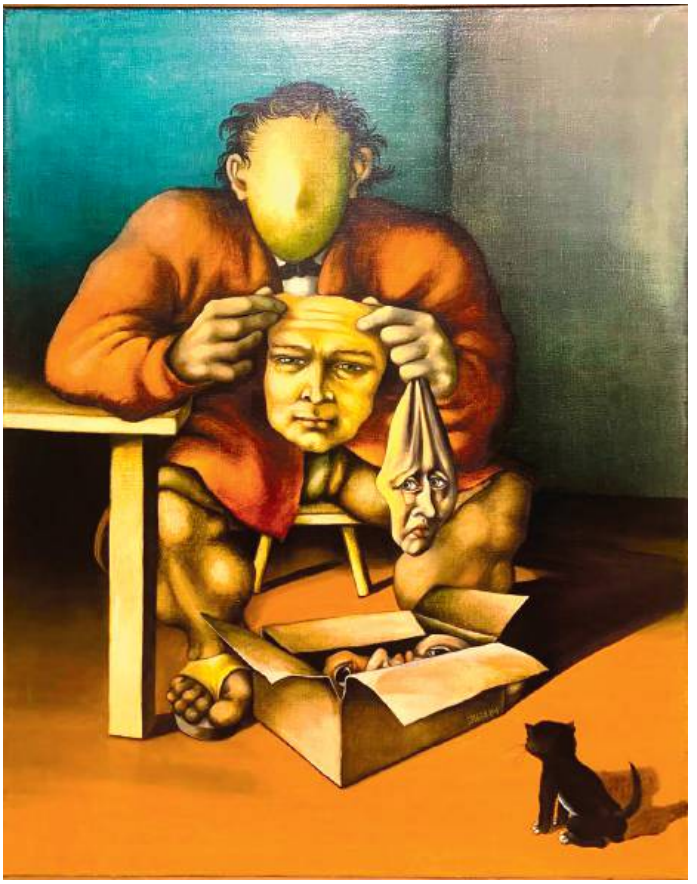

Jaga Karkoszka, Osobistość

„Wizja, sen, tajemnica. Sztuka wyobraźni" to opowieść o tym, co w sztuce nieoczywiste, fantazyjne i wykraczające poza ramy rzeczywistości. A także okazja do przypomnienia wielu niezwykle ciekawych, chociaż mniej znanych twórców, których prace w pełni zasługują na docenienie. To artystki i artyści XX- i XXI-wieczni, którzy zdecydowali się w różnorodny sposób poruszać wątki fantastyczne. Związani głównie z Sądecczyzną, zarówno profesjonalni, jak i intuicyjni, oraz pasteliści uczestniczący w ciągu wielu lat w Biennale Pasteli w Nowym Sączu.

Muzeum Okręgowe w Nowym Sączu
Gmach Główny, ul. Jagiellońska 56
do 1 października

Edmund Cieczkiewicz, Autoportret

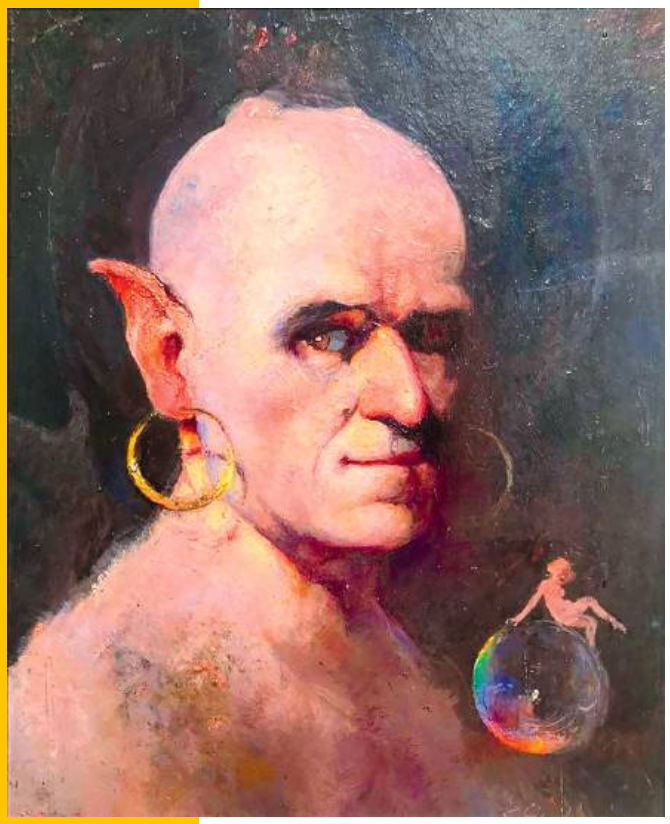

Ewa Pello, Portret rodzinny we wnętrzu

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl ba1a76a4c1

rampa
TEATR NA TARGÓWKU

warszawski musical

40-LATEK

spektakl inspirowany oryginalnym scenariuszem serialu „40-latek”
Jerzego Gruzy i Krzysztofa T. Toeplitza

SCENARIUSZ i REŻYSERIA **Joanna Drozda**

Premiera 15 września 2023 r.

TEATR RAMPA NA TARGÓWKU, ul. Kołowa 20, Warszawa,
BIURO OBSŁUGI WIDZÓW tel.: +48 22 679 89 76, +48 573 801 004,
SPRZEDAŻ BILETÓW ONLINE: bilety.teatr-rampa.pl oraz www.ebilet.pl, www.kicket.com
teatr-rampa.pl

instytucja kultury miasta stołecznego Warszawy

PATRONI MEDIALNI

TVP KULTURA · radio kolor 103 FM · GAZETA.PL · VIVA! · Przegląd · krytyka polityczna

PARTNERZY

Mazowsze. serce Polski · Centrum Nowe PRL · eBilet · kicket

eprasa.pl ba1a76a4c1

„PORYWAJĄCE KINO NOIR”
Hollywood Reporter

„INTRYGUJĄCA HISTORIA”
Screen

„MOCNY”
The Guardian

„ZNAKOMITY”
Variety

W roli głównej gwiazda serialu „Mentalista”
SIMON BAKER

LIMBO

reżyseria IVAN SEN

W KINACH OD 8 WRZEŚNIA

AURORA

Australian Embassy
Poland

Patronem Honorowym filmu jest Ambasada Australii

eprasa.pl ba1a76a4c1